Robert A. Heinlein

DRZWI DO LATA

REBIS

Robert A. Heinlein

DRZWI DO LATA

Przełożył
Zbigniew A. Królicki

Dom Wydawniczy REBIS

Wstęp

Pod koniec stycznia 1956 roku Robert Heinlein był tak bardzo zaabsorbowany pracą, że Ginny w każdej chwili mogła po otwarciu lodówki zobaczyć w środku jego buty. Zaczynał nową powieść – tym razem nie dla młodzieży. Dopiero co ukończył poprzednią, *Time for the Stars*, i potrzebował wytchnienia po trudach zadowolenia bibliotekarzy.

Nie, ta książka zdecydowanie nie miała być dla młodzieży. Próbował dopasować treść do tytułu, który zaplanował – *Drobna sprawa* – o inżynierze, który jest w dołku, ponieważ żona odeszła od niego i wyszła za bogatego faceta, oraz o eksperymentalnym wehikule czasu, usiłując ująć to w ramy opowieści o podróży w czasie. Niezbyt doniosłe dzieło, ale pozwalające złapać oddech i napełnić liczne garnki Ginny. Fragmenty nie układały się jednak w spójną całość i wciąż obrabiał je w myślach, zmieniając to i owo, próbując dopasować. Napisał na maszynie dwanaście stron notatek, co często robił, i zmienił tytuł na *Śnić może* – ale to też nic nie dało. Te żmudne przygotowania zawsze były dla niego trudne.

Pewnego ranka pił pobudzającą kawę przed śniadaniem złożonym z jajecznicy na boczku i grzanek, gdy w jego polu widzenia pojawiła się Ginny, wykonująca swój najważniejszy obowiązek, jakim było zaspokajanie potrzeb Pixiego.

Pixie tak naprawdę był Pixiem III – Pixilated Blassingame Arroyo – burym kocurem, nazwanym tak po pierwszym kocie, którego podarował Ginny, kiedy się pobrali przed ośmioma laty. Był silną indywidualnością i cały ich dzień kręcił się wokół jego potrzeb, od rytualnych pierwszych

piętnastu minut ożywionej rozmowy w łóżku czasem aż do północy, tak bardzo oboje byli mu oddani. „Ten dom poważnie by podupadł – napisał Robert do jednego z przyjaciół – gdybyśmy stracili tego starego zbója”. Pixie dobrze ich oboje wytresował.

Teraz prowadził Ginny, kręcąc się jej pod nogami i kierując do jednych z drzwi. Miał własne kocie drzwiczki, ale nie używał ich, kiedy zdołał skłonić któreś z nich do otwarcia dużych. Rozbawiony Heinlein obserwował, jak Ginny otwiera Pixiemu drzwi i czeka, gdy ten z odrazą obwąchuje „to białe paskudztwo” pokrywające ziemię. Pixie zawrócił, narzekając na kiepskie zarządzanie przez Ginny pogodą. (Heinlein był skłonny się z nim zgodzić: Ginny lubiła jeździć na nartach, ale zimy w Kolorado wyglądały dobrze tylko na pocztówkach). Ich „supernowoczesny” dom miał siedmioro drzwi dla ludzi i Heinlein patrzył, jak ta sama scena powtarza się przy każdych. Gdy Pixie głośno odmówił skorzystania z ostatnich i odszedł obrażony, Ginny wzruszyła ramionami i powiedziała: „Chyba szuka drzwi do lata”.

Nagle wszystkie fragmenty opowieści, z którymi zmagał się Heinlein, ułożyły się w zupełnie inną całość, która tym razem wydawała się całkowicie spójna. „Nic już nie mów” – rzekł Heinlein i wstał od stołu, pozostawiając niedojedzone śniadanie. Chciał natychmiast wrócić do swojego gabinetu i przelać część tej nowej opowieści na papier, zanim olśniewająca nowa wizja zacznie znikać.

Trzynaście dni później *Drzwi do lata* były ukończone – sześćdziesiąt sześć tysięcy słów tak bliskich ideału, że wystarczyło tylko poprawić literówki na kilku stronach i wysłać maszynopis agentowi Lurtonowi Blassingame’owi. Wykorzystał liczne fragmenty, które wstępnie nakreślił w notatkach, lecz większość powieści powstawała samoistnie w trakcie pisania, co miało tylko jedną wadę: musiał ją przeredagować i odrzucić

dwadzieścia stron, kiedy postanowił usunąć Marsjan, których początkowo w niej umieścił. Byli niepotrzebni i odwracali uwagę od opowieści o tym, jak Dan Davis się pozbierał i znów zaczął być człowiekiem. W książce Pixie otrzymał nowe imię, Petroniusz Arbiter, ponieważ wydobył z Dana to, co w nim najlepsze, i wyrwał z bagna marazmu, zmuszając, by myślał nie tylko o sobie.

Lurton natychmiast sprzedał powieść wydawnictwu Doubleday, co wypełniło zawartą z tym wydawnictwem umowę na cztery książki, rozpoczętą publikacją *Waldo and Magic, Inc.* w 1950 roku. Opublikowanie *Drzwi do lata* w odcinkach mogło być trudne: Heinlein nie sądził, by jakiś magazyn zechciał wydać tę powieść, ze względu na zbyt rozbudowany wątek romansowy i nieliczne elementy typowej science fiction. I rzeczywiście, John Campbell ją odrzucił, twierdząc, że kot nie pasuje do tej opowieści (chociaż przyznał, że Pete jest cholernie dobrą postacią). Najwidoczniej tego dnia zawiódł go jego redaktorski węch. John jednak nie był już jedynym znaczącym wydawcą fantastyki: Anthony Boucher przyjął powieść do swojego „Magazine of Fantasy and Science Fiction" i wydał ją w trzech częściach, w październiku, listopadzie i grudniu 1956 roku, a książkowe wydanie Doubleday pojawiło się na początku 1957 roku.

Heinleinowie żałowali tylko, że Pixie nie dożył wydania „swojej" książki. Już od paru lat przegrywał walki z okolicznymi kotami i nie dochodził po nich tak szybko do siebie. No cóż, zbój miał siedem lat i można było się tego spodziewać. „Wiedziałem, że go stracę – napisał później Heinlein do swojej koleżanki Marion Zimmer Bradley – (zbyt wiele dzielnie przegranych bitew) i ostatnia część *Drzwi do lata* została napisana w taki sposób, ponieważ wiedziałem, że nie pożyje już długo…"

Pod koniec 1956 roku Ginny zauważyła, że Pixie wydaje się jakiś nieswój. Potrafił dobrze informować o pewnych rzeczach, ale najwyraźniej

nie tym razem. Wyczuła, że cierpi, więc rozgniotła aspirynę i podała mu ją w koglu-moglu, jego ulubionym wieczornym przysmaku. To najwyraźniej zadziałało i znów był kocim sobą, dopóki środek przeciwbólowy nie przestał działać. Teraz, gdy już poznała objawy, nabrała pewności, że przyczyną jest jakieś przewlekłe schorzenie. Zawieźli Pixiego do weterynarza, który zdiagnozował u niego białaczkę i niewydolność nerek, chorobę, na którą koty są szczególnie podatne. Nic nie mogli dla niego zrobić.

W połowie stycznia 1957 roku poprosili sąsiada, Arta Herzbergera, który był między innymi weterynarzem, żeby przyszedł i uśpił Pixiego. „Petroniusz Arbiter” odszedł i oboje płakali. Heinlein użył swojej nowej koszuli jako całunu i pochowali go w jego ogrodzie, pod wielkim głazem, żeby nie odkopały go okoliczne kojoty. Posadzili drzewko na grobie Kota nad Kotami, a wraz z nim Ginny pochowała jego imię. Już żadnego kota nie nazwali Pixie, choć przez następnych dwadzieścia lat zawsze mieli jakiegoś jego potomka.

Jako chłopiec Robert Heinlein był miłośnikiem psów, lecz nosił w sobie zalążek prawdziwego kociarza, który Ginny rozwinęła w podobną do własnej obsesję w stylu Marka Twaina. Pixilated Blassingame Arroyo był osobowością w stopniu każącym uchylić kapelusza przed przywiązaniem Heinleina do kotów, a jego portret przedstawiony w *Drzwiach do lata* uczynił ją jedną z najbardziej lubianych książek Heinleina.

Dla A.P. i Phyllis,
Micka i Annette,
samych miłośników kotów

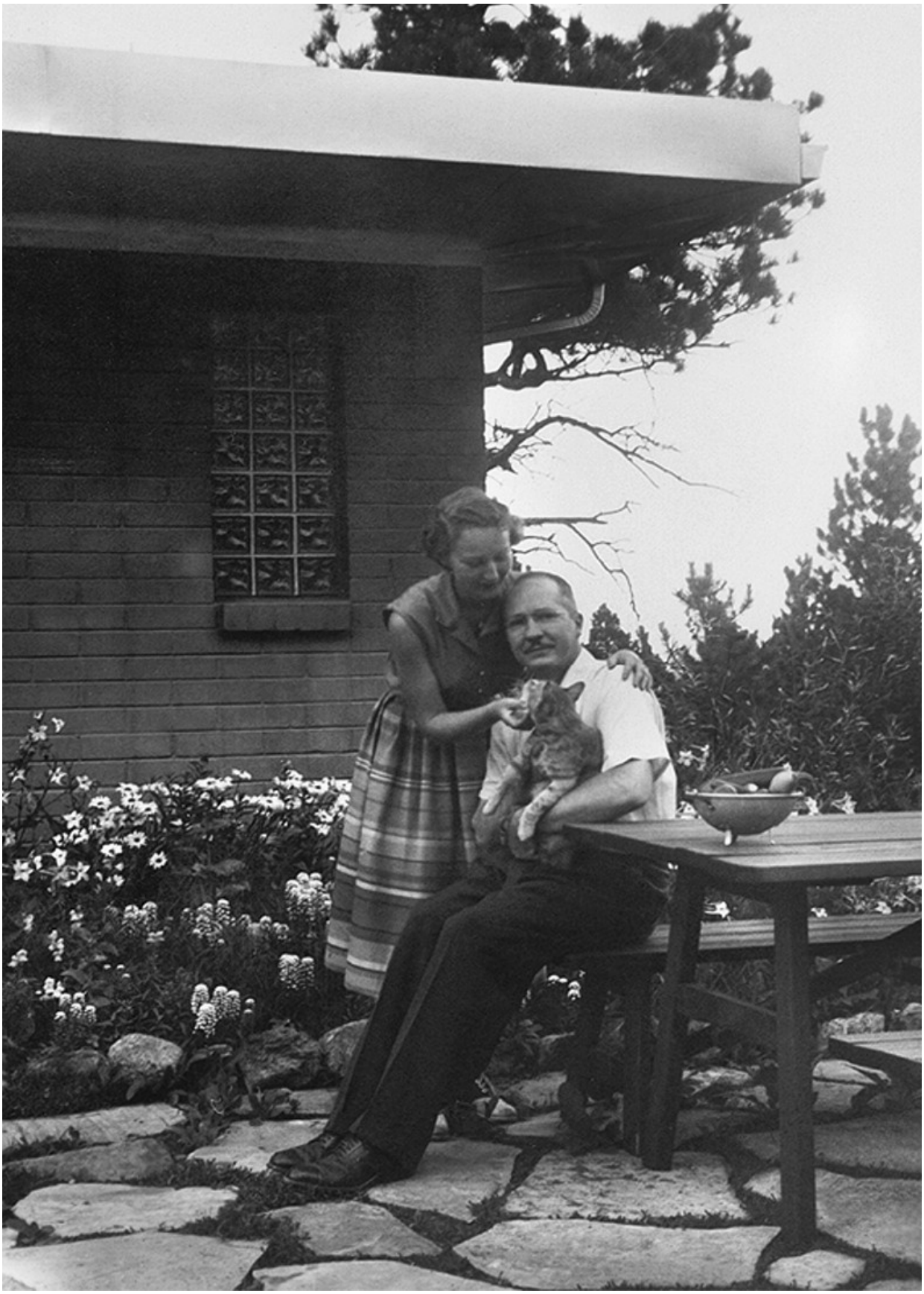

Robert, Ginny i „Petroniusz Arbiter” (Pixie III) przed domem w Colorado Springs w 1955 lub 1956 roku. Pixie nie dożył publikacji „swojej” książki.

Fotografia udostępniona przez Robert A. Heinlein Archive, University Library, UC Santa Cruz.

Zezwolenie na druk udzielone przez Robert A. and Virginia Heinlein Prize Trust.

Rozdział I

Pewnej zimy tuż przed wojną sześciotygodniową mój kocur Petroniusz Arbiter i ja mieszkaliśmy na starej farmie w Connecticut. Wątpię, czy ona jeszcze istnieje, leżała bowiem na skraju strefy wybuchu bomby atomowej, która spadła w pobliżu Manhattanu, a te stare drewniane budynki palą się jak papier. Nawet jeśli wciąż stoi, trudno byłoby ją wynająć ze względu na opad radioaktywny, ale w owym czasie nam się podobała, Pete'owi i mnie. Czynsz był niski ze względu na brak kanalizacji, a dawną jadalnię wypełniało dobre północne światło, odpowiednie dla mojego stołu kreślarskiego.

Jedyną wadą było jedenaścioro drzwi prowadzących na dwór.

Dwanaścioro, jeżeli doliczyć drzwi Pete'a. Zawsze zabiegałem o to, by Pete miał własne drzwi – tym razem był to otwór odpowiadający rozstawowi jego wąsów, wycięty w desce dopasowanej do okna nieużywanej sypialni. Zbyt wielką część życia spędziłem na otwieraniu drzwi kotom – kiedyś obliczyłem, że od zarania cywilizacji stracono na to dziewięćset siedemdziesiąt osiem roboczostuleci. Mogę wam pokazać te obliczenia.

Pete zwykle używał własnego wejścia, jeśli nie udało mu się zmusić mnie do otworzenia drzwi dla ludzi, które wolał. Nigdy jednak nie skorzystał ze swoich drzwi, gdy na ziemi leżał śnieg.

Kiedy był małym kociakiem, puchatym i rozmiauczanym, wypracował prostą filozofię. Ja odpowiadałem za mieszkanie, jedzenie i pogodę, a on za pozostałe sprawy. Szczególnie często obwiniał mnie o kaprysy pogody.

Zimy w Connecticut są dobre tylko na kartki świąteczne; tej zimy Pete regularnie stawał na progu swoich drzwiczek i odmawiał wyjścia z powodu tego nieprzyjemnego białego paskudztwa (bo przecież nie był głupi), po czym zmuszał mnie, żebym otworzył mu drzwi dla ludzi.

Uparcie uważał, że przynajmniej jedne z nich prowadzą do letniej pogody. Co oznaczało, że musiałem podejść z nim do każdych z jedenaściorga drzwi, otworzyć je, żeby się przekonał, że za nimi jest także zima, po czym ruszyć do następnych, a jego krytyczny stosunek do mojego zarządzania pogodą pogłębiał się po każdym kolejnym rozczarowaniu.

Potem zostawał w domu, aż parcie na pęcherz ostatecznie zmusiło go do wyjścia. Gdy wracał, ciche postukiwanie jego oblodzonych łapek o drewnianą podłogę brzmiało jak tupot maleńkich chodaków, patrzył na mnie gniewnie i nie chciał mruczeć, dopóki nie minął mu zły humor… a wtedy wybaczał mi do następnego razu.

Nigdy jednak nie przestał szukać Drzwi do Lata.

Trzeciego grudnia 1970 roku ja też ich szukałem.

Moje wysiłki były równie daremne jak próby Pete’a w styczniu w Connecticut. Tę odrobinę śniegu, która spadła w południowej Kalifornii, pozostawiono w górach dla narciarzy, nie w centrum Los Angeles – bo zapewne i tak nie zdołałaby się tam przedostać przez zasłonę smogu. Ale w moim sercu panowała zima.

Byłem w niezłej formie (pomijając potężnego kaca), jeszcze nie ukończyłem trzydziestki i całkiem nieźle stałem finansowo. Nie szukała mnie policja ani jacyś mężowie, ani doręczyciele pozwów; nie dokuczało mi nic, czego nie uleczyłaby lekka amnezja. W sercu jednak miałem zimę i szukałem Drzwi do Lata.

Macie rację, jeśli wyglądam na człowieka mocno rozczulającego się nad sobą. Na tej planecie musiały żyć ponad dwa miliardy ludzi, którym wiodło

się gorzej ode mnie. Pomimo to szukałem Drzwi do Lata.

Większość tych, które napotykałem ostatnio, była drzwiami wahadłowymi i przed takimi właśnie stałem – szyld nad wejściem głosił: bar i grill SANS SOUCI. Wszedłem, wybrałem boks pośrodku sali, ostrożnie umieściłem torbę podróżną na siedzeniu, wyciągnąłem się obok niej i czekałem na kelnera.

– Mrrr? – przemówiła torba podróżna.

– Spokojnie, Pete – powiedziałem.

– Miauuu!

– Bzdura, dopiero co wychodziłeś. Siedź cicho, nadchodzi kelner.

Pete zamknął się. Spojrzałem na pochylającego się nad stolikiem kelnera.

– Podwójną szkocką z waszego baru, szklankę czystej wody i buteleczkę piwa imbirowego – powiedziałem.

Kelner wyglądał na zaniepokojonego.

– Piwo imbirowe, proszę pana? Ze szkocką?

– Macie je czy nie?

– No tak, oczywiście. Ale…

– Zatem proszę je przynieść. Nie zamierzam go pić; chcę tylko drwiąco na nie patrzeć. I proszę przynieść też spodek.

– Jak pan sobie życzy. – Przetarł blat stołu. – A może mały stek, proszę pana? Poza tym mamy dziś wyśmienite przegrzebki.

– Słuchaj, kolego, dam ci napiwek za te przegrzebki, jeśli obiecasz, że mi ich nie podasz. Zamówiłem wszystko, czego mi trzeba… i proszę nie zapomnieć o spodku.

Zamknął się i odszedł. Powiedziałem Pete’owi, żeby się nie przejmował, piechota morska już przybyła. Kelner wrócił, ukoił swoją urażoną dumę, niosąc buteleczkę piwa imbirowego na spodku. Mieszając szkocką z wodą, kazałem mu ją otworzyć.

– Chce pan drugą szklankę do piwa?

– Jestem prawdziwym kowbojem; piję to z butelki.

Znów się zamknął i pozwolił mi zapłacić rachunek, łącznie z napiwkiem za przegrzebki. Gdy odszedł, nalałem piwo imbirowe na spodek i zastukałem w torbę podróżną.

– Podano zupę, Pete.

Ekler torby był rozpięty; nigdy go nie zamykałem, gdy kot był w środku. Poszerzył otwór pazurkami, wystawił głowę, szybko się rozejrzał, po czym uniósł przednie łapy i oparł je na krawędzi stołu. Uniosłem szklankę i popatrzyliśmy na siebie nawzajem.

– Za samice, Pete – by je znaleźć i o nich zapomnieć!

Skinął głową, gdyż doskonale to pasowało do jego filozofii. Z gracją opuścił łeb i zaczął chłeptać piwo.

– To znaczy, jeśli zdołasz – dodałem i pociągnąłem porządny łyk whisky.

Pete nie odpowiedział. Bez trudu zapominał o samicach; był urodzonym starym kawalerem.

Naprzeciw mnie za oknem baru na tablicy migotała reklama. Najpierw głosiła: PRACUJCIE, GDY ŚPICIE. Potem oznajmiła: I WE ŚNIE ZAPOMNIJCIE O KŁOPOTACH. Wreszcie dwukrotnie większymi literami:

TOWARZYSTWO WZAJEMNEGO UBEZPIECZENIA

Przeczytałem wszystkie trzy napisy kilkakrotnie, nie zastanawiając się nad nimi. Wiedziałem o hibernacji tyle samo co każdy. Kiedy zaczęto o tym mówić, przeczytałem parę artykułów popularnonaukowych i ze dwa czy trzy razy w tygodniu dostawałem w porannej poczcie ulotkę któregoś towarzystwa ubezpieczeniowego. Zwykle nie przeglądałem ich, tylko

wyrzucałem, gdyż wydawały mi się równie interesujące jak reklamy szminek do ust.

Przede wszystkim jeszcze do niedawna nie było mnie stać na zimny sen, bo dużo kosztuje. Poza tym dlaczego człowiek, który lubi swoją pracę, sporo zarabia i będzie zarabiał jeszcze więcej, jest zakochany i wkrótce się ożeni, miałby popełniać coś w rodzaju samobójstwa?

Jeśli ktoś był nieuleczalnie chory i miał umrzeć, ale sądził, że sto lat później lekarze zdołają go uleczyć, a ponadto stać go było na wieloletnią hibernację w oczekiwaniu na opracowanie skutecznej metody leczenia, to istotnie taka decyzja była logicznym rozwiązaniem. Albo jeśli ktoś marzył o locie na Marsa i uważał, że obudziwszy się kilkadziesiąt lat później, będzie mógł kupić sobie bilet na taką podróż, to zapewne również było logiczną decyzją – w gazetach pisano o małżeństwie z wyższych sfer, które prosto z ratusza udało się do azylu Towarzystwa Ubezpieczeniowego Zachodni Świat i ogłosiło, że zgodnie z instrukcjami zostaną obudzeni wtedy, gdy będą mogli spędzić miesiąc miodowy w liniowcu międzyplanetarnym… choć podejrzewałem, że był to chwyt reklamowy sprokurowany przez towarzystwo ubezpieczeniowe i małżeństwo wymknęło się tylnym wyjściem pod zmienionym nazwiskiem. Spędzanie nocy poślubnej w postaci mrożonych makreli wydaje się mało prawdopodobną koncepcją.

Poza tym wszystko to miało jak zwykle czysto finansowe podłoże, jak to podkreślały towarzystwa ubezpieczeniowe: „Pracujcie, gdy śpicie”. Po prostu leż i pozwól, by to, co posiadasz, zmieniło się w fortunę. Jeżeli masz pięćdziesiąt pięć lat i dostajesz dwieście dolarów emerytury, to czemu nie miałbyś przespać jakiegoś czasu, obudzić się również w wieku pięćdziesięciu pięciu lat i otrzymywać tysiąc dolarów miesięcznie? Nie wspominając już o pobudce w pięknym nowym świecie, który

prawdopodobnie zapewni ci o wiele dłuższą i zdrowszą starość z emeryturą w wysokości tysiąca dolarów? Do tego właśnie się odwoływano, każde towarzystwo ubezpieczeniowe udowadniało na podstawie niezbitych obliczeń, że pakiet wybranych przez nie do funduszu powierniczego akcji zapewni najszybszy wzrost kapitału. „Pracujcie, gdy śpicie!”

Nigdy mnie to nie pociągało. Nie miałem pięćdziesięciu pięciu lat, nie chciałem iść na emeryturę i nie widziałem niczego złego w roku 1970.

A właściwie tak było do niedawna. Teraz zostałem emerytem, czy tego chciałem, czy nie (wcale nie); zamiast w podróży poślubnej byłem w podrzędnym barze, znieczulając się szkocką; zamiast żony miałem poznaczonego bliznami kocura z chorobliwym upodobaniem do piwa imbirowego; skoro zaś mowa o upodobaniu, to w tej chwili najchętniej zamieniłbym emeryturę na skrzynkę dżinu i wysączył go co do kropli.

Nie byłem jednak bankrutem.

Sięgnąłem do kieszeni marynarki, wyjąłem kopertę i otworzyłem ją. Zawierała dwie rzeczy. Pierwsza to potwierdzony czek na sumę, jakiej nigdy dotychczas nie miałem; druga to akt własności akcji Służki SA. Oba papiery były już trochę pomięte; nosiłem je przy sobie od chwili, gdy mi je wręczono.

Dlaczego nie?

Czemu nie miałbym uciec i przespać moich kłopotów? Byłoby to przyjemniejsze niż służba w Legii Cudzoziemskiej, mniej paskudne niż samobójstwo i na zawsze uwolniłoby mnie od ludzi i wydarzeń, które spartoliły mi życie. Zatem dlaczego nie?

Niespecjalnie interesowało mnie zbijanie forsy. Och, oczywiście przeczytałem *Gdy śpiący się zbudzi* H.G. Wellsa, i to nie dopiero wtedy, kiedy towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły rozdawać za darmo egzemplarze tej książki, ale jeszcze wcześniej, gdy była po prostu

powieścią zaliczaną do klasyki; wiedziałem, czym jest składany procent i ocena kursu akcji. Nie byłem jednak pewny, czy mam dosyć pieniędzy, by wykupić Długi Sen i założyć oprocentowane konto gwarantujące należyty zysk. Bardziej do mnie trafiał ten inny argument: pójść spać i przebudzić się w odmiennym świecie. Może o wiele lepszym, jak przekonywały towarzystwa ubezpieczeniowe… albo gorszym. Jednak z pewnością odmiennym.

Jedną ważną różnicę widziałem już teraz: mógłbym drzemać dostatecznie długo, by mieć pewność, że świat, w którym się obudzę, będzie światem bez Belle Darkin – a także bez Milesa Gentry'ego, ale szczególnie bez Belle. Gdyby Belle nie żyła i spoczywała w grobie, mógłbym o niej zapomnieć, zapomnieć o tym, co mi zrobiła, wyrzucić ją z mojego życia… a nie cierpieć ze świadomością, że jest zaledwie kilka mil dalej.

Pomyślmy, jak długo musiałoby to trwać. Belle miała dwadzieścia trzy lata – tak przynajmniej utrzymywała (pamiętałem, że kiedyś nieopatrznie napomknęła, że pamięta czasy prezydentury Roosevelta). W każdym razie nie przekroczyła trzydziestki. Gdybym przespał siedemdziesiąt lat, przerodziłaby się w nekrolog. Wystarczyłoby siedemdziesiąt pięć i byłbym bezpieczny.

Potem przypomniałem sobie postępy geriatrii; mówiono o przedłużeniu „normalnej" długości życia do stu dwudziestu lat. Może więc powinienem przespać sto lat. Nie byłem pewny, czy któreś towarzystwo ubezpieczeniowe proponuje aż tyle.

Nagle wpadłem na szatański pomysł, zainspirowany grzejącą ciało szkocką. Nie muszę przespać śmierci Belle; wystarczającą, najzupełniej wystarczającą i odpowiednią zemstą na kobiecie będzie zachować młodość,

gdy ona się zestarzeje. Być wystarczająco młodym, żeby utrzeć jej nosa – powiedzmy, trzydzieści lat.

Na ramieniu poczułem dotyk łapki, delikatny jak płatek śniegu.

– Miaało! – oznajmił Pete.

– Obżartuchu – stwierdziłem i nalałem na spodek następną porcję piwa imbirowego.

Podziękował mi, uprzejmie czekając, po czym zaczął chłeptać.

Przerwał mi jednak przyjemne rozmyślania. Co, do diabła, miałem zrobić z Pete’em?

Kota nie można oddać jak psa; on tego nie toleruje. Czasami da się go sprzedać razem z domem, ale w wypadku Pete’a nie było to możliwe; byłem dla niego jedyną stałą rzeczą w nieustannie zmieniającym się świecie, od kiedy przed dziewięcioma laty odebrano go matce… Nawet w wojsku miałem go przy sobie, a to naprawdę wymagało niezłego kombinowania.

Był zdrowy i prawdopodobnie miał taki pozostać, choć wydawało się, że w całości trzyma go tkanka bliznowata. Gdyby tylko mocniej uderzał prawą łapą, mógłby wygrywać bitwy i płodzić kociaki przynajmniej jeszcze przez pięć lat.

Mógłbym opłacić jego dożywotni pobyt w jakimś schronisku (nie do pomyślenia!), kazać go uśpić (równie nie do pomyślenia) – albo go porzucić. Z kotem tak już jest: albo spełniasz ten skomplikowany obowiązek, którego się podjąłeś – albo opuszczasz nieszczęśnika, pozwalasz mu zdziczeć i niszczysz jego wiarę w odwieczny porządek rzeczy.

Tak jak Belle zniszczyła moją.

Tak więc, kolego, możesz równie dobrze o tym zapomnieć. Twoje życie zepsuło się jak zapomniana beczka ogórków; to w najmniejszym stopniu

nie zwalnia cię z obowiązku opieki nad tym superrozpuszczonym kotem.

W chwili gdy doszedłem do tego filozoficznego wniosku, Pete kichnął; bańki gazu podrażniły mu nozdrza.

– Na zdrowie – zareagowałem – i nie pij tak szybko.

Pete mnie zignorował. Przy stole miał znacznie lepsze maniery niż ja i dobrze o tym wiedział. Nasz kelner stał przy kasie, rozmawiając z kasjerem. Po lunchu w knajpach jest pustawo i jedyni poza nami goście siedzieli przy barze. Kiedy powiedziałem „na zdrowie”, kelner podniósł wzrok i oznajmił coś kasjerowi. Obaj spojrzeli w naszym kierunku, a potem kasjer podniósł ruchomy blat i ruszył ku nam.

– Żandarmeria, Pete – rzuciłem cicho.

Rozejrzał się i schował z powrotem do torby, a ja ją przymknąłem. Kasjer podszedł do mnie i pochylił się nad stołem, szybko przemykając wzrokiem po miejscach po obu stronach boksu.

– Przykro mi, przyjacielu – rzekł beznamiętnie – ale będziesz musiał stąd wynieść tego kota.

– Jakiego kota?

– Tego, którego karmiłeś ze spodka.

– Nie widzę tu żadnego kota.

Tym razem zgiął się i zajrzał pod stół.

– Masz go w tej torbie – powiedział oskarżycielsko.

– W torbie? Kota? – spytałem zdumiony. – Przyjacielu, chyba chciałeś powiedzieć „w worku”.

– Co? Daruj sobie takie gadki. W tej torbie jest kot. Otwórz ją.

– Masz nakaz rewizji?

– Co? Nie gadaj głupstw.

– To ty wygadujesz głupstwa, skoro chcesz otworzyć moją torbę bez nakazu rewizji. Czwarta poprawka do konstytucji – a wojna zakończyła się

cztery lata temu. Teraz, gdy już to sobie wyjaśniliśmy, powiedz kelnerowi, żeby przyniósł jeszcze raz to samo – albo podaj to osobiście.

Miał zbolałą minę.

– Bracie, nic do ciebie nie mam, ale muszę myśleć o licencji. „Psom i kotom wstęp wzbroniony” – tak głosi tabliczka na ścianie. Prowadzimy lokal z poszanowaniem zasad higieny.

– No to kiepsko wam idzie. – Podniosłem szklankę. – Widzisz te ślady szminki? Powinniście sprawdzić zmywarkę, a nie obszukiwać klientów.

– Nie widzę tu żadnej szminki.

– Bo już prawie wytarłem. Możemy jednak zanieść ją do sanepidu i skontrolować liczbę bakterii.

Westchnął.

– Masz legitymację?

– Nie.

– No to jesteśmy kwita. Ja nie przeszukam ci torby, a ty nie będziesz mnie ciągnął do sanepidu. A teraz, jeśli chcesz następnego drinka, podejdź do baru i zamów… na koszt firmy. Ale nie tu.

Odwrócił się i poszedł na swoje miejsce.

Wzruszyłem ramionami.

– I tak mieliśmy już wyjść.

Kiedy mijałem kasę, zmierzając do drzwi, podniósł głowę.

– Bez urazy?

– Jasne. Jednak chciałem przyprowadzić tu później konia na drinka. Teraz się rozmyśliłem.

– Jak uważasz. Przepisy nic nie mówią o koniach. I jeszcze jedno – czy ten kot naprawdę pije piwo imbirowe?

– Czwarta poprawka, pamiętasz?

– Nie chcę zobaczyć zwierzaka; chcę tylko wiedzieć.

– No cóż – przyznałem – woli je z kropelką angostury, ale wypije i bez niej, jeśli musi.

– To mu zniszczy nerki. Popatrz tutaj, przyjacielu.

– Na co?

– Odchyl głowę do tyłu, blisko mojej. A teraz spójrz na sufit nad boksami… na lustra wśród dekoracji. Wiedziałem, że masz kota – bo go widziałem.

Odchyliłem głowę i spojrzałem. Na suficie lokalu umieszczono mnóstwo tandetnych ozdób, w tym sporo luster; teraz zobaczyłem, że wiele z nich, ukrytych wśród dekoracji, ustawiono pod takim kątem, że kasjer mógł je wykorzystywać jak peryskopy, nie opuszczając stanowiska.

– To konieczne – rzekł przepraszająco. – Byłbyś wstrząśnięty tym, co może się dziać w tych boksach… gdybyśmy ich nie mieli na oku. Świat jest smutny.

– Amen, bracie.

Wyszedłem z baru.

Na dworze otworzyłem torbę i niosłem ją, trzymając za jedno ucho. Pete wystawił głowę.

– Słyszałeś, Pete, co powiedział ten człowiek. Świat jest smutny. Gorzej niż smutny, gdy dwaj przyjaciele chcą się spokojnie napić, a ktoś ich szpieguje. To przesądza sprawę.

– Miau? – zapytał Pete.

– Skoro tak mówisz. Jeśli mamy to zrobić, nie ma sensu zwlekać.

– Miau! – z naciskiem stwierdził Pete.

– Zatem jesteśmy jednomyślni. To po drugiej stronie ulicy.

Sekretarka w Towarzystwie Wzajemnego Ubezpieczenia była doskonałym przykładem piękna funkcjonalnego wzornictwa. Pomimo opływowych kształtów pozwalających rozwijać prędkość czterech machów

miała zamocowany radar i wszystko co niezbędne do wykonywania podstawowych zadań. Przypomniałem sobie, że będzie Matką Whistlera, kiedy się obudzę, i powiedziałem jej, że chcę się zobaczyć z jakimś agentem ubezpieczeniowym.

– Proszę usiąść. Sprawdzę, czy któryś pracownik z działu obsługi klientów jest wolny. – Zanim zdążyłem usiąść, dodała: – Nasz pan Powell pana przyjmie. Tędy proszę.

Nasz pan Powell siedział w biurze, które wskazywało, że Towarzystwu całkiem nieźle się wiedzie. Podał mi wilgotną dłoń, wskazał krzesło, zaproponował papierosa i próbował odebrać mi torbę. Nie oddałem jej.

– Czym możemy panu służyć?

– Chcę Długiego Snu.

Uniósł brwi i zaczął zachowywać się z większym szacunkiem. Niewątpliwie Towarzystwo ubezpieczyłoby za siedem dolarów aparat fotograficzny, ale Długi Sen pozwalał mu położyć łapę na wszystkich aktywach klienta.

– Bardzo mądra decyzja – rzekł z nabożnym szacunkiem. – Sam chciałbym móc taką podjąć. Jednak… wie pan, obowiązki rodzinne. – Sięgnął po formularz. – Klientom pragnącym Snu zwykle się spieszy. Pozwoli pan, że oszczędzę pański czas i wypełnię to za pana… poza tym natychmiast przeprowadzimy badanie lekarskie.

– Chwileczkę.

– Tak?

– Jedno pytanie. Czy możecie załatwić hibernację dla kota?

Zrobił najpierw zaskoczoną, a później zbolałą minę.

– Pan żartuje.

Otworzyłem torbę; Pete wystawił głowę.

– Proszę poznać mojego partnera. Czekam na odpowiedź. Jeżeli będzie przecząca, pójdę do Doliny Środkowej. Ich biura są w tym samym budynku, nieprawdaż?

Tym razem był przerażony.

– Panie… hm, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

– Dan Davis.

– Panie Davis, każdy człowiek, który przekracza próg naszych drzwi, znajduje się pod troskliwą opieką Towarzystwa Wzajemnego Ubezpieczenia. Nie mógłbym pozwolić panu odejść do Doliny Środkowej.

– A jak zamierza mnie pan powstrzymać? Siłą?

– Proszę pana! – Rozejrzał się wokół, teraz z kolei wzburzony. – Nasza firma zawsze postępuje etycznie.

– To znaczy, że Dolina Środkowa nie?

– Pan to powiedział, nie ja. Panie Davis, nie chciałbym wpływać na pańską decyzję…

– Nie wpłynie pan.

– …ale proszę wziąć wzory umów obu firm. Potem proszę wynająć prawnika albo jeszcze lepiej profesjonalnego semantyka. Dowiedzieć się, co proponujemy – i co rzeczywiście dostarczamy – a następnie porównać z tym, co obiecuje Dolina Środkowa. – Znów się rozejrzał i nachylił do mnie. – Nie powinienem tego mówić – i mam nadzieję, że nie będzie pan tego powtarzał – ale oni nie stosują nawet standardowych aktuarialnych tabel ubezpieczeniowych.

– Może zamiast tego po prostu dają klientowi, czego chce.

– Co takiego? Drogi panie Davis, my rozprowadzamy cały należny zysk. Tak nakazuje nasz statut… natomiast Dolina Środkowa jest spółką akcyjną.

– Może powinienem kupić trochę ich akcji… Panie Powell, tracimy czas. Czy Towarzystwo przyjmie mojego kumpla czy nie? Jeżeli nie, to siedzę tu

już zbyt długo.

– To znaczy, że chce pan zapłacić za utrzymanie tego stworzenia w stanie hipotermii?

– To znaczy, że chcę nam obu zapewnić Długi Sen. I proszę nie nazywać go „tym stworzeniem”. Ma na imię Petroniusz.

– Przepraszam. Sformułuję inaczej moje pytanie. Czy jest pan gotów uiścić dwie stawki za przyjęcie pana i, eee, Petroniusza do naszego azylu?

– Tak. Jednak nie dwie standardowe stawki. Oczywiście jakąś dopłatę, ale możecie nas obu upchać do jednej trumny; uczciwość nakazuje, by nie pobierać za Pete’a tyle co za człowieka.

– To naprawdę niezwykłe życzenie.

– Oczywiście. Jednak o cenę będę się targować później… z panem lub z Doliną Środkową. Teraz chcę tylko wiedzieć, czy możecie to zrobić.

– Hm… – Postukał palcami po stole. – Chwileczkę. – Podniósł słuchawkę telefonu i powiedział: – Opal, połącz mnie z doktorem Berquistem. – Reszty rozmowy nie usłyszałem, ponieważ włączył zagłuszanie. Po chwili jednak odłożył słuchawkę i uśmiechnął się, jakby zmarł mu właśnie bogaty wuj. – Dobre wieści, proszę pana! Wyleciało mi z głowy, że pierwsze udane próby przeprowadzono z kotami. Procedury i wszystkie istotne czynniki dla kotów są więc znane. Tak naprawdę w Laboratorium Badawczym Marynarki Wojennej w Annapolis mają kota, który już od ponad dwudziestu lat jest w stanie hipotermii.

– Myślałem, że to laboratorium zostało starte z powierzchni ziemi, gdy zniszczyli Waszyngton.

– Tylko budynki na powierzchni, proszę pana, nie podziemne schrony. To najlepszy dowód doskonałości tej techniki; zwierzę przez ponad dwa lata pozostawało tylko pod nadzorem maszyn… a mimo to żyje, nie zmieniło

się, nie zestarzało. Tak samo pan będzie żył przez taki czas, na jaki pan zechce powierzyć się Towarzystwu.

Zanosiło się na to, że zaraz się przeżegna.

– Dobrze, dobrze, zatem zacznijmy się targować.

Należało ustalić cztery problemy: po pierwsze, jak płacić za opiekę nad nami podczas hibernacji; po drugie, jak długo będziemy spać; po trzecie, jak mają zainwestować moje pieniądze na czas pobytu w zamrażarce; wreszcie, co się stanie, jeżeli odwalę kitę i wcale się nie obudzę.

Ostatecznie wybrałem rok 2000, ładna okrągła data i zaledwie za trzydzieści lat. Bałem się, że po dłuższym czasie zupełnie wypadnę z obiegu. Zmiany, które zaszły przez ostatnie trzydzieści lat (podczas mojego dotychczasowego życia), były wystarczająco duże, by człowiekowi wyszły oczy z orbit – dwie wojny światowe i parenaście pomniejszych, upadek komunizmu, recesja, satelity, przejście na energię atomową – przecież gdy byłem chłopcem, nie istniał nawet druk trójwymiarowy.

Rzeczywistość roku 2000 mogła być dla mnie trudna do ogarnięcia. Gdybym jednak nie skoczył tak daleko w przyszłość, Belle nie zdążyłaby wyhodować pięknej siatki zmarszczek.

Kiedy doszliśmy do kwestii lokowania mojego majątku, nie brałem pod uwagę obligacji państwowych i tym podobnych konserwatywnych inwestycji, gdyż nasz system fiskalny zakłada inflację. Postanowiłem pozostawić sobie akcje Służki, a za gotówkę nabyć akcje znanych przedsiębiorstw, opierając się na trendach, które uznałem za obiecujące. Automatyka nieuchronnie miała się rozwijać. Wybrałem firmę z San Francisco, która produkowała nawozy sztuczne oraz eksperymentowała z drożdżami i jadalnymi wodorostami – ludzi co roku przybywało i steki na pewno nie potanieją. Resztę pieniędzy kazałem ulokować w funduszu powierniczym zarządzanym przez Towarzystwo.

Najtrudniej było zdecydować, co zrobić, gdybym zmarł podczas hibernacji. Towarzystwo twierdziło, że mam ponad siedemdziesiąt procent szans na przeżycie tych trzydziestu lat snu w zamrażarce… ale liczyło się z obiema ewentualnościami. Ryzyko było spore, więc tego się spodziewałem; każdy prawdziwy hazard wymaga procentu dla organizatora. Tylko nieuczciwi szulerzy twierdzą, że dają frajerom maksimum szans, a ubezpieczenie jest przecież zalegalizowanym hazardem. Nawet najstarsza i najszacowniejsza firma ubezpieczeniowa na świecie, Lloyd's of London, nie ukrywa, że ubezpiecza zarówno od zysków, jak i strat. Nie należy jednak oczekiwać lepszych stawek niż na wyścigach; w końcu ktoś musi płacić za szyte na miarę garnitury naszego pana Powella.

Zdecydowałem, że jeśli umrę, wszystko, do ostatniego centa, przejdzie na fundusz powierniczy Towarzystwa… w wyniku czego pan Powell miał ochotę mnie ucałować, a ja zacząłem się zastanawiać, czy tych siedemdziesięciu procent szans nie wyliczono zbyt optymistycznie. Nie zmieniłem jednak zdania, ponieważ w ten sposób stawałem się spadkobiercą (gdybym przeżył) wszystkich, którzy podjęli tę samą decyzję (gdyby umarli). Rosyjska ruletka, gdzie ten, który przeżyje, dostaje część kasy… a firma ubezpieczeniowa jak zwykle zgarnia pulę.

Rozważyłem wszystkie możliwości, które gwarantowały maksymalny zysk bez hedgingu, gdybym źle wybrał; pan Powell kochał mnie, tak jak krupier kocha frajera, który nieustannie stawia na zero. Kiedy rozdysponowałem moje aktywa, był już bardziej niż chętny dać mi sensowny upust za Pete'a; uzgodniliśmy, że za jego hibernację uiszczę piętnaście procent opłaty za człowieka, i sporządził dla niego oddzielną umowę.

Pozostała jeszcze kwestia sądowego zezwolenia i badań lekarskich. Tych ostatnich wcale się nie obawiałem; przeczuwałem, że skoro podpisałem umowę uwzględniającą ewentualność mojej śmierci, przyjęto by mnie nawet w ostatnim stadium dżumy. Sądziłem jednak, że uzyskanie zgody jakiegoś sędziego może trochę potrwać. A była ona niezbędna, ponieważ klient w zimnym śnie jest z prawnego punktu widzenia żywy, ale ubezwłasnowolniony.

Niepotrzebnie się martwiłem. Nasz pan Powell przedstawił mi do podpisu dziewiętnaście różnych dokumentów sporządzonych w czterech egzemplarzach. Podpisywałem, aż dostałem skurczu palców. Goniec wybiegł z dokumentami, a ja poszedłem na badanie lekarskie. Nawet nie zobaczyłem sędziego.

Badanie było zwykłym męczącym zestawem rutynowych czynności z jednym wyjątkiem. Lekarz na końcu spojrzał mi surowo w oczy i spytał:

– Chłopcze, jak długo trwa ten alkoholowy ciąg?

– Ciąg?

– Alkoholowy.

– Dlaczego pan tak uważa, doktorze? Jestem równie trzeźwy jak pan. Król Karol kupił królowej Karolinie…

– Niech pan przestanie i odpowie.

– Hmm… powiedziałbym, że ze dwa tygodnie. Może troszkę dłużej.

– Jest pan alkoholikiem? Ile razy w przeszłości wpadał pan w taki ciąg?

– Prawdę powiedziawszy, jeszcze nigdy. Widzi pan…

Zacząłem mu opowiadać, co mi zrobili Belle z Milesem i dlaczego czuję się tak, jak się czuję.

Uniósł dłoń.

– Proszę. Sam mam problemy i nie jestem psychiatrą. Tak naprawdę interesuje mnie tylko to, czy pańskie serce zniesie spadek temperatury do

czterech stopni Celsjusza. A zniesie. Zazwyczaj nie obchodzi mnie, dlaczego ktoś sfiksował tak, że chce się schować w mysiej dziurze. Niemniej resztki etyki zawodowej nie pozwalają mi wpuścić do jednej z tych trumien człowieka, choćby i w opłakanym stanie, którego mózg jest oszołomiony alkoholem. Proszę się odwrócić.

– Słucham?

– Proszę się odwrócić. Zrobię panu zastrzyk w lewy pośladek.

Odwróciłem się, a on zrobił, co zapowiadał. Gdy masowałem bolące miejsce, dodał:

– Niech pan to wypije. Za mniej więcej dwadzieścia minut będzie pan trzeźwiejszy, niż był pan przez ostatni miesiąc. Potem, jeśli ma pan dość zdrowego rozsądku – w co wątpię – może pan jeszcze raz rozważyć swoją sytuację i zdecydować, czy uciec przed problemami… czy stawić im czoło jak mężczyzna.

Wypiłem płyn.

– To wszystko; może się pan ubrać. Podpiszę dokumenty, ale ostrzegam, że mogę cofnąć zgodę nawet w ostatniej chwili. Od teraz ani kropli alkoholu, lekka kolacja i żadnego śniadania. Jutro o dwunastej proszę przyjść na końcowe badanie.

Odszedł, nawet się nie pożegnawszy. Ubrałem się i wyszedłem z gabinetu bliski wrzenia. Powell miał już przygotowane wszystkie dokumenty. Kiedy je brałem, powiedział:

– Jeżeli pan chce, może je pan zostawić tutaj i zabrać jutro w południe… to znaczy, ten komplet, który zabiera pan ze sobą do krypty.

– A co się stanie z pozostałymi?

– Jeden komplet zostaje u nas, a kiedy będzie pan już pod naszą opieką, drugi umieścimy w sądzie, a trzeci w archiwum w Carlsbadzie. Hm, czy doktor ostrzegł pana co do diety?

– Tak, pewnie.

Zajrzałem do dokumentów, żeby ukryć irytację.

Powell wyciągnął po nie rękę.

– Przechowam je przez noc.

Nie oddałem mu ich.

– Sam je przechowam. Może zechcę zmienić dyspozycje co do wyboru akcji.

– Hm, na to już trochę późno, drogi panie Davis.

– Proszę mnie nie popędzać. Jeżeli dokonam jakichś zmian, przyjdę wcześniej.

Otworzyłem torbę podróżną i włożyłem papiery do bocznej kieszeni obok Pete’a. Także dawniej trzymałem tam ważne dokumenty; choć może nie były tam tak bezpieczne jak w Państwowym Archiwum w Carlsbad Caverns, to i tak bardziej, niż mogłoby się zdawać. Pewien złodziejaszek próbował niegdyś coś wyciągnąć z tej kieszeni; niewątpliwie do dziś ma blizny po zębach i pazurach Pete’a.

Rozdział II

Mój samochód stał od rana przy Pershing Square. Wrzuciłem monety do parkometru, nastawiłem autopilota na zachodnią przelotową, wyjąłem Pete’a i umieściłem go na siedzeniu, a potem się odprężyłem.

A raczej spróbowałem się odprężyć. Natężenie ruchu ulicznego w Los Angeles było zbyt duże, żebym naprawdę mógł polegać na autopilocie. Z chęcią przerobiłbym całą instalację, która wcale nie była nowoczesna i bezpieczna. Kiedy zostawiliśmy za sobą Western Avenue i mogłem znów przejść na ręczne prowadzenie, byłem spięty i potrzebowałem drinka.

– Pete, tam widzę oazę.

– Mrrr?

– Przed nami.

Kiedy jednak szukałem miejsca na samochód – Los Angeles nie grozi inwazja, najeźdźcy nie mieliby gdzie zaparkować – przypomniałem sobie, że lekarz zabronił mi spożywania alkoholu.

Dobitnie powiedziałem mu, co może sobie zrobić ze swoimi zaleceniami.

Później zastanawiałem się nad tym, czy po upływie niemal całego dnia będzie mógł wykryć, że piłem. Mętnie pamiętałem jakiś fachowy artykuł na ten temat, który jednak przejrzałem tylko pobieżnie, ponieważ mnie wtedy nie zainteresował.

Do licha, ten lekarz naprawdę mógł nie pozwolić mi na zimny sen. Lepiej zachować ostrożność i dać sobie spokój z alkoholem.

– Miau? – dociekał Pete.

– Później. Znajdziemy restaurację dla zmotoryzowanych.

Nagle uświadomiłem sobie, że tak naprawdę nie chce mi się pić; chciałem zjeść coś solidnego i przespać całą noc. Doktor miał rację; otrzeźwiałem i czułem się lepiej niż w ciągu kilku poprzednich tygodni. Może wstrzyknął mi w tyłek tylko B_1, ale jeśli nawet, to dawała kopa. Tak więc znaleźliśmy restaurację dla zmotoryzowanych. Zamówiłem dla siebie połówkę kurczaka po amerykańsku z pieczonymi ziemniakami, a dla Pete'a półfuntowego hamburgera i mleko, i kiedy przygotowywano potrawy, zabrałem go na krótki spacer. Często jadaliśmy w takich restauracjach, ponieważ nie musiałem przemycać Pete'a do środka i na zewnątrz.

Pół godziny później wyprowadziłem samochód z zatłoczonego podjazdu, zatrzymałem się, zapaliłem papierosa, podrapałem Pete'a po szyi i zamyśliłem się.

Dan, chłopie, doktor miał rację; próbowałeś utopić siebie w butelce. Twój zakuty łeb by tam się zmieścił, ale dla ramion szyjka jest za wąska. Teraz jesteś zupełnie trzeźwy, masz pełny brzuch i po raz pierwszy od kilku tygodni jesteś na luzie. Czujesz się lepiej.

A poza tym? Czy doktor miał rację co do pozostałych spraw? Czy jesteś rozpuszczonym dzieciakiem? Brakuje ci odwagi, żeby zmierzyć się z porażką? Dlaczego chcesz to zrobić? Czy to żądza przygód? Czy po prostu próbujesz uciec sam przed sobą i najchętniej ukryłbyś się pod spódnicą mamusi?

Ale ja naprawdę chcę to zrobić, powiedziałem sobie. Zobaczyć rok 2000. Chłopie!

W porządku, zatem chcesz tego. Tylko czy musisz uciekać, pozostawiając tu niezałatwione sprawy?

No dobrze, dobrze! Jak jednak mogę je załatwić? Nie chcę, żeby Belle do mnie wróciła, nie po tym, co zrobiła. Co jeszcze mogę zrobić? Podać ich do

sądu? Nie wygłupiaj się, nie masz żadnych dowodów – a poza tym procesy sądowe zawsze wygrywają tylko prawnicy.

Pete prychnął.

– Nnno? Wieszszsz!

Spojrzałem na jego poznaczoną bliznami głowę. Pete nie pozwałby nikogo do sądu; jeśli nie podobał mu się kształt wąsików jakiegoś pobratymca, po prostu wyzywał go, by stawił mu czoło i walczył jak kot.

– Sądzę, że masz rację, Pete. Odszukam Milesa, wyrwę mu nogi z tyłka i będę go tłukł tak długo, aż zacznie gadać. Później możemy zapaść w Długi Sen. Najpierw jednak musimy się dowiedzieć, co nam zrobili i kto to wykoncypował.

Na tyłach była budka telefoniczna. Zadzwoniłem do Milesa, zastałem go w domu i powiedziałem mu, żeby nie wychodził; zaraz przyjadę.

Ojciec nadał mi imiona Daniel Boone, w ten sposób deklarując swoje przywiązanie do idei osobistej wolności i niezależności. Urodziłem się w roku 1940, gdy wszyscy mówili, że jednostka jest niczym, a przyszłość należy do mas. Tata nie chciał w to uwierzyć; moje imiona były wyrazem jego sprzeciwu. Zmarł podczas prania mózgu w Korei Północnej, do końca próbując dowieść swego.

Gdy wybuchła wojna sześciotygodniowa, miałem dyplom inżyniera mechanika i służyłem w wojsku. Nie wykorzystałem ukończonych studiów do zdobycia stopnia oficerskiego, ponieważ odziedziczyłem po ojcu przemożną potrzebę pozostania panem samego siebie, niechęć do wydawania i wykonywania rozkazów oraz przestrzegania regulaminów – po prostu pragnąłem odsłużyć swoje i pójść do cywila. Gdy zimna wojna rozpętała się na dobre, byłem technikiem w stopniu sierżanta w Ośrodku

Zbrojeniowym Sandia w Nowym Meksyku, wpychałem atomy do bomb atomowych i planowałem, co będę robił po zakończeniu służby. W dniu, w którym Sandia zniknęła z powierzchni ziemi, byłem w Dallas, gdzie załatwiałem świeżą dostawę paskudztwa. Wiatr zwiał opad radioaktywny w kierunku Oklahoma City, więc przeżyłem i mogłem korzystać z przywilejów kombatanta.

Pete przeżył w podobny sposób. Miałem kumpla, Milesa Gentry'ego, weterana przywróconego do służby czynnej. Ożenił się z wdową, która miała jedną córkę, ale jego żona zmarła mniej więcej wtedy, gdy znowu otrzymał powołanie do wojska. Mieszkał u dalekiej rodziny w Albuquerque, żeby zapewnić dom pasierbicy Frederice. Mała Ricky (nigdy nie nazywaliśmy jej Fredericą) opiekowała się moim Pete'em. Dzięki kociej bogini Bastet Miles dostał przepustkę akurat na ten okropny weekend i wyjechał z Ricky, a ona wzięła ze sobą Pete'a, ponieważ nie mogłem zabrać go do Dallas.

Byłem tak samo zaskoczony jak inni, kiedy okazało się, że mieliśmy oddziały ukryte w Thule i innych miejscach, gdzie nikt ich się nie spodziewał. Już od lat trzydziestych wiedziano, że można ochłodzić ludzkie ciało, w wyniku czego ustają prawie wszystkie czynności życiowe. Jednak do okresu wojny sześciotygodniowej było to jedynie sztuczką laboratoryjną lub formą terapii z wyboru. Trzeba to przyznać wojskowym laboratoriom: jeśli dostaną ludzi i pieniądze, mają wyniki. Wystarczy wydrukować kolejny miliard, zatrudnić kolejny tysiąc naukowców i inżynierów, a wtedy w jakiś niewiarygodny, pokręcony i nieefektywny sposób pojawi się odpowiedź. Anabioza, zimny sen, hibernacja, hipotermia, zwolniony metabolizm, nazwijcie to, jak chcecie – zespoły logistyczno-medyczne nauczyły się magazynować ludzi jak konserwy i wykorzystywać w razie potrzeby. Najpierw obiekt należy odurzyć i zahipnotyzować, a potem

oziębić i przechowywać w temperaturze czterech stopni, przy której woda ma maksymalną gęstość, nie tworząc kryształków lodu. Gdy trzeba go szybko ożywić, za pomocą diatermii i posthipnotycznych bodźców można to zrobić w dziesięć minut (w Nome wystarcza siedem), ale taki pośpiech powoduje starzenie się tkanek i czasem upośledza psychicznie. Jeśli nie należy się spieszyć, odpowiednie minimum to dwie godziny. Szybką metodę zawodowi żołnierze nazywają „wkalkulowanym ryzykiem”.

Wszystko to było ryzykiem, którego wróg nie wkalkulował, więc gdy wojna się skończyła, nie zostałem zlikwidowany ani wysłany do obozu pracy, ale otrzymałem żołd i razem z Milesem założyliśmy firmę mniej więcej w tym samym czasie, gdy towarzystwa ubezpieczeniowe zaczęły sprzedawać zimny sen.

Pojechaliśmy na pustynię Mojave, otworzyliśmy fabryczkę i zaczęliśmy produkować Służkę, łącząc moje zdolności techniczne z prawnym i biznesowym doświadczeniem Milesa. Tak, zaprojektowałem Służkę i wszystkich jej krewniaków – Wystawowego Williego i resztę – choć moje nazwisko nie figuruje na żadnym z tych wyrobów. Kiedy pełniłem służbę, długo zastanawiałem się, co może robić inżynier mechanik. Zatrudnić się w Standard Oil, Du Pont czy General Motors? Po trzydziestu latach urządzą ci przyjęcie jako dowód uznania i dadzą emeryturę. Nigdy nie będziesz głodował, polatasz sobie w firmowych samolotach. Nigdy jednak nie będziesz panem samego siebie. Równie duża grupa inżynierów trafiła do administracji państwowej – dobra pensja na początek, dobra emerytura, żadnych zmartwień, trzydzieści dni urlopu rocznie, sporo różnych dodatków. Tylko że ja właśnie skończyłem taki długi państwowy urlop i chciałem być panem samego siebie.

Co było na tyle małe, by poradził sobie z tym jeden inżynier, i nie wymagało sześciu milionów roboczogodzin, żeby wypuścić pierwszy

model na rynek? Na otwarcie warsztatu rowerowego nie trzeba dużego kapitału, a od tego zaczynali bracia Wright i Ford – ludzie mówili, że te czasy minęły na zawsze, ale ja w to nie wierzyłem.

Automatyzacja rozwijała się błyskawicznie – zakłady wymagające nadzoru zaledwie dwóch konserwatorów i jednego strażnika, urządzenia drukujące bilety w jednym mieście, a w sześciu innych odznaczające te miejsca jako sprzedane, stalowe krety fedrujące węgiel na oczach spokojnie przyglądających się związkowców. Tak więc kiedy byłem na liście płac Wuja Sama, chłonąłem wszelką wiedzę o elektronice, łączności i cybernetyce, do jakiej dawał mi dostęp mój certyfikat „Q”.

Co zostanie zautomatyzowane na samym końcu? Odpowiedź: gospodarstwo domowe. Nie próbowałem stworzyć naukowo zautomatyzowanego domu, ponieważ kobiety wcale go nie pragną; one po prostu chcą lepiej wyposażonej jaskini. Gospodynie domowe jednak wciąż narzekały na Problemy ze Służbą na długo po tym, gdy służący stali się gatunkiem równie wymarłym jak mastodonty. Rzadko spotykałem gospodynię, która nie marzyłaby skrycie o przywróceniu niewolnictwa; zdawały się uważać, że powinny mieć kilka wiejskich dziewek wdzięcznych za możliwość szorowania podłóg przez czternaście godzin dziennie, żywienia się resztkami ze stołu i zadowolonych z pensji, którą wzgardziłby nawet pomocnik hydraulika.

Dlatego też nazwałem moje monstrum Służką – co kojarzyło się z półniewolnicą, imigrantką, którą kiedyś pomiatała babcia. W rzeczywistości był to po prostu ulepszony odkurzacz, który zamierzaliśmy sprzedawać po cenie konkurencyjnej dla zwykłych elektroluksów.

Służka (pierwszy model, nie ten półinteligentny robot, którego z czasem z niej stworzyłem) miała tylko czyścić podłogi… wszelkie rodzaje podłóg,

przez cały dzień, bez nadzoru. A nie ma takiej podłogi, która nie wymagałaby czyszczenia.

Służka zamiatała, wycierała, odkurzała lub polerowała, podejmując decyzje w oparciu o taśmy z jej niewielkiej pamięci. Zbierała wszelkie przedmioty większe od śrutu i umieszczała na tacy przymocowanej do jej górnej obudowy, tak by ktoś mądrzejszy ustalił, czy to zachować, czy wyrzucić. Przez cały dzień cicho szukała brudu, nie przegapiając niczego, omijając czyste miejsca w niekończącym się poszukiwaniu zanieczyszczonych. Jak dobrze wyszkolona służąca opuszczała pokoje, w których byli ludzie, chyba że pani podeszła do niej i przestawiła dźwigienkę, żeby poinformować biedaczkę, że nie przeszkadza. Pod wieczór wracała na swój stojak i pospiesznie ładowała akumulator – tak było, zanim zainstalowaliśmy w niej wieczną baterię.

Służka, Typ I, niewiele różniła się od odkurzacza. Jednak główna różnica – to, że sprzątała bez nadzoru – wystarczyła, żeby dobrze się sprzedawała.

Podstawową zasadę działania oparłem na koncepcji „elektrycznego żółwia”, opisanej w „Scientific American” pod koniec lat czterdziestych, skopiowałem obwód pamięciowy z mózgu zdalnie sterowanego pocisku (to miłe, że ściśle tajne gadżety nie są patentowane), a podzespoły mechaniczne i elektryczne z najrozmaitszych urządzeń, od froterki do podłóg wykorzystywanej w wojskowych szpitalach, przez dystrybutor napojów gazowanych, po mechaniczne „ręce” używane w elektrowniach atomowych. W istocie nie było to nic nowego; po prostu połączyłem te wszystkie elementy. „Iskra geniuszu”, której wymagają nasze przepisy, polega jedynie na znalezieniu dobrego specjalisty od praw patentowych.

Naprawdę genialna była tylko metoda produkcji; cały model można było wykonać ze standardowych części zamówionych z katalogu Sweeta, z wyjątkiem dwóch czujników i jednego obwodu scalonego. Produkcję tego

ostatniego zleciliśmy innej firmie; czujniki wyprodukowałem sam, wykorzystując obrabiarki z demobilu zainstalowane w szopie, którą dumnie nazwaliśmy naszą „fabryką”. Początkowo całą linię montażową tworzyliśmy my, Miles i ja – składanie, dopasowanie, malowanie. Prototyp kosztował 4317,09 dolara; każdy egzemplarz pierwszej setki trochę ponad 39 dolarów – a przekazaliśmy je po 60 dolarów domowi towarowemu w Los Angeles, który sprzedawał je po 85 dolarów. Pierwszą partię musieliśmy dać im w komis, żeby ją przyjęli, bo nie było nas stać na reklamę, i zanim zaczęły przychodzić czeki, niemal przymieraliśmy głodem. Potem „Life” opublikował dwustronicowy artykuł o Służce… i trzeba było szukać odpowiedniej liczby pomocników do montowania tego monstrum.

Belle Darkin dołączyła do nas wkrótce po tym. Wcześniej Miles i ja wystukiwaliśmy całą korespondencję na maszynie do pisania Underwood z 1908 roku; zatrudniliśmy Belle jako maszynistkę i księgową, wypożyczyliśmy elektryczną maszynę do pisania z ozdobnymi czcionkami i węglową taśmą, a ja wymyśliłem nagłówek na papier firmowy. Cały dochód pakowaliśmy w biznes. Pete i ja spaliśmy w warsztacie, a Miles i Ricky w pobliskiej szopie. Założyliśmy spółkę akcyjną, żeby chronić swoje interesy. Potrzebne były trzy osoby; daliśmy Belle udział w akcjach i mianowaliśmy ją skarbnikiem. Miles był prezesem i naczelnym dyrektorem, a ja głównym inżynierem i przewodniczącym rady nadzorczej… z pięćdziesięciojednoprocentowym udziałem w akcjach.

Wyjaśnię, dlaczego pozostawiłem sobie kontrolny pakiet udziałów. Nie byłem chciwy; po prostu chciałem pozostać panem samego siebie. Miles harował jak wół, muszę mu to przyznać. Jednak ponad sześćdziesiąt procent oszczędności, z którymi zaczynaliśmy, było moje, tak jak wynalazki i techniki produkcji. Miles nigdy nie zdołałby skonstruować

Służki, natomiast ja mógłbym to zrobić z innym potencjalnym partnerem, a może nawet sam – tyle że prawdopodobnie nie zdołałbym wtedy na niej zarobić. Miles był biznesmenem, a ja nie.

Chciałem jednak zachować kontrolę nad warsztatem – i pozostawiłem Milesowi równą swobodę w sprawach handlowych… zbyt dużą swobodę, jak się później okazało.

Służka, Typ I, sprzedawała się jak piwo na meczu baseballowym i przez jakiś czas byłem zajęty jej udoskonalaniem, tworzeniem prawdziwej linii montażowej i szukaniem fachowca, któremu można by powierzyć nadzór nad produkcją, a potem z radością wymyślałem następne domowe gadżety. To zadziwiające, że tak niewielką uwagę poświęcano dotychczas pracom domowym, chociaż składają się na co najmniej pięćdziesiąt procent całej wykonywanej na świecie pracy. Wprawdzie czasopisma dla kobiet mówiły o „ułatwieniach w domu” i „funkcjonalnych kuchniach”, ale była to tylko zwykła paplanina; zamieszczane w nich ładne zdjęcia ukazywały mieszkania niewiele różniące się funkcjonalnością od tych z czasów Szekspira; rewolucyjne przejście od konia do odrzutowca jeszcze nie objęło gospodarstw domowych.

Wyszedłem z założenia, że gospodynie domowe są reakcjonistkami. Żadnych „maszyn poprawiających jakość życia” – po prostu gadżety, które zastąpiłyby niegdysiejszą służbę, czyli sprzątały, gotowały i zajmowały się dziećmi.

Pomyślałem o brudnych oknach i pasie osadu w wannie, tak trudnego do usunięcia, ponieważ trzeba zgiąć się wpół, żeby go dosięgnąć. Okazało się, że urządzenie wytwarzające ładunek elektrostatyczny w mgnieniu oka usuwa brud z wszelkich silikonowanych powierzchni, szyb okiennych, wanien, sedesów. Tak powstał Wystawowy Willie i to cud, że nikt wcześniej go nie wymyślił. Wstrzymywałem się z wprowadzeniem

Williego na rynek, dopóki nie mogłem zaoferować go za nieodparcie niską cenę. Czy wiecie, ile zazwyczaj płaciło się za godzinę mycia okien?

Nie wprowadzałem Williego do produkcji znacznie dłużej, niż chciał Miles. On pragnął rozpocząć sprzedaż, gdy tylko byliśmy w stanie wytwarzać go dostatecznie tanio, ale ja nalegałem na jedno: naprawa Williego musi być łatwa. Ogromną wadą większości urządzeń gospodarstwa domowego było to, że im były lepsze i wszechstronniejsze, tym częściej się psuły w chwili, gdy były najbardziej potrzebne – i trzeba je było oddać do naprawy fachowcowi liczącemu sobie pięć dolarów za godzinę pracy. I tak co tydzień, jak nie zmywarka naczyń, to klimatyzacja… zazwyczaj w sobotę wieczór w czasie zamieci.

Chciałem, żeby moje gadżety nieustannie działały i nie wywoływały wrzodów żołądka u właścicieli.

Gadżety jednak rzeczywiście się psują, nawet moje. Dopóki nie nadejdzie wielki dzień, w którym powstaną urządzenia bez ruchomych części, maszyny będą zawodzić. Jeśli będziesz mieć dom pełen gadżetów, niektóre z nich zawsze będą zepsute.

Jednak badania zlecone przez armię dały rezultaty i wojsko uporało się z tym problemem przed wieloma laty. Po prostu nie można stracić tysięcy lub milionów żołnierzy i przegrać bitwy, a może nawet całej wojny, tylko dlatego, że padnie jakiś gadżet wielkości kciuka. W technice wojskowej zastosowano rozmaite rozwiązania tego problemu – wielopoziomowe zabezpieczenia, zapasowe obwody, złożone hasła i tym podobne. Rozwiązaniem, które można było zastosować w urządzeniach gospodarstwa domowego, była wymienialność modułów.

Zasada jest idiotycznie prosta: nie naprawiaj, lecz wymieniaj. Chciałem, żeby każda część Wystawowego Williego, która mogłaby się zepsuć, była łatwo wymienialnym modułem i żeby do każdego egzemplarza dołączać

komplet części zamiennych. Niektóre składniki będzie się wyrzucać, inne wysyłać do naprawy, ale w razie awarii Willie będzie wyłączony z eksploatacji tylko na krótką chwilę, potrzebną na wymianę odpowiedniego modułu.

Miles i ja po raz pierwszy się pokłóciliśmy. Ja powiedziałem, że decyzję o tym, kiedy należy przejść od prototypu do produkcji, podejmuje konstruktor; on utrzymywał, że odpowiada za to dział handlowy. Gdybym nie miał pakietu kontrolnego, Willie wszedłby na rynek z irytującą skłonnością do ostrych zapaści, równie częstą jak u innych kiepskich, niedopracowanych, „usprawniających pracę" urządzeń.

Belle Darkin załagodziła spór. Gdyby nalegała, zapewne pozwoliłbym Milesowi sprzedawać Williego, zanim uznałem, że jest naprawdę gotowy, ponieważ byłem po uszy w niej zakochany.

Belle była nie tylko doskonałą sekretarką i kierowniczką biura, ale miała ciało o proporcjach, którymi zachwyciłby się Praksyteles, i zapachu działającym na mnie jak kocimiętka na Pete'a. Skoro panował dotkliwy niedobór dobrych pracownic biurowych, to kiedy się okazało, że jedna z najlepszych z nich jest gotowa pracować w ledwie zipiącej firmie za pensję znacznie niższą od przeciętnej, należało zadać pytanie „dlaczego?" – ale nie zapytaliśmy nawet, gdzie pracowała ostatnio, tak się cieszyliśmy z tego, że zajmie się powodzią papierków, która zalała nas po wprowadzeniu na rynek Służki.

Później z oburzeniem odrzuciłbym wszelkie sugestie sprawdzenia Belle, bo obwód jej biustu poważnie ograniczył moją zdolność trzeźwego myślenia. Pozwoliła mi wyznać, jak samotne życie wiodłem, zanim się pojawiła, i delikatnie dała mi do zrozumienia, że musiałaby mnie lepiej poznać, ale jest skłonna podzielać moje uczucia.

Wkrótce po tym, jak załagodziła mój spór z Milesem, obiecała połączyć się ze mną.

– Dan, kochanie, masz wszelkie zadatki na to, by zostać wielkim człowiekiem… i mam nadzieję, że jestem kobietą, która może ci w tym pomóc.

– Z całą pewnością!

– Ciii, kochanie. Jednak nie zamierzam wyjść za ciebie natychmiast, żeby obarczyć cię dziećmi i przysporzyć zmartwień. Najpierw popracuję z tobą i pomogę ci stworzyć solidną firmę. Dopiero potem się pobierzemy.

Zaprotestowałem, ale była stanowcza.

– Nie, kochanie. Zajdziemy razem daleko, ty i ja. Firma Służka będzie równie znana jak General Electric. Gdy się pobierzemy, chcę zapomnieć o interesach i po prostu cię uszczęśliwiać. Lecz najpierw muszę zadbać o ciebie i twoją przyszłość. Zaufaj mi, skarbie!

Zaufałem. Nie zgodziła się, żebym kupił jej drogi pierścionek zaręczynowy, który pragnąłem nabyć; zamiast niego w prezencie przekazałem jej część swoich akcji. Oczywiście wciąż zamierzałem sam podejmować decyzje. Z perspektywy czasu nie jestem pewny, które z nas to wymyśliło.

Następnie pracowałem jeszcze ciężej niż przedtem, projektując samoopróżniające się kosze na śmieci i mechanizmy wyjmujące czyste naczynia ze zmywarki. Wszyscy byliśmy szczęśliwi… to znaczy wszyscy oprócz Pete’a i Ricky. Pete ignorował Belle, tak jak wszystko, czego nie aprobował i nie mógł zmienić, ale Ricky była naprawdę nieszczęśliwa.

Z mojej winy. Ricky została „moją dziewczyną”, od kiedy była sześciolatką w Sandii, z kokardami we włosach i wielkimi, poważnymi, ciemnymi oczami. Miałem „ożenić się z nią”, gdy dorośnie, i wtedy razem opiekowalibyśmy się Pete’em. Uważałem, że to tylko niewinna zabawa,

i być może rzeczywiście taka była, a mała Ricky traktowała ją poważnie tylko dlatego, że zapewniała jej w przyszłości opiekę nad naszym kotem. Czy jednak wiadomo, co się dzieje w głowie dziecka?

Nie przepadam za dziećmi. Większość z nich to małe potwory, które nie dają się utemperować, dopóki nie dorosną, a czasem nawet i wtedy. Jednak mała Frederica przypominała mi moją siostrę w tym wieku, a ponadto lubiła Pete'a i dobrze go traktowała. Sądzę, że lubiła mnie dlatego, że nigdy nie traktowałem jej protekcjonalnie (sam nie znosiłem tego w dzieciństwie) i poważnie podchodziłem do jej działalności w drużynie skautek. Ricky była w porządku; cicha i spokojna, nigdy nie histeryzowała, nie piszczała i nie wchodziła na kolana. Byliśmy przyjaciółmi wspólnie opiekującymi się Pete'em i uważałem ją za „moją dziewczynę" tylko w ramach naszej wspólnej wyrafinowanej zabawy.

Zaprzestałem jej w dniu, gdy moja siostra i matka zginęły podczas bombardowania. Nie była to świadoma decyzja – po prostu straciłem ochotę do żartów i nigdy jej nie odzyskałem. Ricky miała wtedy siedem lat; dziesięć, gdy dołączyła do nas Belle, a jedenaście, kiedy się zaręczyliśmy. Chyba tylko ja zdawałem sobie sprawę, jak bardzo Ricky nienawidziła Belle, ponieważ objawiało się to jedynie jej niechęcią do rozmów z moją narzeczoną – Belle nazywała to „nieśmiałością" i sądzę, że Miles też tak uważał.

Ja jednak wiedziałem lepiej i starałem się wyperswadować to Ricky. Próbowaliście kiedyś rozmawiać z dzieckiem o czymś, o czym ono nie chce mówić? Z lepszym skutkiem można krzyczeć w Echo Canyon. Doszedłem do wniosku, że wszystko się zmieni, gdy Ricky zobaczy, jak urocza jest Belle.

Pete to inna sprawa i gdybym nie był zakochany, uznałbym to za wyraźną zapowiedź tego, że Belle i ja nigdy się nie zrozumiemy. Belle

„lubiła” mojego kota – och, pewnie, pewnie! Uwielbiała koty, uwielbiała początki mojej łysiny, podziwiała moją umiejętność wyboru dobrych restauracji i wszystko, co ze mną się wiązało.

Jednak przed miłośnikiem kotów trudno jest udawać, że się je lubi. Ludzie dzielą się na kociarzy i pozostałych, zapewne większość, którzy nie znoszą „nikomu niewadzącego, niezbędnego w domu kota”. Jeśli z grzeczności lub jakiegoś innego powodu próbują udawać, że jest inaczej, od razu to widać, ponieważ nie wiedzą, jak traktować kota – a koci protokół jest bardziej restrykcyjny od dyplomatycznego.

Opiera się na poczuciu własnej godności oraz wzajemnym szacunku i przypomina powszechną w Ameryce *dignidad de hombre*, której urażenie grozi utratą życia.

Koty nie znają się zupełnie na żartach, mają straszliwie rozbuchane ego i są niezwykle drażliwe. Gdyby zapytano mnie, dlaczego właściwie ktoś miałby się o nie troszczyć, musiałbym odpowiedzieć, że nie potrafię podać rozsądnego powodu. Już prędzej wyjaśniłbym komuś, kto nie znosi ostrych serów, dlaczego „powinien lubić” limburski. Pomimo to w pełni sympatyzuję z mandarynem, który obciął bezcenny haftowany rękaw, ponieważ spał na nim kotek.

Belle usiłowała pokazać, że „lubi” Pete’a, traktując go jak psa… więc ją podrapał. Następnie, jako rozsądny kot, uciekł i długo nie wracał – zupełnie słusznie, ponieważ przywaliłbym mu, a jeszcze nigdy mu się nie dostało, nie ode mnie. Bicie kota jest kompletnie bezsensowne; kota można wychować tylko cierpliwością, nigdy przemocą.

Przemyłem ranki Belle jodyną, a potem próbowałem jej wyjaśnić, co zrobiła źle.

– Przykro mi, że tak się stało, strasznie przykro! Jednak to się powtórzy, jeśli znowu to zrobisz.

– Ale ja tylko go pogładziłam!

– Hm, owszem… ale nie tak jak kota, tylko jak psa. Kota nie można poklepywać, trzeba go głaskać. Nie rób żadnych gwałtownych ruchów, kiedy jesteś w zasięgu jego pazurów. Nie możesz go dotknąć, dopóki nie zobaczy, że zamierzasz to zrobić… i zawsze musisz się zorientować, czy ma ochotę na głaskanie. Jeśli nie, przez chwilę będzie je z grzeczności znosić, bo koty są bardzo grzeczne, ale musisz wyczuć, że już go to nie bawi, i przestać, zanim wyczerpie się jego cierpliwość. – Zawahałem się. – Ty nie lubisz kotów, prawda?

– Co takiego? Nie mów głupstw! Oczywiście lubię koty. – Zaraz jednak dodała: – Pewnie za rzadko miałam do czynienia z kotkami. Ona jest bardzo drażliwa, prawda?

– On! Pete to kocur. I wcale nie jest drażliwy, ponieważ zawsze był dobrze traktowany. Trzeba jednak nauczyć cię właściwego podejścia do kotów. Hm, na przykład nigdy nie wolno ci się z nich śmiać.

– Co? A właściwie dlaczego?

– Nie dlatego, że nie są śmieszne; tak naprawdę są wyjątkowo komiczne. Nie mają jednak poczucia humoru i to jest dla nich obraźliwe. Och, kot nie podrapie cię za to, że się z niego śmiejesz; po prostu odejdzie i trudno ci będzie się z nim zaprzyjaźnić. Zresztą to nie jest aż tak istotne. O wiele ważniejsza jest umiejętność brania kota na ręce. Kiedy Pete wróci, pokażę ci, jak to robić.

Pete jednak nie wrócił, przynajmniej nie od razu, i nigdy jej tego nie pokazałem. Potem Belle już nie dotykała Pete’a. Mówiła do niego i zachowywała się tak, jakby go lubiła, ale trzymała się od niego z daleka, a on od niej. Wyleciało mi to z głowy; przecież z powodu takiej drobnostki nie mogłem zwątpić w uczucia kobiety znaczącej dla mnie więcej niż cokolwiek innego w moim życiu.

Jednak sprawa Pete’a o mało nie doprowadziła później do poważnego kryzysu. Belle i ja rozmawialiśmy o tym, gdzie będziemy mieszkać. Wciąż nie chciała ustalić daty ślubu, ale poświęcaliśmy dużo czasu na omawianie podobnych szczegółów. Ja chciałem kupić małe ranczo w pobliżu fabryki; Belle wolałaby mieszkanie w mieście, dopóki nie będzie nas stać na posiadłość w Bel-Air.

– Kochanie, to niepraktyczne – powiedziałem. – Muszę być blisko zakładu. Ponadto czy próbowałaś kiedyś trzymać kocura w mieszkaniu w kamienicy? – zapytałem.

– Ach, o to chodzi! Słuchaj, kochanie, cieszę się, że o tym wspomniałeś. Dużo czytałam o kotach, naprawdę. Każemy go wykastrować. Wtedy stanie się znacznie łagodniejszy i będzie szczęśliwy w mieszkaniu.

Wpatrywałem się w nią, nie wierząc własnym uszom. Zrobić eunucha ze starego wojownika? Zmienić go w ozdobę kominka?

– Belle, nie wiesz, co mówisz!

Próbowała uspokoić mnie starą śpiewką „mama wie najlepiej”, używając stereotypowych argumentów podawanych przez ludzi uważających kota za element wystroju mieszkania… że to nie będzie go bolało, że to w rzeczywistości tylko dla jego dobra, że ona wie, ile on dla mnie znaczy, i nigdy nie próbowałaby mnie go pozbawić, że to jest naprawdę bardzo proste, całkiem bezpieczne i najlepsze wyjście dla wszystkich.

– Dlaczego nie załatwisz tego dla nas obu? – wtrąciłem.

– Czego, kochanie?

– Tego samego. Byłbym posłuszniejszy, wieczorami siedziałbym w domu i nigdy bym się z tobą nie sprzeczał. Jak twierdzisz, to nie będzie bolało i prawdopodobnie stanę się znacznie szczęśliwszy.

Poczerwieniała.

– Jesteś nieznośny.

– Ty też!

Nigdy więcej o tym nie wspomniała. Belle nie pozwalała, by różnice zdań przeradzały się w kłótnie; milkła i czekała na odpowiedni moment. Nigdy jednak również się nie poddawała. Pod pewnymi względami miała w sobie wiele z kota… i może dlatego nie mogłem się jej oprzeć.

Cieszyłem się, że porzuciliśmy ten temat. Byłem pogrążony w pracy nad Fenomenalnym Frankiem. Wprawdzie Willie i Służka mieli nam przynieść sporo kasy, ale ja obsesyjnie myślałem o doskonałym, wszechstronnym robocie domowym, uniwersalnym służącym. No dobrze, nazwijcie go robotem, choć to mocno nadużywane słowo, a ja wcale nie zamierzałem stworzyć mechanicznego człowieka.

Pragnąłem urządzenia, które potrafiłoby zrobić w domu wszystko – oczywiście sprzątać i gotować, ale także wykonywać trudniejsze zadania, takie jak przewinięcie dziecka lub wymiana taśmy w maszynie do pisania. Chciałem, żeby zamiast całej hordy złożonej ze Służki, Wystawowego Williego, Niani Nancy, Sprzątacza Steve’a i Ogrodnika Olivera mąż i żona mogli kupić, och, na przykład za cenę dobrego samochodu, jedną maszynę dorównującą znanemu z książek chińskiemu służącemu, którego nikt z mojego pokolenia nigdy nie widział na oczy.

Gdybym odniósł sukces, byłaby to druga proklamacja emancypacji, wyzwolenie kobiet ze starego jak świat niewolnictwa. Chciałem obalić odwieczne twierdzenie, że „praca kobiety nigdy się nie kończy”. Prace domowe to monotonna i niepotrzebna harówka, obraźliwa dla mnie jako inżyniera.

Aby temu wyzwaniu mógł sprostać jeden konstruktor, niemal cały Fenomenalny Frank musiał się składać ze standardowych części i opierać na znanych już koncepcjach. Badania podstawowe przekraczają możliwości

samotnego człowieka; musiałem oprzeć się na wcześniejszych dokonaniach albo zrezygnować.

Na szczęście miałem do dyspozycji strasznie dużo wcześniejszych rozwiązań i nie traciłem czasu, posługując się kategorią dostępu „Q”. To, czego chciałem, nie było tak skomplikowane jak zaprogramowanie zdalnie sterowanego pocisku.

Co według mnie miał właściwie robić Fenomenalny Frank? Odpowiedź: miał wykonywać wszelkie ludzkie prace w gospodarstwie domowym. Nie musiał grać w karty, kochać się, jeść czy spać, ale powinien umieć sprzątnąć po brydżu, gotować, ścielić łóżka i zajmować się dziećmi – a przynajmniej monitorować oddech dziecka i wezwać kogoś w razie potrzeby. Zadecydowałem, że nie musi odbierać telefonów, ponieważ AT&T już wypożyczała służące do tego urządzenie. Nie musiał także otwierać drzwi, gdyż większość nowych domów była wyposażona w domofony.

Aby jednak podołać moim rozlicznym wymaganiom, musiał mieć ręce, oczy, uszy i mózg… wystarczająco dobry mózg.

Ręce mogłem zamówić w firmach produkujących urządzenia dla elektrowni atomowych, które dostarczyły mi ręce dla Służki, choć tym razem potrzebowałem najlepszych, z serwomotorami o dużej mocy i o precyzji ruchów wymaganej przy wykonywaniu mikroanaliz i ważeniu radioaktywnych izotopów. Te same firmy mogły dostarczyć oczy – tyle że znacznie mniej skomplikowane, bo Frank przy pracy nie musiał sięgać wzrokiem i rękami za kilkumetrową betonową osłonę reaktorów jądrowych.

Uszy mogłem kupić od którejś z kilkunastu firm radiotelewizyjnych – chociaż zapewne musiałbym zaprojektować trochę nowych obwodów zapewniających jednoczesną kontrolę wzrokową, dźwiękową i dotykową nad ruchami rąk, tak jak u człowieka.

Jednak dzięki tranzystorom i obwodom drukowanym można zrobić strasznie dużo nawet w małej przestrzeni.

Frank nie będzie musiał wspinać się po drabinie. Chciałem, żeby wyciągał szyję jak struś i miał dłonie na wysięgnikach. Czy powinien umieć chodzić po schodach?

Cóż, istniał już zasilany energią elektryczną wózek inwalidzki, który to potrafił. Może powinienem taki kupić i wykorzystać jako podwozie, redukując rozmiary prototypu do wielkości takiego fotela, a wagę do jego udźwigu – w ten sposób ustaliłbym podstawowe parametry. Zasilanie i sterowanie podłączyłbym do mózgu Franka.

Z mózgiem miałem prawdziwy problem. Można skonstruować urządzenie o budowie podobnej do ludzkiego szkieletu albo o wiele lepszej. Można wyposażyć je w układ kontroli na tyle dobry, by potrafiło wbijać gwoździe, szorować podłogi i rozbijać jajka – lub ich nie stłuc. Dopóki jednak nie ma pomiędzy uszami tego, co mają ludzie, nie jest człowiekiem, a nawet żywym trupem.

Na szczęście nie potrzebowałem ludzkiego mózgu; chciałem stworzyć tylko posłusznego głupka zdolnego do wykonywania większości rutynowych prac domowych.

I tutaj przydały się moduły pamięci Thorsena. Pociski międzykontynentalne, które posłaliśmy w odwecie, „myślały” dzięki tym właśnie modułom, a systemy sterowania ruchem drogowym w takich miastach jak Los Angeles także używały ich bardziej debilnej wersji. Nie trzeba zagłębiać się w teorię działania elektronicznego modułu, którego nawet w Bell Labs w pełni nie rozumieją, rzecz w tym, że układ Thorsena można podłączyć do obwodu sterującego i wykonać jakąś operację przy ręcznym sterowaniu, a moduł „zapamięta” wszystkie działania i za każdym następnym przeprowadzi tę operację już bez nadzoru człowieka. Zwykłemu

automatowi to wystarczy; natomiast w wypadku zdalnie sterowanych rakiet i Fenomenalnego Franka potrzebne są dodatkowe obwody, które umożliwiają mechanizmowi „ocenę sytuacji”. Oczywiście nie jest to prawdziwa ocena sytuacji (moim zdaniem maszyny nigdy nie będą mogły niczego oceniać); dodatkowe obwody są właściwie układami wyszukującymi, którym oprogramowanie nakazuje: „szukaj tego i owego w ramach takich a takich; gdy to znajdziesz, wykonaj instrukcję podstawową”. Ta podstawowa instrukcja może zawierać tyle poleceń, ile da się upchnąć w jednym module pamięci Thorsena – czyli naprawdę bardzo dużo! – i da się to tak zaprogramować, żeby obwody „oceniające” (kretyni kierujący wszystkim z tylnego siedzenia) przerwały w każdej chwili wykonywanie instrukcji podstawowej, jeśli operacja będzie niezgodna z tym, co pierwotnie zostało wprowadzone do modułu.

To oznaczało, że wystarczyło tylko raz zademonstrować Fenomenalnemu Frankowi, jak sprzątnąć ze stołu, usunąć resztki jedzenia z talerzy i włożyć do zmywarki, aby umiał sobie poradzić ze wszystkimi brudnymi naczyniami, jakie napotkał. Co więcej, kiedy włożono mu do głowy elektronicznie zduplikowany moduł Thorsena, Frank nawet przy pierwszym spotkaniu z brudnymi naczyniami zabierał się do nich… i nigdy żadnego nie stłukł.

Jeśli włożymy kolejny „zapisany” moduł obok pierwszego, Frank od razu będzie potrafił zmienić dziecku pieluchę i nigdy, przenigdy nie ukłuje go przy tym agrafką.

Sześcienna głowa Franka z łatwością mogła pomieścić setkę modułów Thorsena z elektronicznym „zapisem” rozmaitych prac domowych. Potem wystarczyło dodać obwód bezpieczeństwa do wszystkich obwodów „oceniających”, czyli taki, który kazał mu zatrzymać się i wezwać pomoc,

jeśli zetknął się z czymś, czego nie przewidują instrukcje – żeby nie stracić dzieci lub talerzy.

Tak więc stworzyłem Franka na szkielecie elektrycznego wózka inwalidzkiego. Wyglądał jak wieszak na kapelusze kochający się z ośmiornicą… ale, ludzie, jak on umiał polerować srebra stołowe!

Miles obejrzał pierwszego Franka, a potem obserwował, jak miesza i podaje martini, następnie opróżnia i czyści popielniczki (nigdy nie dotykając tych niezabrudzonych), otwiera i zamyka okno, po czym podjeżdża do mojego regału, żeby odkurzyć i ustawić książki. Miles upił łyk martini.

– Za dużo wermutu – powiedział.

– Ja tak lubię. Możemy jednak mu polecić, żeby inaczej przyrządzał drinki dla ciebie, a inaczej dla mnie; ma jeszcze mnóstwo niezapisanych modułów. Fenomenalna pamięć.

Miles pociągnął następny łyk.

– Kiedy będzie gotowy do produkcji?

– Hmm, chciałbym poświęcić mu jeszcze z dziesięć lat. – Zanim Miles zdążył jęknąć, dodałem: – Jednak model o ograniczonych możliwościach powinniśmy wypuścić za pięć.

– Nonsens! Zapewnimy ci wszelką możliwą pomoc i będziemy mieli pierwszy model za sześć miesięcy.

– Gdzie tam, do diabła. To dzieło mojego życia. Nie wypuszczę go na świat, dopóki nie będzie dziełem sztuki… trzykrotnie mniejszy, z wymienialnymi wszystkimi częściami oprócz modułów Thorsena i tak wszechstronny, że nie tylko wypuści kota na dwór i wykąpie dziecko, ale

nawet zagra w ping-ponga, jeżeli klient zapłaci za dodatkowe programowanie.

Spojrzałem na Franka. Spokojnie ścierał kurz z mojego biurka i odkładał na miejsce każdy papier, który podniósł.

– Jednak gra z nim w ping-ponga nie byłaby zabawna; nie puściłby żadnej piłeczki. Cóż, przypuszczam, że nauczylibyśmy go przegrywać, gdybyśmy wprowadzili obwód losowy. Hmm… tak, to możliwe. Zrobimy tak i będziemy mieli świetne demo.

– Jeden rok, Dan, i ani dnia dłużej. Wynajmę kogoś od Loewy’ego, żeby ci pomógł z projektem.

– Miles, kiedy wreszcie zrozumiesz, że to ja jestem szefem konstrukcji? Kiedy ci go przekażę, będzie twój… lecz ani sekundy wcześniej.

– I tak daje za dużo wermutu – odparł Miles.

Tyrałem z pomocą mechaników z warsztatu, aż Frank zaczął wyglądać mniej jak efekt zderzenia trzech samochodów, a bardziej jak coś, czym można się chwalić przed sąsiadami. Tymczasem usunąłem mnóstwo błędów w układzie sterowania. Nauczyłem go nawet głaskać Pete’a i drapać go po szyi w sposób, jaki kot lubił – i wierzcie mi, że wymagało to oprogramowania równie precyzyjnego jak to wykorzystywane w laboratoriach atomowych. Miles mnie nie poganiał, choć od czasu do czasu przychodził i obserwował postępy pracy. Najczęściej pracowałem nocami, po kolacji z Belle i odprowadzeniu jej do domu. Potem przesypiałem większość dnia, przychodziłem do firmy późnym popołudniem, podpisywałem wszystkie przygotowane przez Belle dokumenty, sprawdzałem, co za dnia zrobiono w warsztacie, i znów zabierałem Belle na kolację. Wcześniej niewiele robiłem, ponieważ

wskutek twórczej pracy człowiek śmierdzi jak cap. Po ciężkiej nocy spędzonej w laboratorium jedynie Pete znosił moje towarzystwo.

Gdy pewnego dnia kończyliśmy kolację, Belle zapytała mnie:

– Wracasz do warsztatu, najdroższy?

– Oczywiście. Dlaczego nie?

– To dobrze. Bo Miles będzie tam na nas czekał.

– Słucham?

– Chce zrobić zebranie akcjonariuszy.

– Zebranie akcjonariuszy? Po co?

– To nie potrwa długo. W gruncie rzeczy, kochanie, ostatnio zupełnie nie interesowałeś się sprawami firmy. Miles chce wyjaśnić kilka spraw i ustalić pewne zasady.

– Całkowicie pochłania mnie projektowanie. Co powinienem jeszcze robić dla firmy?

– Nic, najdroższy. Miles mówił, że to nie potrwa długo.

– W czym problem? Czy Jake nie umie sobie poradzić z linią montażową?

– Nie wiem, najdroższy. Miles niczego mi nie wyjaśnił. Dopij kawę.

Miles czekał na nas w fabryce i potrząsnął moją dłonią tak poważnie, jakbyśmy się miesiąc nie widzieli.

– Miles, o co chodzi? – spytałem.

Obrócił się do Belle.

– Przynieś te dokumenty, dobrze?

Już samo to powinno mnie ostrzec, że Belle skłamała, utrzymując, iż Miles nie powiedział jej, czym zamierza się zająć. Jednak nie zastanawiałem się nad tym – do diabła, przecież ufałem Belle! – a ponadto moją uwagę przykuło coś innego, gdyż Belle podeszła do sejfu, przekręciła gałkę i otworzyła go.

– A właśnie, kochanie – powiedziałem – chciałem otworzyć go wczoraj wieczorem i nie mogłem. Zmieniłaś szyfr?

Wyciągała dokumenty i nie odwróciła się.

– Nie mówiłam ci? Po tym alarmie w zeszłym tygodniu patrol poprosił, żeby go zmienić.

– Och. Lepiej podaj mi ten nowy szyfr, bo inaczej kiedyś będę musiał zadzwonić do kogoś z was o okropnej porze.

– Pewnie.

Zamknęła sejf i położyła na stole teczkę, w której trzymaliśmy dokumenty potrzebne podczas zebrań.

Miles odchrząknął i powiedział:

– Zaczynajmy.

– Dobrze – powiedziałem. – Kochanie, jeżeli to jest oficjalne spotkanie, to chyba powinnaś je protokołować… Hmm, środa 18 listopada 1970, dwudziesta pierwsza dwadzieścia, wszyscy akcjonariusze obecni – wpisz nasze nazwiska – D.B. Davis, przewodniczący rady nadzorczej. Jakieś zaległe sprawy?

Nie było żadnych.

– Świetnie, Miles, teraz ty. Jakieś nowe sprawy?

Miles znowu odchrząknął.

– Chcę omówić politykę firmy, przedstawić program na przyszłość i przedłożyć radzie nadzorczej propozycję zdobycia nowego źródła finansowania.

– Finansowania? Nie gadaj głupstw. Jesteśmy na plusie i z każdym miesiącem jest lepiej. O co ci chodzi, Miles? Nie wystarcza ci twoja gaża? Możemy ją trochę zwiększyć.

– Nie wyjdziemy na plus, realizując nowy program. Musimy zwiększyć nakłady inwestycyjne.

– Jaki nowy program?

– Proszę cię, Dan. Zadałem sobie trochę trudu i wszystko dokładnie opisałem. Niech Belle nam to przeczyta.

– Cóż… dobrze.

Jeśli pominąć napuszony wstęp – jak wszyscy prawnicy uwielbiał wielosylabowe słowa – Miles chciał zrobić trzy rzeczy: a) odebrać mi Fenomenalnego Franka, przekazać go zespołowi produkcyjnemu i niezwłocznie rzucić na rynek; b)…

W tym momencie przerwałem Belle:

– Nie!

– Chwileczkę, Dan. Jako prezes i naczelny dyrektor niewątpliwie mam prawo przedstawić myśli w określonym porządku. Na razie ich nie komentuj. Pozwól Belle dokończyć.

– Cóż… w porządku. Ale i tak się nie zgadzam.

Punkt b) sprowadzał się do tego, że powinniśmy przestać się ograniczać do jednotorowej działalności. Mamy coś wspaniałego, równie wspaniałego jak kiedyś samochód, i jesteśmy pierwsi; tak więc powinniśmy natychmiast rozbudować firmę, zakładając w kraju i na całym świecie oddziały zajmujące się sprzedażą i dystrybucją oraz zwiększając produkcję.

Zacząłem bębnić palcami po stole. Już widziałem siebie w roli głównego inżyniera takiej firmy. Prawdopodobnie nawet nie pozwoliliby mi podejść do deski kreślarskiej, a gdybym chwycił lutownicę, związki zawodowe ogłosiłyby strajk. Równie dobrze mogłem zostać w wojsku i starać się awansować do stopnia generała.

Jednak nie przerywałem Belle. Punkt c) oznajmiał, że nie zdołamy tego zrobić bez grosza; potrzebne będą miliony. Kasę miało wyłożyć Przedsiębiorstwo Mannix – w praktyce oznaczało to, że sprzedalibyśmy cały majdan wraz z Fenomenalnym Frankiem i stalibyśmy się filią tej

grupy. Miles pozostałby dyrektorem, a ja głównym inżynierem działu badań, ale dawna wolność by się skończyła, obaj bylibyśmy pracownikami.

– To wszystko? – spytałem.

– Hmm… tak. Omówmy to i przeprowadźmy głosowanie.

– Trzeba tam jeszcze zagwarantować nam prawo do siedzenia wieczorem przed domem i śpiewania pieśni niewolników!

– To nie są żarty, Dan. Tak musi być.

– Ja nie żartowałem. Niewolnik musi mieć przywileje, żeby zachowywał spokój. No dobrze, czy teraz moja kolej?

– Mów.

Złożyłem kontrpropozycję, która od dawna chodziła mi po głowie. Chciałem, abyśmy zaprzestali produkcji. Jake Schmidt, szef naszego warsztatu, był dobrym fachowcem; mimo to nieustannie wyrywał mnie z miłego oparu twórczej weny, żebym usuwał jakieś błędy w produkcji – co było równie przyjemne jak lodowaty prysznic w ciepłym łóżku. To był prawdziwy powód tego, że unikałem fabryki za dnia i pracowałem głównie w nocy. Ponieważ kupowaliśmy coraz więcej elementów z wojskowego demobilu i rozważaliśmy uruchomienie nocnej zmiany, wiedziałem, że wkrótce nie będę miał czasu na twórczą pracę, nawet jeśli odrzucimy ten niestrawny plan dołączenia do grona General Motors i Consolidated. Nie mogłem się rozdwoić, być jednocześnie wynalazcą i kierownikiem produkcji.

Tak więc zaproponowałem, żeby ograniczyć, a nie zwiększyć produkcję – sprzedać licencję na Służkę i Wystawowego Williego, niech ktoś inny je wytwarza i sprzedaje, a my będziemy tylko pobierać opłaty licencyjne. Kiedy skończymy Fenomenalnego Franka, znowu sprzedamy licencję. Jeżeli Mannix zechce nabyć prawa do nich i przebije rywali, świetnie! Tymczasem zmienimy nazwę na Firma Badawcza Davis i Gentry

i ograniczymy się po prostu do nas trojga oraz paru mechaników pomagających mi konstruować nowe urządzenia. Miles i Belle będą tylko siedzieć i liczyć pieniądze, które wpływają do kasy.

Miles powoli pokręcił głową.

– Nie, Dan. Sprzedaż licencji przyniosłaby nam pewien zysk, przyznaję. Jednak na pewno nie taką kasę, jaką zarobilibyśmy, gdybyśmy robili to sami.

– Rzecz w tym, Miles, że nie robilibyśmy go sami. Zaprzedalibyśmy się ludziom Mannixa. Co do pieniędzy, to ile chcesz ich mieć? Nie możesz korzystać z więcej niż jednego jachtu lub jednego basenu naraz… a będziesz miał oba przed upływem roku, jeśli chcesz.

– Nie chcę.

– No to czego chcesz?

Popatrzył na mnie.

– Dan, ty chcesz być wynalazcą. Ten plan ci to umożliwia, dając wszelkie niezbędne udogodnienia, pomocników i fundusze. Ja chcę kierować wielką firmą. Naprawdę wielką firmą. Mam do tego talent. – Zerknął na Belle. – Nie mam ochoty spędzić życia na środku pustyni Mojave jako przedstawiciel handlowy wynalazcy samotnika.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

– W Sandii tak nie mówiłeś. Chcesz odejść, stary? Belle i ja nie chcielibyśmy, żebyś odszedł… ale jeśli tego sobie życzysz, to chyba mógłbym wziąć kredyt hipoteczny czy coś w tym stylu i cię spłacić. Nie chciałbym nikomu wiązać rąk.

Byłem wstrząśnięty, ale jeśli Miles się niecierpliwił, to nie miałem prawa go zatrzymywać.

– Nie, nie chcę odejść; pragnę rozszerzyć naszą działalność. Słyszałeś moją propozycję. To oficjalny plan rozwoju firmy. Proponuję go

przegłosować.

Przypuszczam, że miałem zdziwioną minę.

– Upierasz się przy utrudnianiu sprawy? W porządku, Belle, głosuję przeciwko. Zapisz to. Jednak nie poddam dziś mojej kontrpropozycji pod głosowanie. Przedyskutujemy to i wymienimy poglądy. Chcę, żebyś był zadowolony, Miles.

– Załatwmy to we właściwy sposób – z uporem rzekł Miles. – Głosowanie, Belle.

– Tak jest. Miles Gentry, akcje uprawniające do głosowania… – Odczytała szereg numerów seryjnych. – Jak głosujesz?

– Za.

Zapisała to w notatniku.

– Daniel B. Davis, akcje uprawniające do głosowania… – Ponownie przeczytała szereg numerów seryjnych; nie słuchałem tej części formalnej. – Jak głosujesz?

– Przeciw. To przesądza sprawę. Przykro mi, Miles.

– Belle S. Darkin – ciągnęła – akcje uprawniające do głosowania… – Znów podała ciąg liczb. – Głosuję za.

Rozdziawiłem usta, ale jakoś zdołałem powstrzymać jęk i rzuciłem:

– Ale, skarbie, nie możesz tego zrobić! Jasne, to są twoje akcje, ale doskonale wiesz, że…

– Ogłoś wynik – warknął Miles.

– Większość jest za. Propozycja została przyjęta.

– Zapisz to.

– Tak jest.

Następne kilka minut pamiętam jak przez mgłę. Najpierw wrzeszczałem na nią, potem próbowałem ją przekonać, a następnie warknąłem, że to po prostu nieuczciwe – rzeczywiście przepisałem akcje na nią, ale wiedziała

równie dobrze jak ja, że zawsze podejmowałem najważniejsze decyzje, że nie miałem zamiaru tracić kontroli nad firmą, że był to po prostu prezent zaręczynowy, tylko tyle. Do diabła, w kwietniu nawet zapłaciłem za te akcje podatek dochodowy. Jeżeli mogła wyciąć mi taki numer jako moja narzeczona, to jak będzie wyglądało nasze małżeństwo?

Popatrzyła na mnie i nagle jej twarz wydała mi się zupełnie obca.

– Danie Davis, jeżeli myślisz, że nadal jesteśmy zaręczeni po tym, jak mnie przed chwilą potraktowałeś, to jesteś nawet głupszy, niż zawsze uważałam. – Odwróciła się do Gentry'ego. – Odwieziesz mnie do domu, Miles?

– Oczywiście, moja droga.

Zacząłem coś mówić, ale zaraz się zamknąłem i poszedłem sobie, nie nałożywszy kapelusza. Był najwyższy czas, żeby wyjść, bo inaczej zapewne zabiłbym Milesa, skoro Belle nie byłbym w stanie tknąć.

Oczywiście nie zdołałem zasnąć. Około czwartej wstałem, przeprowadziłem kilka rozmów telefonicznych, zgodziłem się zapłacić więcej, niż to było warte, i o piątej trzydzieści wysiadłem z furgonetki przed fabryką. Podszedłem do bramy, zamierzając ją otworzyć i podjechać do rampy, żeby włożyć przez tylną klapę Fenomenalnego Franka, który ważył czterysta funtów.

Brama była zamknięta na nową kłódkę.

Przelazłem przez ogrodzenie, kalecząc się drutem kolczastym. Gdy wejdę do warsztatu, brama nie będzie żadnym problemem, gdyż było tam ze sto narzędzi, którymi mogę zerwać kłódkę.

Jednak zamek w drzwiach też został zmieniony.

Patrzyłem nań, próbując zdecydować, czy łatwiej wybić okno łyżką do opon, czy wyjąć z ciężarówki lewarek i wetknąć go między futrynę a klamkę, gdy ktoś krzyknął:

– Hej, ty! Ręce do góry!

Nie podniosłem rąk, ale się odwróciłem. Mężczyzna w średnim wieku mierzył do mnie z karabinu tak wielkiego, że mógłby zbombardować miasto.

– Kim pan jest, do diabła?

– A kim pan jest?

– Jestem Dan Davis, główny inżynier tego przedsiębiorstwa.

– Och. – Trochę się odprężył, ale nadal celował we mnie z tego moździerza. – Tak, opis się zgadza. Ale jeśli ma pan przy sobie jakiś dokument, to lepiej niech mi go pan pokaże.

– Dlaczego miałbym to zrobić? Pytałem, kim pan jest.

– Ja? Nie zna mnie pan. Nazywam się Joe Todd i jestem z Pustynnej Firmy Ochroniarskiej i Patrolowej. Prywatna koncesja. Powinien pan wiedzieć, kim jesteśmy; jako nasi klienci już od miesięcy zlecacie nam patrole w nocy. Jednak dzisiaj pełnię szczególną wartę.

– Doprawdy? Zatem jeśli dali panu klucze, proszę otworzyć drzwi. Chcę wejść do warsztatu. I proszę przestać mierzyć we mnie z tego garłacza.

– Nie mogę tego zrobić, panie Davis. Po pierwsze, nie mam klucza. Po drugie, dostałem specjalne polecenia co do pańskiej osoby. Nie może pan tam wejść. Wyprowadzę pana przez bramę.

– Owszem, bramę też proszę otworzyć, ale zamierzam wejść do środka.

Rozejrzałem się za kamieniem, którym mógłbym wybić szybę.

– Proszę, panie Davis…

– No co?

– Przykro mi, że pan się upiera, naprawdę. Ponieważ nie mogę ryzykować strzału w nogi; nie jestem zbyt dobrym strzelcem. Musiałbym strzelić panu w brzuch. Ta broń jest nabita kulami z miękkim końcem; robią paskudne dziury.

Zapewne dlatego zmieniłem zdanie, chociaż wolę uważać, że z innego powodu; mianowicie, gdy znów zajrzałem do warsztatu przez okno, zobaczyłem, że Fenomenalnego Franka nie ma tam, gdzie go zostawiłem.

Wypuszczając mnie przez bramę, Todd wręczył mi kopertę.

– Kazali mi ją panu dać, jeśli się pan tu zjawi.

Przeczytałem wiadomość w kabinie furgonetki. Oto, co głosiła:

18 listopada 1970

Szanowny Panie Davis,

na stałym zebraniu rady nadzorczej, zwołanym w dniu dzisiejszym, przegłosowano zerwanie z Panem wszelkich kontaktów (poza zobowiązaniami wobec Pana jako akcjonariusza) zgodnie z paragrafem trzecim umowy. Ma Pan zakaz wchodzenia na teren fabryki. Pańskie dokumenty i rzeczy osobiste prześlemy przez posłańca.

Rada nadzorcza chce podziękować Panu za usługi i ubolewa nad tym, że różnice poglądów na kierunek działania firmy zmusiły nas do tego kroku.

Z poważaniem
Miles Gentry
przewodniczący rady nadzorczej i naczelny dyrektor

sporządziła
B.S. Darkin
skarbnik

Przeczytałem to dwa razy, zanim przypomniałem sobie, że nigdy nie zawarłem z firmą żadnej umowy, na której podstawie można byłoby się powołać na trzeci lub jakikolwiek inny paragraf.

Nieco później tego samego dnia kurier przyniósł paczkę do motelu, w którym trzymałem czystą bieliznę. Zawierała mój kapelusz, pióro, suwak logarytmiczny, dużo książek i korespondencji oraz trochę dokumentów. Nie było tam jednak moich notatek i szkiców Fenomenalnego Franka.

Niektóre dokumenty były bardzo ciekawe. Na przykład moja „umowa” – istotnie, paragraf trzeci pozwalał im zwolnić mnie bez uprzedzenia z uwzględnieniem prawa do trzymiesięcznych poborów. Paragraf siódmy był jeszcze ciekawszy. Była to najnowsza forma klauzuli o zakazie konkurencji, zgodnie z którą pracownik zgadzał się przez pięć lat po zwolnieniu nie podejmować działalności konkurencyjnej, a jego dotychczasowi pracodawcy mieli mu płacić gotówką za prawo pierwokupu wynalazków; tak więc mogłem w każdej chwili wrócić do pracy, gdybym z kapeluszem w ręku poszedł do Milesa i Belle i poprosił ich, żeby dali mi robotę – może dlatego zwrócili mi ten kapelusz.

Przez pięć długich lat nie będę mógł pracować nad urządzeniami gospodarstwa domowego, jeśli ich nie poproszę o zgodę. Prędzej poderżnąłbym sobie gardło.

W paczce były kopie cesji na rzecz firmy Służka SA wszystkich moich patentów, Służki, Wystawowego Williego oraz paru pomniejszych wynalazków. (Oczywiście Fenomenalny Frank nie został opatentowany – no, przynajmniej tak wtedy myślałem; dopiero później odkryłem prawdę).

Nigdy jednak nie opatentowałem żadnego z moich wynalazków ani nie udzieliłem licencji na ich wykorzystywanie Służce SA; firma była moim dziełem i nie spieszyło mi się z tym.

Trzy ostatnie dokumenty to moje potwierdzenie posiadania akcji firmy (tych, których nie dałem Belle), wystawiony czek i pismo wyjaśniające jego wysokość: sumaryczne dochody po odliczeniu bieżących wydatków, odprawa w wysokości trzymiesięcznej „pensji”, część należności zgodna z „paragrafem siódmym”… oraz tysiącdolarowa premia „za świadczone usługi”. To ostatnie było naprawdę miłym gestem z ich strony.

Kiedy ponownie czytałem ten zdumiewający zbiór dokumentów, miałem czas uświadomić sobie, że zapewne nie wykazałem się bystrością umysłu,

podpisując wszystko, co kładła przede mną Belle. Nie było cienia wątpliwości co do tego, że sam złożyłem podpisy.

Następnego dnia ochłonąłem na tyle, żeby omówić wszystko z adwokatem, bardzo sprytnym i chciwym prawnikiem, który nie miał nic przeciwko kopaniu, gryzieniu i ciosom poniżej pasa. Z początku bardzo chciał zająć się moją sprawą za procent od kwoty ewentualnego odszkodowania. Lecz gdy skończył przeglądać zaprezentowane przeze mnie dokumenty i wysłuchał szczegółowych wyjaśnień, rozsiadł się wygodnie, splótł palce na brzuchu i zrobił kwaśną minę.

– Dan, dam ci pewną radę i nie będzie cię to nic kosztować.

– Tak?

– Nic nie rób. Nie masz najmniejszych szans.

– Ale mówiłeś…

– Wiem, co mówiłem. Wykolegowali cię. Tylko jak im to udowodnisz? Byli za sprytni na to, żeby wykraść ci twoje akcje albo wywalić cię bez jednego centa. Zrobili to, czego mógłbyś się spodziewać, gdybyś rzeczywiście odszedł lub został zwolniony w wyniku – jak to ujęli – różnicy poglądów na kierunek działalności firmy. Dali wszystko, co ci przysługuje… oraz nędzny tysiąc dolarów więcej, żeby pokazać, iż nie żywią do ciebie urazy.

– Przecież wcale nie zawarłem umowy! I nigdy nie zrzekłem się patentów!

– Według tych dokumentów to zrobiłeś. Przyznajesz, że to twoje podpisy. Czy ktoś może potwierdzić twoje zarzuty?

Zastanowiłem się nad tym. Rzeczywiście nie było nikogo takiego. Nawet Jake Schmidt nie wiedział, co dzieje się w biurze. Jedynymi moimi świadkami byli… Miles i Belle.

– Przejdźmy do tych przepisanych akcji – ciągnął. – Tylko tu widzę szansę powodzenia. Gdybyś…

– Tylko że to jedno w całym tym oszustwie jest prawdą. Ja naprawdę przepisałem na nią te akcje.

– Tak, ale dlaczego? Mówisz, że podarowałeś je w prezencie zaręczynowym przed spodziewanym ślubem. Nieważne, jak głosowała; to nie ma znaczenia. Jeżeli zdołasz dowieść, że dałeś je, spodziewając się, że za ciebie wyjdzie, o czym ona wiedziała, to możesz zmusić ją, żeby cię poślubiła lub zwróciła akcje. Sprawa McNulty'ego przeciwko Rhodes. Wtedy odzyskasz kontrolę nad firmą i będziesz mógł ich wywalić. Zdołasz tego dowieść?

– Niech to szlag, już nie chcę się z nią żenić. Nie miałbym na to ochoty!

– To twój problem. Jednak po kolei. Czy masz świadków albo jakiś dowód, listy lub cokolwiek, co pokazałoby, że przyjęła te akcje, wiedząc, że dajesz je jej jako przyszłej żonie?

Zastanowiłem się. Pewnie, mam świadków… tę samą dwójkę: Milesa i Belle.

– Widzisz? Skoro nie masz nic poza swoimi zeznaniami przeciwko ich zeznaniom i stercie dowodów na piśmie, nie tylko niczego nie uzyskasz, ale możesz wylądować w wariatkowie ze zdiagnozowaną paranoją. Radzę ci znaleźć pracę w innej branży… albo w najlepszym razie zignorować ich paragraf siódmy i założyć konkurencyjną firmę… z chęcią zobaczyłbym, czy ta frazeologia utrzymałaby się w sądzie, bylebym tylko nie musiał prowadzić tego rodzaju sprawy. Nie oskarżaj ich jednak o spisek. Wygrają taki proces, a potem cię pozwą i zabiorą wszystko, co ci zostawili.

Wstał.

Tylko częściowo poszedłem za jego radą. Na parterze tego budynku był bar; wszedłem do niego i wypiłem parę drinków. A może więcej.

Miałem dużo czasu na wspominanie tego wszystkiego, kiedy jechałem samochodem na spotkanie z Milesem. Po tym, jak firma zaczęła przynosić zyski, Miles przeprowadził się z Ricky do ładnego wynajętego domku w dolinie San Fernando, aby uciec przed morderczym żarem pustyni Mojave, i dojeżdżał do pracy linią kolejową lotniczej bazy wojskowej. Z ulgą przypomniałem sobie, że Ricky nie ma teraz w domu; wyjechała na obóz skautek nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. Nie chciałem ryzykować, że Ricky będzie świadkiem mojej kłótni z jej ojczymem.

Jechałem w sznurze aut tunelem Sepulveda, gdy nagle uświadomiłem sobie, że przed wizytą u Milesa mądrze byłoby umieścić w jakimś bezpiecznym miejscu akcje Służki. Nie spodziewałem się żadnych aktów przemocy (chyba że w moim własnym wykonaniu), po prostu wydawało mi się, że to dobry pomysł… Jak kot, któremu raz przytrzaśnięto drzwiami ogon, stałem się podejrzliwy.

Zostawić akcje w samochodzie? Przypuśćmy, że aresztują mnie za napad i pobicie; nie byłoby rozsądne zostawiać je w wozie, który zostanie odholowany i skonfiskowany.

Mogłem wysłać akcje do siebie, ale w ostatnich dniach korespondencję odbierałem na poczcie, ponieważ przenosiłem się z hotelu do hotelu, kiedy tylko się zorientowano, że trzymam w pokoju kota.

Lepiej wysłać je do kogoś, komu mogłem ufać.

Jednakże takich osób było bardzo mało.

Nagle przypomniałem sobie kogoś, komu rzeczywiście mogłem ufać.

Ricky.

Może wydam się masochistą, skoro postanowiłem zaufać przedstawicielce płci żeńskiej zaraz po tym, jak jedna z nich tak mnie

oszukała. Jednak są to dwie zupełnie różne sprawy. Znałem Ricky od dziecka i jeśli istniała kiedykolwiek jakaś absolutnie uczciwa osoba, to była nią ona… a Pete też tak uważał. Poza tym Ricky nie miała jeszcze kobiecych atrybutów, które mogły wpływać na zdrowy rozsądek mężczyzn. Jej kobiecość na razie uwidaczniała się jedynie na jej twarzy, nie w figurze.

Kiedy zdołałem się wyrwać z korka w tunelu Sepulveda, zjechałem z drogi szybkiego ruchu i znalazłem sklep, w którym kupiłem znaczki, dużą i małą kopertę oraz papier. Napisałem do niej:

> Droga Rikki-tikki-tavi,
> mam nadzieję, że wkrótce Cię zobaczę, lecz zanim to się stanie, proszę, żebyś przechowała dla mnie tę małą kopertę. To będzie nasza tajemnica, Twoja i moja.

Przestałem pisać i zamyśliłem się. Cholera, jeśli coś mi się przytrafi… och, choćby wypadek samochodowy albo coś innego, po czym człowiek przestaje oddychać… w końcu wszystko przejmą Miles i Belle. Chyba że się zabezpieczę. Myśląc o tym, zdałem sobie sprawę, że podświadomie podjąłem decyzję w sprawie zimnego snu; nie zrobię tego. Ta męska decyzja była rezultatem otrzeźwienia i wykładu wygłoszonego przez lekarza. Nie będę uciekał; zostanę i będę walczył – a ten pakiet akcji był moją najlepszą bronią. Dawał mi prawo wglądu w księgi rachunkowe; umożliwiał wtykanie nosa we wszystkie sprawy firmy. Jeśli znów spróbują mnie zatrzymać przy pomocy ochroniarza, mogę wrócić z prawnikiem, zastępcą szeryfa i nakazem sądowym.

Mogę nawet zaciągnąć ich do sądu. Pewnie nie wygrałbym sprawy, ale narobiłbym smrodu i może zniechęciłbym ludzi Mannixa do kupna firmy.

Może wcale nie powinienem wysyłać do Ricky tego listu.

Nie, jeśli coś złego mi się przytrafi, chciałbym, żeby ona przejęła te akcje. Ricky i Pete byli całą moją „rodziną”. Napisałem dalej:

Gdybym jakimś trafem nie pojawił się przez rok, będziesz wiedziała, że coś mi się przydarzyło. Jeżeli tak się stanie, zaopiekuj się Pete'em, jeśli zdołasz go znaleźć – i nikomu nic nie mówiąc, zanieś tę kopertę do oddziału Bank of America, daj ją urzędnikowi zajmującemu się funduszami powierniczymi i powiedz, żeby ją otworzył.

Kocham Cię i całuję
wujek Danny

Potem wziąłem drugą kartkę i napisałem: „3 grudnia 1970, Los Angeles, Kalifornia. Za równowartość otrzymanego jednego dolara i inne cenne usługi przekazuję – tutaj podałem akt prawny i numery seryjne akcji Służka SA – w depozyt Bank of America w celu przekazania Frederice Virginii Gentry w dniu jej dwudziestych pierwszych urodzin". U dołu złożyłem podpis. Cel był jasny i nic lepszego nie mogłem wymyślić przy kontuarze sklepu z szafą grającą ryczącą mi do ucha. To powinno zagwarantować, że Ricky dostanie akcje, gdyby mi się coś przytrafiło, a jednocześnie zapobiec zagarnięciu ich przez Milesa i Belle.

Ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, po prostu poproszę Ricky, żeby oddała mi kopertę, kiedy się z nią zobaczę. Ponieważ nie skorzystałem z formularza wydrukowanego na odwrocie certyfikatu własności akcji, uniknąłem biurokratycznych korowodów z odsyłaniem potwierdzenia aktu darowizny; wystarczyło go oderwać.

Wetknąłem tę kartkę i certyfikat do mniejszej koperty, którą wraz z listem do Ricky włożyłem do dużej, zaadresowałem na obóz skautek, nakleiłem znaczek i wrzuciłem do skrzynki przed sklepem. Zauważyłem, że skrzynka zostanie opróżniona za czterdzieści minut, i wsiadłem do samochodu, czując, że ciężar spadł mi z serca… nie dlatego, że zabezpieczyłem pakiet, ale ponieważ rozwiązałem poważniejsze problemy.

Cóż, może nie „rozwiązałem”, ale postanowiłem stawić im czoło, a nie uciekać i kryć się w mysiej dziurze, żeby odegrać Ripa van Winkle’a, ani znów próbować utopić je w etanolu o różnych smakach. Pewnie, chciałem zobaczyć rok 2000, lecz jeśli tylko spokojnie poczekam, mogę go dożyć… jako sześćdziesięciolatek zapewne jeszcze na tyle młody, żeby oglądać się za dziewczynami. Nie ma pośpiechu. Przeskok w następne stulecie w trakcie jednej długiej drzemki nie uradowałby normalnego człowieka – tak jak poznanie zakończenia filmu, jeśli się nie widziało, co działo się wcześniej. Lepiej przeżyć następne trzydzieści lat i cieszyć się nimi; dzięki temu będę mógł zrozumieć rok 2000, gdy nadejdzie.

Tymczasem zamierzałem stoczyć zaciętą walkę z Milesem i Belle. Może nie wygram, ale na pewno zadbam o to, żeby nie wyszli z tego bez szwanku – tak jak Pete, który wracał do domu, krwawiąc z sześciu ran, ale głośno oznajmiał: „Powinieneś zobaczyć tego drugiego kota!”.

Niewiele się spodziewałem po tej wieczornej rozmowie. Miała być tylko oficjalnym wypowiedzeniem wojny. Liczyłem na to, że Miles nie będzie mógł zasnąć… i zadzwoni do Belle, przez co i jej odechce się spać.

Rozdział III

Kiedy dotarłem do domu Milesa, gwizdałem. Przestałem niepokoić się tą dobraną parą i pokonując ostatnie piętnaście mil drogi, rozmyślałem o dwóch zupełnie nowych gadżetach, na których mógłbym zbić majątek. Pierwszym była maszyna kreślarska działająca podobnie jak elektryczna maszyna do pisania. Szacowałem, że w samych Stanach Zjednoczonych musi być co najmniej pięćdziesiąt tysięcy inżynierów, którzy codziennie pochylają się nad deską kreślarską i tego nienawidzą, gdyż źle to działa na nerki i psuje wzrok. Nie żeby ci ludzie nie chcieli projektować – lubią to robić – ale to zbyt ciężka, fizyczna praca.

Dzięki mojemu wynalazkowi mogliby siedzieć w wielkim wygodnym fotelu, naciskać klawisze i patrzeć na rysunek pojawiający się na sztaludze nad klawiaturą. Wciśnij jednocześnie trzy klawisze, a pozioma linia pojawi się dokładnie tam, gdzie chcesz; naciśnij inny, a przetnie ją prostopadła; wduś kolejno dwa i dwa klawisze, a otrzymasz skośną pod idealnie dokładnym kątem.

Do licha, za niewielką dodatkową opłatą mógłbym dodać do kompletu drugą sztalugę, umożliwiając projektowanie izometryczne (jedyny łatwy sposób projektowania) i tworzenie rysunku w rzucie perspektywicznym bez konieczności spoglądania na planszę. Cóż, mógłbym nawet ustawić ten gadżet tak, by bezpośrednio z projektu izometrycznego kreślił rysunki konturowe wnętrz i elewacji.

Najlepsze było to, że to urządzenie można było zrobić ze standardowych podzespołów dostępnych w sklepach radiotechnicznych i fotograficznych.

To znaczy z wyjątkiem panelu sterującego, ale wiedziałem, że mogę uporać się z tym problemem, kupując elektryczną maszynę do pisania, rozbierając ją i podłączając tak, by klawiatura sterowała innymi obwodami. Miesiąc na budowę prototypu, potem sześć tygodni na wprowadzenie poprawek…

Jednak skryłem ten plan w głębi umysłu, pewien, że mógłbym go zrealizować i znalazłbym nabywców. Najbardziej cieszyło mnie to, że znalazłem sposób na zwiększenie wszechstronności poczciwego Fenomenalnego Franka. Wiedziałem o nim więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie się dowiedzieć, nawet gdyby przez rok analizował moje dzieło. Nikt nie zdołałby pojąć, gdyż nie było tego w moich notatkach, że dla każdej ewentualności, którą wybrałem przy projektowaniu, istniał co najmniej jeden wariant alternatywny – oraz że moje możliwości wyboru ograniczało założenie, że Frank ma pomagać w gospodarstwie domowym. Na początek mogłem zrezygnować z podstawowego ograniczenia, mianowicie działania na bazie elektrycznego wózka. Potem mogłem zrobić, co tylko chciałem, tyle że potrzebowałem do tego modułów pamięci Thorsena – a ich wykorzystania Miles nie mógł mi zabronić; były dostępne na rynku dla każdego, kto chciał zaprojektować dowolny cybernetyczny gadżet.

Maszyna kreślarska może poczekać; zajmę się urządzeniem o wszechstronnym zastosowaniu, które można by zaprogramować na każdą czynność wykonywaną przez człowieka, o ile nie będzie do niej potrzebna prawdziwa ludzka ocena sytuacji.

Nie, najpierw skonstruuję maszynę kreślarską, a potem wykorzystam ją przy projektowaniu Polifunkcyjnego Pete’a.

– Co ty na to, Pete? Nadamy pierwszemu prawdziwemu robotowi na świecie twoje imię.

– Mrrrau?

– Nie bądź taki podejrzliwy. To zaszczyt.

Dzięki doświadczeniu zdobytemu przy konstruowaniu Franka mogłem szybko i dobrze zaprojektować Pete’a za pomocą automatycznego kreślarza. Będzie hitem, który zmiecie Franka, zanim skierują go do produkcji. Przy odrobinie szczęścia doprowadzę ich do bankructwa i będą mnie błagać, żebym wrócił. Chcieli zabić kurę znoszącą złote jajka, no nie?

W domu Milesa paliły się światła, a jego samochód stał przy krawężniku. Zaparkowałem przed nim i powiedziałem do Pete’a:

– Lepiej zostań tu i popilnuj wozu, kolego. W razie czego trzykrotnie krzyknij „stój”, a potem strzelaj.

– Nieee!

– Jeżeli cię zabiorę do środka, będziesz musiał siedzieć w torbie.

– Brrr?

– Nie kłóć się. Jeśli chcesz tam wejść, wskakuj do torby.

Pete wskoczył do torby.

Miles otworzył przede mną drzwi. Nie uścisnęliśmy sobie rąk. Zaprowadził mnie do salonu i wskazał krzesło.

Siedziała tam Belle. Nie spodziewałem się jej, ale chyba nie było w tym nic zaskakującego. Popatrzyłem na nią i uśmiechnąłem się.

– To miłe, że się tutaj spotykamy! Nie powiesz mi chyba, że przyjechałaś taki kawał drogi z Mojave tylko po to, żeby ze mną porozmawiać?

Jak już zacznę, potrafię być duszą towarzystwa; powinniście zobaczyć mnie w damskim kapeluszu.

Belle zmarszczyła brwi.

– Nie wygłupiaj się, Dan. Powiedz, co masz do powiedzenia, i wynoś się.

– Nie poganiaj mnie. Myślę, że jest przyjemnie… mój były partner… moja była narzeczona. Brak tu tylko mojej byłej firmy.

– Dan, nie stawiaj tak sprawy – powiedział pojednawczo Miles. – Zrobiliśmy to dla twojego dobra… i zawsze możesz wrócić do pracy, jeśli zechcesz. Chętnie przyjmę cię z powrotem.

– Dla mojego dobra, co? Tak chyba mówili koniokradowi, zanim powiesili go na wysokim drzewie. A co do mojego powrotu – co ty na to, Belle? Mogę wrócić?

Przygryzła wargę.

– Oczywiście, jeśli Miles tak mówi.

– A wydaje się, że zaledwie wczoraj powtarzałaś: „Oczywiście, jeśli Dan tak mówi”. Jednak wszystko się zmienia; takie jest życie. I nie zamierzam wrócić, drogie dzieci; nie bójcie się. Przyszedłem tu po to, żeby dowiedzieć się kilku rzeczy.

Miles zerknął na Belle.

– Na przykład? – odezwała się.

– Po pierwsze, które z was wymyśliło ten szwindel? Czy może zaplanowaliście go razem?

– To brzydkie słowo, Dan – rzekł wolno Miles. – Nie podoba mi się.

– Och, daj spokój, nie owijajmy w bawełnę. Jeśli to brzydkie słowo, to uczynek jest dziesięć razy paskudniejszy. Mówię o sfałszowaniu umowy i patentów – to złamanie prawa federalnego, Miles; myślę, że co drugą środę wypuszczą cię na spacerniak. Nie jestem pewien, ale FBI niewątpliwie mi to wyjaśni. Jutro – dodałem, widząc, że się wzdrygnął.

– Dan, chyba nie będziesz na tyle głupi, żeby próbować sprawiać nam kłopoty?

– Kłopoty? Zamierzam wytoczyć wam procesy, cywilne i karne, pod wszelkimi możliwymi zarzutami. Nie będziecie mieli czasu, żeby się podrapać… jeśli nie pójdziecie na jedno ustępstwo. Jednak jeszcze nie wspomniałem o waszym trzecim kancie – kradzieży moich notatek

i szkiców Fenomenalnego Franka… a także prototypu, chociaż możecie mnie obciążyć kosztem użytych materiałów, ponieważ rachunki były wystawione na firmę.

– Kradzieży? Bzdura! – warknęła Belle. – Pracowałeś dla firmy.

– Czyżby? Przeważnie robiłem to po nocach. I nigdy nie byłem pracownikiem firmy, Belle, o czym oboje wiecie. Po prostu ściągałem pieniądze na życie z konta, na które wpływał zysk z moich akcji. Co na to powie Mannix, gdy wysunę pozew sądowy, twierdząc, że wszystkie te urządzenia, których kupnem byli zainteresowani – Służka, Willie i Frank – nigdy nie były własnością firmy i zostały mi ukradzione?

– Bzdura – powtórzyła ponuro Belle. – Pracowałeś dla firmy. Miałeś umowę.

Wyciągnąłem się na krześle i parsknąłem śmiechem.

– Słuchajcie, dzieciaki, teraz nie musicie kłamać; zaczekajcie z tym, aż staniecie przed sądem. Tu nie ma nikogo prócz nas, nieboraków. Naprawdę chciałbym wiedzieć, kto to wymyślił. Wiem, jak to zrobiliście. Belle, zawsze przynosiłaś mi dokumenty do podpisu. Jeśli trzeba było podpisać kilka kopii, spinałaś je razem – oczywiście dla mojej wygody, byłaś zawsze idealną sekretarką – tak więc na egzemplarzach pod spodem widziałem tylko miejsce na podpis. Teraz już wiem, że w tych schludnych plikach podtykałaś mi różne trefne papiery. Tak więc to ty zrealizowałaś cały szwindel: Miles nie dałby rady tego zrobić. Do licha, on nawet niezbyt dobrze pisze na maszynie. Ale kto przygotował dokumenty, które mi podsunęłaś do podpisu? Ty? Nie sądzę… chyba że ukończyłaś studia prawnicze, o których nie wspomniałaś. Co ty na to, Miles? Czy zwyczajna sekretarka umiałaby tak doskonale sformułować ten cudowny paragraf siódmy? Czy może jednak sformułował to prawnik? To znaczy ty.

Cygaro Milesa już dawno zgasło. Wyjął je z ust, popatrzył na nie i ostrożnie powiedział:

– Dan, stary druhu, jeżeli myślisz, że nas skłonisz do przyznania się, to oszalałeś.

– Och, daj spokój; jesteśmy tu sami. Tak czy inaczej, oboje jesteście winni. Chciałbym wierzyć, że ta Dalila przyszła do ciebie z gotowym planem i przekonała cię w chwili twojej słabości. Wiem jednak, że to nieprawda. Jeśli Belle nie jest prawnikiem, to obmyśliliście to razem od początku do końca. Ty sporządziłeś te fikcyjne dokumenty, a ona przepisała je na maszynie i podsunęła mi do podpisu. Mam rację?

– Nie odpowiadaj, Miles!

– Oczywiście, że nie odpowiem – zgodził się Miles. – Może ukrywa magnetofon w tej torbie.

– Powinienem był ukryć – przyznałem – ale tego nie zrobiłem. – Rozsunąłem zamek i Pete wystawił głowę. – Słyszysz wszystko, Pete? Uważajcie, co mówicie, ludzie; Pete ma pamięć jak słoń. Nie, nie przyniosłem magnetofonu – ja, stary tępak Dan Davis, nie jestem przewidujący. Idę przez życie na oślep, ufając przyjaciołom… tak jak zaufałem wam. Czy Belle jest prawnikiem, Miles? Czy też sam usiadłeś i z zimną krwią zaplanowałeś, jak mnie podejść i zgodnie z prawem obrabować?

– Miles! – przerwała mi Belle. – Przy jego umiejętnościach mógł zrobić magnetofon wielkości paczki papierosów. Nie musi go mieć w torbie. Może to ukrył w ubraniu.

– To dobry pomysł, Belle. Następnym razem tak zrobię.

– Zdaję sobie z tego sprawę, moja droga – odpowiedział Miles. – Jeśli go ma, to wyrażasz się zbyt swobodnie. Uważaj, co mówisz.

Belle odpowiedziała słowem, o którego znajomość jej nie podejrzewałem. Uniosłem brwi.

– Warczycie na siebie? Już złodzieje się kłócą?

Z zadowoleniem zauważyłem, że Miles zaczyna się denerwować.

– To ty uważaj, co mówisz, Dan… jeśli zależy ci na zdrowiu.

– Ojej! Jestem od ciebie młodszy, a ponadto niedawno trenowałem dżudo. No i nie potrafiłbyś zastrzelić człowieka; możesz go jedynie wrobić poprzez podrzucenie fałszywych dokumentów. Nazwałem was złodziejami, ponieważ nimi jesteście. Złodziejami i kłamcami. – Odwróciłem się do Belle. – Mój tata uczył mnie, że nie wolno nigdy nazywać damy kłamczuchą, ślicznotko, ale ty nie jesteś damą. Jesteś kłamczuchą… złodziejką… i dziwką.

Belle poczerwieniała i rzuciła na mnie spojrzenie, które zatarło całą jej urodę i ujawniło skryte pod nią drapieżne zwierzę.

– Miles! – rzuciła. – Będziesz tak siedział i pozwalał mu…

– Cicho! – rozkazał Miles. – Rozmyślnie jest ordynarny. Zamierza nas zdenerwować i sprowokować do powiedzenia czegoś, czego będziemy żałować. A ty omal tego nie zrobiłaś. Siedź więc cicho.

Belle nie odezwała się, ale wciąż miała mord w oczach. Miles odwrócił się do mnie.

– Dan, uważam się za pragmatyka. Próbowałem przemówić ci do rozsądku, zanim odszedłeś z firmy. Starałem się rozwiązać wszystko tak, żebyś pogodził się z tym, co nieuniknione.

– To znaczy, że powinienem dać się wydymać po cichu.

– Jak uważasz. Nadal pragnę to rozwiązać polubownie. Nie zdołasz wygrać żadnego procesu, ale jako prawnik wiem, że zawsze lepiej jest wcale nie iść do sądu, niż kogoś pokonać. Wspomniałeś, że moglibyśmy

coś dla ciebie zrobić, aby cię ułagodzić. Powiedz, o co chodzi; może dojdziemy do ugody.

– Och, właśnie do tego zmierzam. Ty nie możesz tego zrobić, ale mógłbyś to załatwić. To proste. Skłoń Belle, żeby oddała mi akcje, które przepisałem na nią w prezencie zaręczynowym.

– Nie! – powiedziała Belle.

– Mówiłem ci przecież, żebyś siedziała cicho – rzucił Miles.

Spojrzałem na nią.

– Dlaczego nie, moja była najdroższa? – spytałem. – Zasięgnąłem w tej sprawie porady, jak to ujmują prawnicy, i ponieważ dałem ci te akcje ze względu na to, że obiecałaś za mnie wyjść, masz nie tylko moralny, ale także prawny obowiązek mi je oddać. Nie była to „darowizna”, jak to się chyba fachowo nazywa, lecz coś, co wręczyłem w zamian za twoje umiarkowane wdzięki, których nigdy nie otrzymałem. Może więc oddasz mi te akcje, co? Czy znów zmieniłaś zdanie i chcesz teraz za mnie wyjść?

Powiedziała mi, gdzie i jak mogę oczekiwać tego ślubu.

– Belle, tylko pogarszasz sytuację – ze znużeniem rzekł Miles. – Nie rozumiesz, że on próbuje nam dopiec? – Znów odwrócił się do mnie. – Dan, jeśli po to tu przyszedłeś, to możesz już wyjść. Przyznaję, że gdyby okoliczności były takie, jak twierdzisz, miałbyś trochę racji. Jednak tak nie jest. Przekazałeś te akcje Belle za to, co od niej otrzymałeś.

– Tak? Co otrzymałem? Gdzie rachunek z należnością?

– Nie potrzeba żadnego rachunku. Otrzymałeś od niej usługi na rzecz firmy, wykraczające poza zakres jej obowiązków.

Gapiłem się na niego.

– Cóż za piękna teoria! Posłuchaj, Miles, stary druhu, gdyby to była nagroda za usługi świadczone firmie, a nie mnie osobiście, musiałbyś o tym wiedzieć i zapłacić jej identyczną sumę – w końcu dzieliliśmy zysk po

połowie, nawet jeśli ja sprawowałem… czy sądziłem, że sprawuję… kontrolę nad firmą. Powiesz mi, że dałeś Belle pakiet akcji o takiej samej wartości?

Zobaczyłem, jak zerkają na siebie nawzajem, i nagle mnie olśniło.

– A może to zrobiłeś! Założę się, że moja mała ślicznotka skłoniła cię do tego, warunkując tym swój udział w oszustwie. Mam rację? Jeżeli tak, możesz być pewny, że natychmiast je zarejestrowała… a daty dowodzą, że ja przepisałem na nią akcje dokładnie w tym samym czasie, gdy się zaręczyliśmy – do licha, wiadomość o naszych zaręczynach była w „Desert Herald" – natomiast ty zrobiłeś to samo wtedy, gdy mnie załatwiłeś, a ona ze mną zerwała – wszystko jest w papierach! Może jednak sąd mi uwierzy, Miles? Jak myślisz?

Miałem ich, naprawdę ich miałem! Po ich nagle zastygłych twarzach poznałem, że znalazłem jedyny słaby punkt, którego nie potrafiliby wyjaśnić i którego miałem nigdy nie odkryć. Przyparłem ich do muru… i nagle przyszła mi do głowy kolejna zwariowana myśl. Zwariowana? Nie, logiczna.

– Ile było tych akcji, Belle? Tyle, ile wydusiłaś ze mnie za same „zaręczyny"? Dla niego zrobiłaś coś więcej, zatem powinnaś więcej dostać. – Zamilkłem na moment. – Zaraz… Zdziwiło mnie, że Belle pofatygowała się tu tylko po to, żeby ze mną pogadać, bo wiem, że nie miałaby ochoty na taką podróż. Może więc wcale nie przyjechałaś: może po prostu tu mieszkasz. Żyjecie razem? Czy też powinienem powiedzieć: „jesteście zaręczeni"? Czy… wzięliście już ślub? – Zastanowiłem się nad tym. – Założę się, że tak. Miles, ty nie jesteś tak naiwny jak ja; postawię ostatnią koszulę, że nigdy, przenigdy nie przepisałbyś akcji na Belle tylko dlatego, że obiecała ci małżeństwo. Ewentualnie w prezencie ślubnym – ale pod

warunkiem, że zachowasz kontrolny pakiet. Nie musisz mi odpowiadać; jutro sprawdzę fakty. To także będzie w papierach.

Miles zerknął na Belle i powiedział:

– Nie trać czasu. Oto pani Gentry.

– Ach, tak? Gratuluję wam obojgu. Jesteście siebie warci. A teraz co do moich akcji. Ponieważ pani Gentry najwyraźniej nie może za mnie wyjść, zatem…

– Nie bądź głupi, Dan. Już obaliłem tę twoją śmieszną teorię. Przepisałem na Belle część akcji, tak jak ty to zrobiłeś. Z tych samych powodów, w podziękowaniu za usługi na rzecz firmy. Jak powiedziałeś, to wszystko jest w papierach. Belle i ja wzięliśmy ślub zaledwie tydzień temu… ale jeśli zechcesz to sprawdzić, odkryjesz, że akcje przepisałem na nią wcześniej. Nie zdołasz połączyć tych dwóch wydarzeń. Tak, dostała akcje od nas obu ze względu na jej nieocenioną wartość dla firmy. Kiedy z nią zerwałeś i rzuciłeś pracę w firmie, pobraliśmy się.

To mnie zaskoczyło. Miles był zbyt sprytny, aby kłamać w sprawie tak łatwej do sprawdzenia. Jednak był w tym jakiś fałsz, coś, czego jeszcze nie odkryłem.

– Kiedy i gdzie się pobraliście?

– W zeszły czwartek w urzędzie w Santa Barbara. Chociaż nic ci do tego.

– Może i nie. Kiedy przepisałeś akcje?

– Nie pamiętam dokładnie. Sprawdź, jeśli chcesz wiedzieć.

Cholera, to niewiarygodne, że podarował Belle akcje, zanim się z nią związał. Postąpiłby równie głupio jak ja, a to nie było w jego stylu.

– Zastanawiam się nad czymś, Miles. Gdybym wynajął detektywa, żeby nad tym popracował, może odkryłbym, że wzięliście ślub trochę wcześniej? Może w Yumie? Albo w Las Vegas? A może wpadliście do Reno wtedy, gdy wybraliście się na północ, żeby złożyć zeznania podatkowe? Może by się

okazało, że zarejestrowano to małżeństwo, a daty przekazania akcji i cesji moich patentów na rzecz firmy tworzą razem piękny obraz. Co ty na to?

Miles nie zareagował; nawet nie spojrzał na Belle. Co do niej, to malującej się na jej twarzy nienawiści nie mógł pogłębić nawet ten celny, zadany na oślep cios. Najwyraźniej trafiłem w czuły punkt i postanowiłem to wykorzystać.

– Dan – powiedział Miles – byłem dotąd cierpliwy i starałem się dojść do porozumienia. Usłyszałem tylko zniewagi. Tak więc sądzę, że powinieneś już sobie pójść. Inaczej będę musiał cię wyrzucić – ciebie i tego zapchlonego kota!

– *Olé!* – odparłem. – To pierwsze męskie słowa, jakie wypowiedziałeś tego wieczoru. Jednak nie nazywaj Pete'a „zapchlonym". Rozumie angielski i może się odgryźć. Dobrze, były kumplu, wychodzę… ale chcę jeszcze wygłosić mowę końcową, bardzo krótką. Zapewne będą to ostatnie zdania, jakie do ciebie wypowiem. Dobrze?

– No… dobrze. Tylko się streszczaj.

– Miles, chcę z tobą porozmawiać – pospiesznie powiedziała Belle.

Uciszył ją machnięciem ręki, nawet na nią nie patrząc.

– Mów. Tylko szybko.

Odwróciłem się do Belle.

– Zapewne nie chcesz tego usłyszeć, Belle. Proponuję, żebyś wyszła.

Oczywiście została. Tak jak chciałem. Znów spojrzałem na niego.

– Miles, nie jestem na ciebie aż tak zły. To niewiarygodne, co mężczyźni są gotowi zrobić dla podstępnych kobiet. Jeśli nie oparli się im Samson i Marek Antoniusz, dlaczego ty miałbyś być odporny? Właściwie, zamiast się gniewać, powinienem być ci wdzięczny. I chyba trochę jestem. Z pewnością jest mi cię żal. – Spojrzałem na Belle. – Teraz ją masz i musisz sobie radzić z tym problemem… a ja tylko straciłem trochę pieniędzy i na

jakiś czas spokój ducha. Jaką ty zapłacisz cenę? Zwiodła mnie i nawet zdołała namówić ciebie, mojego dobrego przyjaciela, żebyś mnie oszukał… Kiedy znajdzie nowego frajera i cię wykiwa? Za tydzień? Za miesiąc? A może dopiero za rok? To tak pewne jak to, że pies wraca zawsze do swoich wymiocin…

– Miles! – zaskrzeczała Belle.

– Wynoś się! – groźnie warknął Miles i wiedziałem, że żarty się skończyły.

Wstałem.

– Już wychodzimy. Żal mi cię, stary druhu. Obaj popełniliśmy tylko jeden błąd i jestem winny w takim samym stopniu co ty. Jednak zapłacisz za to sam. To niedobrze… ponieważ był to naprawdę niewinny błąd.

Ciekawość wzięła górę.

– Co masz na myśli?

– Powinniśmy byli zadać sobie pytanie, dlaczego taka bystra, piękna, kompetentna i energiczna kobieta chce pracować u nas za pensję maszynistki. Gdybyśmy wzięli jej odciski palców, jak to robią duże firmy, i sprawdzili, czy jest notowana, może nie zatrudnilibyśmy jej… i wciąż bylibyśmy wspólnikami.

Znów strzał w dziesiątkę! Miles nagle spojrzał na swoją żonę, która wyglądała jak… no cóż, nie jak „zagnany w kąt szczur”, bo szczury nie mają takich kształtów jak Belle.

Nie mogłem się powstrzymać; musiałem jej dopiec. Ruszyłem ku niej, mówiąc:

– I co, Belle? Gdybym wziął tę stojącą obok ciebie szklankę i kazał sprawdzić twoje odciski palców, co bym odkrył? Listy gończe wiszące na poczcie? Oszustwa? Albo bigamię? Może małżeństwa z bogatymi frajerami? Czy Miles jest twoim legalnym mężem?

Wyciągnąłem rękę i podniosłem szklankę.

Belle wytrąciła mi ją z ręki.

A Miles zaczął na mnie wrzeszczeć.

I w końcu posunąłem się za daleko. Byłem na tyle głupi, że wszedłem bez broni do klatki z groźnymi zwierzętami, a potem zapomniałem o pierwszym przykazaniu tresera; odwróciłem się do nich plecami. Miles krzyknął, a ja obróciłem się do niego. Belle sięgnęła po torebkę… i pamiętam, że pomyślałem, że nie jest to dla niej najlepsza pora na sięgnięcie po papierosa.

Potem poczułem ukłucie.

Pamiętam, że gdy ugięły się pode mną kolana i zacząłem osuwać się na dywan, odczuwałem tylko jedno: byłem ogromnie zdziwiony tym, że Belle mogła mi zrobić coś takiego. W gruncie rzeczy wciąż jej ufałem.

Rozdział IV

Tak naprawdę nie straciłem przytomności. Gdy środek odurzający zaczął działać, a walnął mnie nawet szybciej niż morfina, zakręciło mi się w głowie i straciłem kontakt z rzeczywistością. Jednak nic poza tym. Miles zawołał coś do Belle i złapał mnie za tułów, gdy ugięły się pode mną kolana. Kiedy przeciągnął mnie przez pokój i upuścił na krzesło, nawet zawrót głowy mi przeszedł.

Jednak choć przytomny, byłem odrętwiały. Teraz już wiem, co mi wstrzyknięto: serum „zombi”, odpowiedź Wuja Sama na pranie mózgu. O ile wiem, nigdy nie wypróbowano tego środka na żadnym jeńcu, ale chłopaki posługiwały się nim czasem podczas przesłuchań indoktrynowanych osób, tak więc istniał, nielegalny, lecz bardzo skuteczny. Obecnie wykorzystuje się go we wspomaganej farmakologicznie psychoanalizie, ale zdaje się, że nawet psychiatra może go stosować tylko na polecenie sądu.

Bóg jeden wie, gdzie zdobyła go Belle. Jednak sam Bóg również wie, ilu frajerów nabrała.

Wtedy nie zastanawiałem się nad tym ani w ogóle nad niczym. Leżałem bezwładnie, bierny jak warzywo, wszystko słysząc i patrząc przed siebie – ale gdyby obok mnie przeszła lady Godiva bez konia, nie powiódłbym za nią wzrokiem.

Chyba że by mi kazano.

Pete wyskoczył z torby, przydreptał do mnie i zapytał, co mi jest. Kiedy nie odpowiedziałem, zaczął energicznie ocierać się o moje łydki, wciąż

domagając się wyjaśnień. Ponieważ nadal nie zareagowałem, wskoczył mi na kolana, oparł przednie łapy na piersi, spojrzał prosto w oczy i zażądał, żebym powiedział, co mi się stało, natychmiast i bez wstawiania kitu.

Nie odpowiedziałem, więc zaczął lamentować.

To sprawiło, że Miles i Belle zwrócili na niego uwagę. Umieściwszy mnie na krześle, Miles odwrócił się do Belle i rzekł z goryczą:

– No i narobiłaś bigosu! Oszalałaś?

– Spokojnie, Grubasku – odparła Belle. – Załatwimy go raz na zawsze.

– Co takiego? Jeżeli myślisz, że pomogę ci w morderstwie…

– Daruj sobie! To byłoby logiczne… ale nie masz do tego odwagi. Na szczęście nie jest to konieczne, skoro podałam mu ten środek.

– O czym mówisz?

– Teraz będzie uległy. Zrobi wszystko, co mu każę. Nie będzie już sprawiał kłopotów.

– Przecież… dobry Boże, Belle, nie możesz przecież wiecznie odurzać go narkotykiem. Jak tylko dojdzie do siebie…

– Przestań gadać jak prawnik. Ja w przeciwieństwie do ciebie wiem, jak działa ten środek. Nawet jak przestanie działać, on zrobi wszystko, co mu każę. Powiem mu, żeby nigdy nas nie podawał do sądu; nie poda. Powiem mu, żeby przestał wtykać nos w nasze sprawy; w porządku, zostawi nas w spokoju. Powiem, żeby pojechał do Timbuktu; pojedzie. Powiem, żeby o wszystkim zapomniał; zapomni… ale i tak to zrobi.

Słuchałem jej, rozumiejąc, co mówi, ale wcale mnie to nie interesowało. Gdyby ktoś zaczął krzyczeć: „Dom się pali!”, też bym to zrozumiał, ale i tak by mnie to nie zainteresowało.

– Nie wierzę.

– Nie wierzysz, co? – Spojrzała na niego dziwnie. – A powinieneś.

– Tak? Co masz na myśli?

– Nieważne, nieważne. Ten środek działa, Grubasku. Najpierw jednak musimy…

Właśnie wtedy Pete zaczął lamentować. Nieczęsto słyszy się koci lament; możecie nie usłyszeć go nigdy w życiu. Koty nie lamentują nawet podczas walki, bez względu na to, jak ciężkie odniosą rany, a już nigdy dlatego, że są po prostu niezadowolone. Kot rozpacza tylko w ostateczności, gdy sytuacja jest zupełnie beznadziejna, przekracza jego możliwości i nie zostaje mu nic innego jak zawodzić.

Przypomina to wycie potępieńca. I jest nie do zniesienia; ma częstotliwość porażającą nerwy.

Miles odwrócił się i rzucił:

– Ten przeklęty kot! Musimy się go pozbyć.

– Zabij go – powiedziała Belle.

– Co takiego? Zawsze wybierasz drastyczne metody, Belle. Dan narobiłby większego hałasu z powodu tego bezwartościowego zwierzaka, niż gdybyśmy zostawili go bez grosza przy duszy. Zaraz…

Odwrócił się i podniósł torbę podróżną Pete’a.

– Sama go zabiję! – oznajmiła ostro Belle. – Od wielu miesięcy miałam ochotę zatłuc tego cholernego kota!

Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiejś broni i znalazła ją, pogrzebacz z zestawu przyborów do kominka; podbiegła i złapała go.

Miles podniósł Pete’a i spróbował wsadzić go z powrotem do torby.

„Spróbował” to właściwe słowo. Pete nie życzy sobie, żeby podnosił go ktokolwiek poza mną i Ricky, a gdyby zawodził, nawet ja nie wziąłbym go na ręce bez uprzednich delikatnych negocjacji; wyprowadzony z równowagi kot jest równie niebezpieczny jak piorunian rtęci. A Pete nawet w dobrym humorze nie pozwalał na to, by ktoś łapał go za kark.

Wbił pazury w łokieć Milesa, a zęby w opuszkę jego lewego kciuka. Miles wrzasnął i upuścił go.

– Odsuń się, Grubasku! – zaskrzeczała Belle i zamachnęła się pogrzebaczem.

Jej zamiary były zupełnie oczywiste i do ich realizacji miała odpowiednią siłę oraz oręż. Nie umiała jednak posługiwać się taką bronią, a Pete był bardzo dobrym wojownikiem. Przemknął pod uniesionym ramieniem Belle i uderzył ją w czterech miejscach naraz, dwiema łapkami każdą nogę.

Belle wrzasnęła i upuściła pogrzebacz.

Niewiele widziałem z tego, co było dalej. Wciąż spoglądałem przed siebie i widziałem większość salonu, ale nic poza tym, ponieważ nikt mi nie kazał popatrzeć w innym kierunku. Tak więc resztę wydarzeń rejestrowałem głównie słuchem, z wyjątkiem momentu, gdy cała trójka przecięła moje pole widzenia, najpierw dwoje ludzi ścigających kota – a po niewiarygodnie krótkiej chwili dwoje ludzi ściganych przez kota. Oprócz tej jednej krótkiej sceny z całej potyczki docierały do mnie jedynie trzaski, tupot nóg, krzyki, przekleństwa i złorzeczenia.

Nie sądzę jednak, żeby zdołali nawet tknąć go palcem.

Najgorsze, co przydarzyło mi się tamtego wieczoru, było to, że w godzinie chwały Pete’a, jego największej bitwy i największego zwycięstwa, nie tylko nie widziałem szczegółów, ale również nie mogłem należycie docenić sukcesu. Patrzyłem i słuchałem, ale nic mnie to nie obchodziło; w tej Chwili Prawdy byłem zupełnie odrętwiały.

Teraz wspominam te wydarzenia i czuję to, czego wtedy nie mogłem odczuwać. Jednak to nie to samo i zawsze będzie mi tego brakowało, jak nowożeńcowi, który przespał miesiąc miodowy.

Trzaski i przekleństwa nagle ucichły i niebawem Miles i Belle wrócili do salonu.

– Kto nie domknął tych cholernych drzwi? – zapytała Belle, ciężko dysząc.

– Ty. Więc lepiej bądź cicho. Kot uciekł.

Miles miał zakrwawioną twarz i ręce; ostrożnie dotykał podrapanego czoła i policzków, co niewiele pomagało. Najwyraźniej w trakcie potyczki potknął się i upadł, bo wskazywały na to jego spodnie i pęknięta na plecach marynarka.

– Nie będę cicho, do diabła. Masz w domu spluwę?

– Co?

– Chcę zastrzelić tego cholernego kota.

Belle była w jeszcze gorszym stanie niż Miles, gdyż miała więcej odsłoniętych miejsc, do których mógł się dobrać Pete – nogi i ramiona. Było oczywiste, że nieprędko znów włoży suknię bez ramiączek i jeśli nie otrzyma szybko fachowej opieki, zapewne będzie miała blizny. Wyglądała jak harpia po wolnoamerykance z siostrami.

– Siadaj! – warknął Miles.

Odpowiedziała krótko i tym samym odmownie.

– Zabiję tego kota.

– No to nie siadaj. Idź się umyć. Pomogę ci z jodyną i resztą, a potem ty mi pomożesz. Tylko zapomnij o tym kocie; pozbyliśmy się go.

Belle udzieliła dość nieskładnej odpowiedzi, ale Miles ją zrozumiał.

– I ty też – odparł – do woli. Pomyśl, Belle, gdybym dał ci pistolet – wcale nie mówię, że go mam – wybiegłabyś przed dom i zaczęła strzelać, niezależnie od tego, czy trafiłabyś tego kota czy nie, na pewno po dziesięciu minutach ściągnęłabyś tutaj policję, która zaczęłaby węszyć po kątach i zadawać pytania. Chcesz tego, kiedy mamy go u nas? – Wskazał na

mnie kciukiem. – A jeśli wyjdziesz z domu nieuzbrojona, ta bestia prawdopodobnie cię zabije. – Jeszcze bardziej spochmurniał. – Powinien być jakiś przepis zakazujący trzymać takie zwierzęta. Stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Tylko go posłuchaj.

Wszyscy słyszeliśmy, jak Pete krąży wokół budynku. Teraz już nie lamentował, tylko wydawał bojowe okrzyki – wzywał przeciwników, żeby wybrali broń i wyszli na zewnątrz, pojedynczo lub gromadnie.

Belle nadstawiła uszu i się wzdrygnęła.

– Nie martw się, nie zdoła wejść do środka – oznajmił Miles. – Zamknąłem jedne i drugie drzwi, które zostawiłaś otwarte.

– To nie ja je tak zostawiłam!

– Skoro tak twierdzisz.

Miles zaczął sprawdzać, czy okna są zamknięte. W końcu Belle wyszła z salonu, a on za nią. Po pewnym czasie Pete zamilkł. Nie wiem, jak długo ich nie było; czas nie miał dla mnie znaczenia.

Belle wróciła pierwsza. Nienagannie umalowana i uczesana, włożyła suknię z długimi rękawami i kołnierzem oraz zmieniła zniszczone pończochy. Oprócz kilku zaklejonych plastrem zadrapań na twarzy nie było widać śladów bitwy. Gdyby nie jej ponura mina, w tych okolicznościach powiedziałbym, że wygląda cudownie.

Podeszła do mnie i kazała mi wstać, więc wstałem. Obszukała mnie szybko i fachowo, nie zapominając o kieszonce na zegarek, kieszeniach koszuli i ukośnej kieszonce po wewnętrznej lewej stronie marynarki, której większość garniturów w ogóle nie ma. Niewiele znalazła – portmonetkę z niewielką ilością gotówki, dowód osobisty, prawo jazdy i tym podobne dokumenty, klucze, trochę drobnych, inhalator przeciwsmogowy, kilka śmieci i kopertę z potwierdzonym czekiem, który sama wystawiła i mi

przesłała. Odwróciła go, przeczytała moją adnotację na odwrocie i się zdziwiła.

– Co to takiego, Dan? Ubezpieczyłeś się?

– Nie.

Wyjaśniłbym jej resztę, ale mogłem tylko odpowiedzieć na ostatnie zadane mi pytanie.

Zmarszczyła brwi i dołączyła czek do zawartości moich kieszeni. Potem zauważyła torbę Pete’a i najwidoczniej przypomniała sobie o przegródce, w której chowałem dokumenty, ponieważ podniosła ją i otworzyła.

Natychmiast znalazła cztery zestawy kilkunastu formularzy, które podpisałem dla Towarzystwa Wzajemnego Ubezpieczenia. Usiadła i zaczęła je czytać. Ja stałem tam, gdzie mnie zostawiła, jak manekin krawiecki czekający na odstawienie.

Niebawem do pokoju wszedł Miles w płaszczu kąpielowym i kapciach, oblepiony dużą liczbą plastrów. Wyglądał jak czwartorzędny bokser wagi średniej, którego trener wystawił przeciwko o wiele lepszemu zawodnikowi. Jeden bandaż niczym opaska otaczał jego łysiejącą głowę, od czoła po potylicę; widocznie Pete dopadł go, gdy leżał na podłodze.

Belle podniosła wzrok, uciszyła Milesa machnięciem ręki i pokazała stertę dokumentów, które przeglądała. Usiadł obok niej i zaczął je czytać. Dogonił ją i ostatni przeczytał przez jej ramię.

– To stawia sprawy w zupełnie innym świetle – stwierdziła.

– Mało powiedziane. To wezwanie na kontrolę lekarską 4 grudnia – czyli jutro. Belle, Dan jest teraz gorętszy niż słońce nad Mojave; musimy go stąd zabrać! – Popatrzył na zegarek. – Rano zaczną go szukać.

– Miles, zawsze masz cykora, kiedy coś się dzieje. To nasza szansa, być może najlepsza, o jakiej moglibyśmy marzyć.

– Jak to?

– To serum zombi, chociaż dobre, ma jedną wadę. Powiedzmy, że nafaszerujesz nim kogoś i powiesz, co ma zrobić. Owszem, zrobi to. Wykona wszystkie twoje polecenia, bo po prostu musi. Wiesz coś o hipnozie?

– Niewiele.

– Czy w ogóle znasz się na czymś oprócz prawa, Grubasku? Niczym się nie interesujesz. Posthipnotyczny przymus – bo do tego to się sprowadza – może być i w rzeczywistości prawie zawsze jest sprzeczny z tym, czego naprawdę chce obiekt. W rezultacie dana osoba może w końcu trafić do psychiatry. A jeśli ten jest dobry w swoim fachu, prawdopodobnie odkryje przyczynę problemu. Tak więc Dan może pójść do psychiatry, który odwoła wszelkie wydane przeze mnie rozkazy. Gdyby tak się stało, mógłby narobić nam kłopotów.

– Niech to szlag, a powiedziałaś mi, że to pewna sprawa.

– Dobry Boże, Grubasku, w życiu musisz nieustannie ryzykować. W tym cała przyjemność. Niech się zastanowię. – Po chwili podjęła: – Najprościej i najbezpieczniej byłoby pozwolić mu zapaść w sen, który sobie załatwił. Nawet martwy nie byłby dla nas mniejszym problemem – i wcale nie musimy ryzykować. Zamiast wydawać mu szereg skomplikowanych poleceń, a potem modlić się, żeby nie poszedł do psychiatry, wystarczy, że każemy mu zapaść w zimny sen, a potem ocucimy go i wywieziemy stąd… albo najpierw go wywieziemy, a później ocucimy. – Odwróciła się do mnie. – Dan, kiedy zamierzasz się zahibernować?

– Nie zamierzam.

– Co? A co to takiego? – Wskazała dokumenty wyjęte z torby.

– To dokumenty potrzebne do zimnego snu. Umowy z Wzajemnym Ubezpieczeniem.

– Ześwirował – skomentował Miles.

– Hmm… oczywiście. Wciąż zapominam, że ludzie nie potrafią myśleć, kiedy są pod wpływem tego środka. Słyszą, mówią i odpowiadają na pytania… ale trzeba je właściwie formułować. Po prostu nie potrafią myśleć. – Podeszła bliżej i spojrzała mi w oczy. – Dan, chcę, żebyś opowiedział mi wszystko o umowie na zimny sen. Od początku do końca. Masz tu komplet niezbędnych dokumentów; najwyraźniej dzisiaj je podpisałeś. Teraz mówisz, że nie zamierzasz tego zrobić. Opowiedz mi o tym dokładnie, ponieważ chcę wiedzieć, dlaczego zamierzałeś to zrobić, a teraz mówisz, że nie.

Tak więc opowiedziałem jej. Tak sformułowane polecenie mogłem wykonać. Opowiedzenie wszystkiego trwało długo, ponieważ robiłem to tak, jak mi kazała, szczegółowo opisując przebieg wydarzeń.

– Zatem siedziałeś w tej restauracji dla zmotoryzowanych i postanowiłeś tego nie robić? A zamiast tego przyjechać tutaj i sprawiać nam kłopoty?

– Tak.

Już miałem mówić dalej, zrelacjonować, jak tu podróżowałem, co powiedziałem Pete’owi, jak on zareagował, jak zatrzymałem się w sklepie i zabezpieczyłem moje akcje Służki, jak dojechałem do domu Milesa, jak Pete nie chciał czekać w samochodzie, jak…

Jednak nie pozwoliła mi na to.

– Znów zmieniłeś zdanie, Dan – powiedziała. – Chcesz zapaść w zimny sen. I zrobisz to. Nie pozwolisz, żeby cokolwiek na świecie przeszkodziło ci zrealizować ten zamiar. Rozumiesz, co mówię? Co zamierzasz zrobić?

– Zamierzam zapaść w zimny sen. Chcę zasnąć…

Zachwiałem się. Chyba już od ponad godziny stałem sztywno jak maszt i nie poruszyłem żadnym mięśniem, ponieważ nikt mi nie kazał. Powoli zacząłem się osuwać na Belle.

Odskoczyła i powiedziała ostro:

– Siadaj!

Zatem usiadłem.

Belle odwróciła się do Milesa.

– Załatwione. Będę mu to wbijać do głowy, aż zyskam pewność, że niczego nie pokręci.

Miles spojrzał na zegarek.

– Powiedział, że lekarz polecił mu przyjść o dwunastej.

– No to mamy mnóstwo czasu. Lepiej jednak zawieźmy go tam sami, żeby mieć… Nie, cholera!

– W czym problem?

– Istotnie mamy za mało czasu. Podałam mu końską dawkę serum, bo chciałam, by narkotyk zadziałał szybko – zanim Dan mnie uderzy. Do południa wytrzeźwieje na tyle, żeby zwieść większość ludzi. Jednak nie lekarza.

– Może badanie będzie czystą formalnością. Ma już podpisane świadectwo zdrowia.

– Słyszałeś, co nam mówił. Ten lekarz zamierza sprawdzić, czy Dan nic nie pił. A to oznacza, że zbada odruchy bezwarunkowe, zmierzy szybkość reakcji, sprawdzi źrenice i… kilka innych rzeczy. A tego nie chcielibyśmy. I nie możemy na to pozwolić. To się nie uda, Miles.

– Może więc przesuniemy to na następny dzień? Zadzwonimy do nich i powiemy, że nastąpiło małe opóźnienie?

– Zamknij się i daj mi myśleć.

Niebawem zaczęła przeglądać dokumenty, które przyniosłem ze sobą. Później wyszła z pokoju, zaraz wróciła z jubilerską lupą, którą wetknęła jak monokl w prawe oko, i zaczęła dokładnie oglądać każdy dokument. Miles spytał ją, co robi, ale go zignorowała.

W końcu wyjęła lupę z oczodołu i powiedziała:

– Dzięki Bogu, że wszyscy muszą używać identycznych rządowych formularzy. Grubasku, podaj mi branżowy wykaz firm i instytucji.

– Po co?

– Podaj go, podaj. Chcę sprawdzić dokładną nazwę jednej firmy… och, wiem, jak się nazywa, ale chcę się upewnić.

Miles, mamrocząc, przyniósł grubą książkę. Belle przekartkowała ją, po czym rzekła:

– Tak, Kalifornijskie Towarzystwo Najlepszego Ubezpieczenia… i na każdym dokumencie jest wystarczająco dużo miejsca. Lepsza byłaby firma mająca w nazwie „Wspólnego” zamiast „Najlepszego”; byłoby łatwiej, ale nie znam nikogo w Towarzystwie Wspólnego Ubezpieczenia, a poza tym nie jestem pewna, czy oni zajmują się hibernacją, chyba tylko ubezpieczeniami grupowymi. – Podniosła wzrok. – Grubasku, natychmiast zawieziesz mnie do fabryki.

– Co?

– Chyba że znasz szybszy sposób znalezienia elektrycznej maszyny do pisania z ozdobną czcionką i węglową taśmą. Albo nie, jedź sam i przywieź ją tutaj; ja muszę wykonać kilka telefonów.

Zmarszczył brwi.

– Zaczynam się domyślać, co zamierzasz zrobić. Ale to szaleństwo, Belle. To bardzo niebezpieczne.

Roześmiała się.

– To ty tak uważasz. Jeszcze zanim zostaliśmy wspólnikami, mówiłam ci, że mam znajomości. Zdołałbyś sam zawrzeć tę umowę z Mannixem?

– No… nie wiem.

– Ale ja wiem. I zapewne nie wiesz również, że Towarzystwo Najlepszego Ubezpieczenia jest częścią grupy Mannixa.

– Cóż, tego nie wiedziałem. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma do rzeczy.

– To oznacza, że nadal mam tam znajomości. Widzisz, Grubasku, firma, w której poprzednio pracowałam, pomagała Mannixowi w obniżeniu strat związanych z płaceniem podatków… dopóki mój szef nie wyjechał z kraju. Jak twoim zdaniem udało nam się zawrzeć tak korzystną umowę, skoro nie mieliśmy gwarancji, że nasz Danny zgodzi się na to? Ja wiem wszystko o Mannixie. A teraz szybko przywieź tę maszynę, a pokażę ci, jak pracuje prawdziwa artystka. Uważaj na kota.

Miles mruknął coś pod nosem i wyszedł, ale zaraz wrócił.

– Belle? Czy Dan nie zaparkował samochodu przed domem?

– Dlaczego pytasz?

– Bo teraz go tam nie ma – wyjaśnił z zaniepokojoną miną.

– Cóż, zapewne zostawił go za rogiem. To nieważne. Jedź po tę maszynę do pisania. Szybko!

Miles znów wyszedł. Mogłem im powiedzieć, gdzie zaparkowałem samochód, ale ponieważ mnie o to nie spytali, nie myślałem o tym. Nie myślałem o niczym.

Belle znikła w głębi domu i zostawiła mnie samego. Gdzieś nad ranem wrócił Miles. Wyglądał na wykończonego i taszczył naszą maszynę do pisania. Potem znów byłem sam.

Po jakimś czasie przyszła Belle i powiedziała:

– Dan, miałeś dokument, który pozwala towarzystwu ubezpieczeniowemu zająć się twoimi akcjami Służki. Nie chcesz tego zrobić; chcesz je dać mnie.

Nie odpowiedziałem.

– Ujmijmy to tak – rzuciła gniewnie. – Chcesz mi je dać. Wiesz, że chcesz mi je dać. Wiesz to, prawda?

– Tak, chcę ci je dać.

– Dobrze. Chcesz mi je dać. Musisz mi je dać. Będziesz nieszczęśliwy, dopóki mi ich nie dasz. Gdzie one są? W twoim samochodzie?

– Nie.

– A więc gdzie?

– Wysłałem je pocztą.

– Co takiego? – zaskrzeczała. – Kiedy je wysłałeś? Do kogo? Dlaczego to zrobiłeś?

Gdyby skończyła na drugim pytaniu, powiedziałbym jej. A tak odpowiedziałem tylko na to ostatnie, ponieważ na więcej nie było mnie stać.

– Scedowałem je.

Przyszedł Miles.

– Gdzie je schował?

– Mówi, że wysłał akcje pocztą… bo je na kogoś scedował! Lepiej znajdź i przeszukaj jego samochód – może tylko myśli, że je wysłał. Z pewnością miał je przy sobie w towarzystwie ubezpieczeniowym.

– Scedował je! – powtórzył Miles. – Dobry Boże! Na kogo?

– Zaraz go zapytam. Dan, na kogo scedowałeś swoje akcje?

– Na Bank of America.

Nie spytała mnie dlaczego, więc nie powiedziałem jej o Ricky.

Opadły jej ręce i westchnęła.

– No i po zawodach, Grubasku. Możemy zapomnieć o tych akcjach. Potrzebowalibyśmy czegoś więcej niż pilnika do paznokci, żeby wydostać je z banku. – Nagle się wyprostowała. – Chyba że w rzeczywistości ich nie wysłał. Jeśli tego nie zrobił, wyczyszczę formularz na odwrocie umowy tak dokładnie, jakby wyszedł z pralni chemicznej. A potem znów sceduje te akcje… na mnie.

– Na nas – sprostował Miles.

– To już detal. Znajdź jego samochód.

Jakiś czas później Miles wrócił i oznajmił:

– Nie ma go w promieniu najbliższych sześciu przecznic. Objechałem wszystkie ulice i zaułki. Widocznie przyjechał taksówką.

– Słyszałeś, jak powiedział, że przyjechał swoim autem.

– No cóż, ale nigdzie go nie ma. Zapytaj, kiedy i gdzie wysłał akcje.

Belle spytała, a ja odpowiedziałem:

– Tuż przed tym, zanim do was przyjechałem. Wrzuciłem je do skrzynki na rogu Sepulveda i Ventura Boulevard.

– Sądzisz, że kłamie? – zapytał Miles.

– Nie może, nie w takim stanie. Jest tego absolutnie pewny, więc niczego nie pomieszał. Zapomnij o tym, Miles. Może kiedy go uśpią, okaże się, że ta cesja nie ma mocy prawnej, ponieważ sprzedał nam te akcje wcześniej… Każę mu podpisać kilka kartek in blanco, żeby tego spróbować.

Poleciła mi to zrobić, a ja spróbowałem jej się podporządkować. Jednak w obecnym stanie nie mogłem złożyć wystarczająco czytelnego podpisu. W końcu wyrwała mi kartkę z ręki i oznajmiła zjadliwie:

– Niedobrze mi się robi! Potrafię złożyć twój podpis lepiej niż ty. – Potem nachyliła się do mnie i warknęła: – Szkoda, że nie zabiłam twojego kota.

Zostawili mnie w spokoju na kilka godzin. Później znów przyszła Belle i powiedziała:

– Danny, zrobię ci zastrzyk i poczujesz się o wiele lepiej. Będziesz mógł wstać, chodzić i zachowywać się tak jak zwykle. Na nikogo nie będziesz się wściekał, szczególnie na Milesa i na mnie. Jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółmi. Jesteśmy, prawda? Twoi najlepsi przyjaciele to kto?

– Wy. Ty i Miles.

– Ale ja jestem dla ciebie kimś więcej. Jestem twoją siostrą. Powtórz.

– Jesteś moją siostrą.

– Dobrze. Teraz wybierzemy się na przejażdżkę, a potem pójdziesz spać. Źle się czułeś, ale gdy się obudzisz, będziesz zupełnie zdrowy. Rozumiesz, co mówię?

– Tak.

– Kim jestem?

– Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Moją siostrą.

– Grzeczny chłopczyk. Podwiń rękaw.

Nie poczułem ukłucia, ale gdy wyciągała igłę, trochę zapiekło. Usiadłem, otrząsnąłem się i powiedziałem:

– Rany, siostrzyczko, zapiekło. Co to było?

– Coś, po czym poczujesz się lepiej. Źle się czułeś.

– Tak, źle się czuję. Gdzie jest Miles?

– Za moment tu będzie. A teraz daj drugą rękę. Podwiń rękaw.

– Po co? – spytałem, ale podwinąłem rękaw i pozwoliłem zrobić sobie drugi zastrzyk. Podskoczyłem.

Uśmiechnęła się.

– Przecież wcale nie bolało, prawda?

– Co? Nie, nie bolało. Po co ten drugi zastrzyk?

– Żebyś spokojnie spał podczas jazdy. Kiedy dotrzemy na miejsce, obudzisz się.

– Dobrze. Chcę zasnąć. Muszę zapaść w Długi Sen. – Nagle coś sobie przypomniałem i rozejrzałem się wokół. – Gdzie jest Pete? Miał zasnąć ze mną.

– Pete? – powiedziała Belle. – Ależ skarbie, nie pamiętasz? Wysłałeś Pete’a do Ricky. Ona się nim zaopiekuje.

– No tak!

Uśmiechnąłem się z ulgą. Posłałem Pete’a do Ricky; pamiętałem, że wrzuciłem go do skrzynki. To dobrze. Ricky uwielbiała Pete’a i dobrze się nim zaopiekuje, gdy ja będę spał.

Odwieźli mnie do Zbiorczego Azylu w Sawtelle, z którego korzystało wiele mniejszych towarzystw ubezpieczeniowych – tych, które nie miały takich własnych punktów hibernacyjnych. Przespałem całą drogę, ale natychmiast się zbudziłem, gdy Belle przemówiła do mnie. Miles został w samochodzie, a ona wprowadziła mnie do środka. Dziewczyna w recepcji spojrzała na nas i spytała:

– Davis?

– Tak – potwierdziła Belle. – Jestem jego siostrą. Czy jest tu przedstawiciel Towarzystwa Najlepszego Ubezpieczenia?

– Znajdzie go pani w gabinecie zabiegowym numer 9 – czekają na was. Może pani oddać dokumenty pracownikowi Towarzystwa. – Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem. – Czy przeszedł badanie lekarskie?

– Och, tak! – zapewniła ją Belle. – Wie pani, brat ma nadzieję, że w przyszłości opracują odpowiednią terapię. Jest odurzony… środkiem przeciwbólowym.

– Zatem proszę się pospieszyć – zaświergotała ze współczuciem recepcjonistka. – Przez te drzwi, a później w lewo.

W gabinecie numer 9 czekali mężczyzna w garniturze, drugi w białym fartuchu i kobieta w stroju pielęgniarki. Pomogli mi się rozebrać i traktowali mnie jak niedorozwinięte dziecko, a Belle ponownie wyjaśniła, że jestem odurzony środkiem przeciwbólowym. Kiedy zostałem rozebrany i położony na stole, mężczyzna w białym fartuchu pomasował mój brzuch, mocno wbijając weń palce.

– Nie będzie z nim problemów – oznajmił. – Ma pusty żołądek.

– Nic nie jadł i nie pił od wczorajszego wieczoru – potwierdziła Belle.

– To dobrze. Czasami przychodzą tutaj napchani jak bożonarodzeniowe indyki. Niektórzy ludzie nie mają za grosz rozumu.

– To prawda. Szczera prawda.

– Yhm. No dobrze, synu, mocno zaciśnij palce, a ja zrobię ci zastrzyk.

Wypełniłem polecenie i wszystko wokół spowiła mgła. Nagle przypomniałem sobie o czymś i spróbowałem usiąść.

– Gdzie jest Pete? Chcę zobaczyć Pete’a.

Belle wzięła moją głowę w dłonie i pocałowała w czoło.

– Spokojnie, braciszku! Pete nie mógł przyjechać, pamiętasz? Pete musiał zostać z Ricky.

Uspokoiłem się, a ona po cichu wyjaśniła zebranym:

– Nasz brat Peter został w domu z chorą córeczką.

Zacząłem zasypiać.

Było mi bardzo zimno. Jednak nie mogłem ruszyć ręką, żeby podciągnąć kołdrę.

Rozdział V

Skarżyłem się barmanowi na klimatyzację – była za bardzo podkręcona i wszyscy mogliśmy się przeziębić.

– Nieważne – zapewnił mnie. – Podczas snu nie będzie pan tego czuł. Sen… sen… najpiękniejsza część wieczoru, wspaniały sen.

Miał twarz Belle.

– No to może coś ciepłego do picia? – zapytałem. – Grzańca? Albo szczeniaczka?

– Sam jesteś szczeniak! – odpowiedział lekarz. – Sen to dla ciebie zbytek łaski; wyrzućcie stąd tego szczeniaka!

Próbowałem zaczepić stopy o mosiężną poręcz, żeby ich powstrzymać. Jednak w tym barze nie było mosiężnej poręczy, co wydawało się dziwne, a ponadto leżałem na plecach, co było jeszcze dziwniejsze, chyba że zaczęli tu obsługiwać beznogich. Nie miałem nóg, więc jak mogłem zaczepić je o poręcz? Nie miałem także rąk.

– Patrzcie, nie miał rąk! – Pete siedział mi na piersi i lamentował.

Znów byłem w wojsku… chyba już po podstawowym szkoleniu, bo teraz były to jedne z tych kretyńskich ćwiczeń w Camp Hale, podczas których wrzucają ci śnieg za kołnierz, by zrobić z ciebie mężczyznę. Musiałem wspiąć się na najcholerniejszą i najwyższą górę w całym Kolorado, całą pokrytą lodem, a nie miałem nóg. Mimo to taszczyłem największy plecak, jaki kiedykolwiek widziano – przypomniałem sobie, że chcieli sprawdzić, czy można używać żołnierzy zamiast zwierząt jucznych, i wybrali mnie

z powodu niewielkiej wartości bojowej. Nie dałbym sobie rady, gdyby nie mała Ricky, która szła za mną i popychała mnie.

Dowodzący sierżant odwrócił się do mnie, a miał twarz Belle, siną z wściekłości.

– Ty tam, dawaj! Nie mogę na ciebie czekać. Nie obchodzi mnie, czy tam dojdziesz, czy nie… ale nie będziesz spał, dopóki nie dotrzesz na górę!

Moje nieistniejące nogi nie mogły mnie dalej nieść i upadłem w śnieg, a ten był lodowato ciepły i zasnąłem, podczas gdy mała Ricky lamentowała i prosiła mnie, żebym tego nie robił. Jednak musiałem spać.

Obudziłem się w łóżku z Belle. Potrząsała mną i mówiła:

– Zbudź się, Dan! Nie mogę czekać na ciebie trzydzieści lat; taka dziewczyna jak ja musi myśleć o przyszłości.

Próbowałem wstać i wręczyć jej worki złota, które trzymałem pod łóżkiem, lecz już zniknęła… a poza tym Służka z jej twarzą zabrała całe złoto, ułożyła je na tacy i umknęła z pokoju. Chciałem za nią pobiec, ale nie miałem nóg, nie miałem wcale ciała, jak odkryłem. „Nie mam niczego i nikt o mnie nie dba…” Świat składał się z sierżantów i z pracy… a więc jakie to ma znaczenie, gdzie i jak pracuję? Pozwoliłem im znów się objuczyć i ponownie zacząłem się wspinać na tę lodową górę. Była cała biała, pięknie wyoblona i gdybym tylko dostał się na jej różowy szczyt, pozwoliliby mi spać, a tylko tego potrzebowałem. Jednak nigdy tam nie dotrę… nie mam rąk, nie mam nóg, nie mam niczego.

Na górze wybuchł pożar lasu. Śnieg się nie stopił, ale czułem, jak biją we mnie fale gorąca, gdy wspinałem się coraz wyżej. Sierżant pochylał się nade mną i mówił:

– Zbudź się… zbudź się… zbudź się.

Ledwie zdołał mnie zbudzić, a już znów kazał mi zasnąć. Niejasno pamiętam to, co się działo później. Przez pewien czas leżałem na wibrującym stole, w świetle reflektorów, wśród groźnie wyglądających urządzeń i masy ludzi. Kiedy zupełnie się obudziłem, leżałem w szpitalnym łóżku i czułem się prawie dobrze, jeśli pominąć to dziwne uczucie, podobne trochę do stanu nieważkości, jakie człowiek ma po wizycie w łaźni tureckiej. Znów miałem ręce i nogi. Nikt jednak do mnie się nie odzywał i ilekroć próbowałem zadać jakieś pytanie, pielęgniarka wpychała mi coś do ust. I dość często robiono mi masaż.

Potem pewnego ranka poczułem się zupełnie dobrze i natychmiast po przebudzeniu wstałem z łóżka. Trochę kręciło mi się w głowie, ale to wszystko. Wiedziałem, kim jestem, jak się tu znalazłem, i wiedziałem, że wszystkie te sceny były tylko snem.

Wiedziałem, kto mnie tu umieścił. Jeżeli Belle kazała mi zapomnieć o wszystkich jej oszustwach, kiedy byłem odurzony, to albo jej rozkazy do mnie nie dotarły, albo trzydziestoletni zimny sen zniósł hipnotyczne działanie narkotyku. Niektórych szczegółów nie pamiętałem dokładnie, lecz w pełni rozumiałem, jak mnie oszukali.

Nie byłem strasznie zły z tego powodu. To prawda, że zdarzyło się to zaledwie „wczoraj”, gdyż od poprzedniego dnia oddziela nas tylko jednonocny sen – ale w moim wypadku trwał on trzydzieści lat. Nie mogłem dokładnie zdefiniować tego uczucia, ponieważ było całkowicie subiektywne, i choć dobrze pamiętałem „wczorajsze” wydarzenia, miałem wrażenie, że są bardzo odległe. Widzieliście w telewizji równoczesne ujęcia z dwóch kamer ukazujące pałkarza, który szykuje się do wybicia piłki, pierwsze jego twarz na zbliżeniu, drugie całą postać na tle boiska? To było coś w tym rodzaju… moje świadome wspomnienia znajdowały się na pierwszym planie; reakcje emocjonalne były odległe w czasie i przestrzeni.

Miałem szczery zamiar odszukać Belle i Milesa i posiekać ich na karmę dla kotów, ale z tym nie było pośpiechu. Mogę to zrobić za rok – teraz bardzo chciałem zobaczyć, jak wygląda rok 2000.

Skoro jednak mowa o karmie dla kotów, to gdzie jest Pete? Powinien gdzieś tu być… chyba że biedak nie przeżył tego snu.

Wtedy – i dopiero wtedy – przypomniałem sobie, że moje starannie przygotowane plany zabrania ze sobą Pete'a zostały zniweczone.

Przeniosłem Belle i Milesa z przegródki „do załatwienia" do tej z napisem „pilne". Próbowali zabić mojego kota, czyż nie?

Zrobili coś gorszego od zabicia Pete'a; wypędzili go, żeby zdziczał… i żeby przez resztę swoich dni błąkał się po zaułkach w poszukiwaniu odpadków, zmieniając się w szkielet o sterczących żebrach i przeistaczając się z dobrodusznego kociaka w stworzenie nieufne wobec wszystkich dwunogich potworów.

Zostawili go na śmierć – bo z pewnością już nie żył – zostawili go, by zmarł przekonany, że to ja go opuściłem.

Zapłacą mi za to… jeżeli wciąż żyją. Och, jak gorącą miałem nadzieję, że wciąż żyją – nawet nie potrafiłbym tego opisać!

Stwierdziłem, że stoję w samej piżamie obok łóżka i trzymam się poręczy, aby zachować równowagę. Rozejrzałem się, szukając jakiegoś sposobu, aby kogoś przywołać. Szpitalne sale niewiele się zmieniły. Nie było okna i nie widziałem, skąd pada światło; łóżko było wysokie i wąskie, jak wszystkie, które pamiętałem, ale zaprojektowano je tak, żeby nadawało się nie tylko do spania – między innymi nocny stolik był częścią konstrukcji, a pod spodem zamontowano coś, co zapewne pełniło rolę zautomatyzowanego basenu. W innych okolicznościach na pewno zainteresowałbym się takimi

urządzeniami, ale teraz chciałem tylko znaleźć opływowy przycisk przywołujący pielęgniarkę – i dostać ubranie.

Nie było znanego mi przełącznika, ale odkryłem jego zmodernizowaną wersję: przycisk dzwonka z boku tego, co było czymś więcej niż tylko nocnym stolikiem. Nacisnąłem go mimowolnie podczas poszukiwań i na ekranie monitora umieszczonego w nogach łóżka zaświecił się napis: WEZWANIE OBSŁUGI. Niemal od razu zgasł i zaraz pojawił się następny: PROSZĘ CZEKAĆ.

Niebawem drzwi otworzyły się cicho i weszła pielęgniarka. Pielęgniarki niewiele się zmieniły. Ta była względnie sympatyczna, miała dobrze mi znany sposób bycia sierżanta od ćwiczeń musztry, uroczy biały czepek upięty na krótko ostrzyżonych włosach koloru orchidei oraz równie biały fartuch. Miał dziwny krój i odsłaniał lub zasłaniał miejsca nieco inne niż w roku 1970 – lecz kobiece stroje, nawet robocze, nieustannie się zmieniają. Ta kobieta w każdym roku mogłaby być pielęgniarką, wskazywało na to jej jedyne w swoim rodzaju zachowanie.

– Natychmiast z powrotem do łóżka!

– Gdzie jest moje ubranie?

– Z powrotem do łóżka. Ale już!

Spróbowałem przemówić jej do rozsądku.

– Siostro, jestem wolnym i pełnoletnim obywatelem, a nie kryminalistą. Nie muszę wracać do łóżka i nie zamierzam. A teraz czy pokaże mi siostra, gdzie jest moje ubranie, czy mam go sam poszukać?

Spojrzała na mnie, po czym nagle się odwróciła i wyszła; drzwi rozsunęły się przed nią.

Przede mną jednak nie. Wciąż usiłowałem odkryć zasadę ich działania, przekonany, że co jeden inżynier wymyśli, to drugi rozpracuje, gdy otworzyły się ponownie i wszedł jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry – powiedział. – Jestem doktor Albrecht.

Miał na sobie coś, co wyglądało na skrzyżowanie niedzielnego ubrania mieszkańca Harlemu ze strojem na piknik, ale jego raźne ruchy i zmęczone oczy były przekonująco profesjonalne – mogłem mu zaufać.

– Dzień dobry, doktorze. Chciałbym dostać moje ubranie.

Wszedł do pokoju na tyle, by drzwi mogły się zasunąć tuż za nim, po czym sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, pomachał nim w powietrzu, wetknął do ust i pociągnął; papieros się palił. Podsunął mi paczkę.

– Zapali pan?

– Hm, nie, dziękuję.

– Dalej. Nie zaszkodzi panu.

Pokręciłem głową. Zawsze pracowałem z dymiącym obok mnie papierosem; postępy w pracy oceniałem po przepełnionych popielniczkach i liczbie wypalonych plam na desce kreślarskiej. Teraz na widok dymu zrobiło mi się słabo i zacząłem się zastanawiać, czy wieloletni sen nie wyleczył mnie z uzależnienia od nikotyny.

– I tak dziękuję.

– No dobrze, panie Davis, pracuję tutaj sześć lat. Jestem specjalistą od hipnologii, resuscytacji i tym podobnych rzeczy. Przez ten czas pomogłem wyjść z hipotermii i powrócić do normalnego życia ośmiu tysiącom siedemdziesięciu trzem pacjentom – pan jest osiem tysięcy siedemdziesiąty czwarty. Widziałem najdziwniejsze reakcje po obudzeniu – dziwne dla laika, ale nie dla mnie. Niektórzy chcą od razu znowu zasnąć i krzyczą na mnie, gdy im na to nie pozwalam. Niektórzy w istocie ponownie pogrążają się we śnie i musimy przekazać ich innej instytucji. Niektórzy zaczynają płakać, gdy pojmują, że to bilet w jedną stronę i nie mogą wrócić do domu,

a raczej czasów, z których pochodzą. A niektórzy, tak jak pan, żądają ubrań i chcą wybiec na ulicę.

– No i co? Dlaczego nie? Jestem więźniem?

– Nie. Może pan dostać swoje ubranie. Zapewne jest już niemodne, ale to pański problem. Zanim jednak po nie poślę, zechce mi pan powiedzieć, co jest tak pilne, że musi pan natychmiast się tym zająć… po upływie trzydziestu lat? Ponieważ tak długo przebywał pan w podtemperaturze – trzydzieści lat. Czy to naprawdę takie pilne? Może równie dobrze mógłby pan się tym zająć po południu? A nawet jutro?

Już miałem wypalić, że to cholernie pilne, ale powstrzymałem się i zrobiłem smętną minę.

– Może nie jest to aż tak pilne.

– Zatem może wyświadczy mi pan tę przysługę i wróci do łóżka, pozwoli się zbadać, zje śniadanie i ewentualnie porozmawia ze mną, zanim pogna pan przed siebie? Może nawet zdołam panu doradzić, dokąd pójść.

– Eee, w porządku, doktorze. Przepraszam za kłopot.

Wróciłem do łóżka. Było wygodne – nagle poczułem się zmęczony i słaby.

– Żaden kłopot. Powinien pan zobaczyć niektórych naszych pacjentów. Musimy ich ściągać z sufitu. – Wygładził kołdrę wokół moich ramion, po czym nachylił się nad stolikiem wbudowanym w łóżko. – Doktor Albrecht z siedemnastki. Proszę przysłać tu pielęgniarza ze śniadaniem, hm… dieta cztery minus. – Odwrócił się do mnie. – Proszę obrócić się na bok i podciągnąć górę piżamy; chcę zbadać pańskie żebra. Może pan w tym czasie zadawać pytania. Jeśli pan sobie życzy.

Kiedy dźgał moje żebra, usiłowałem zebrać myśli. Przypuszczam, że posługiwał się stetoskopem, choć wyglądało to raczej na miniaturowy

aparat słuchowy. Jednego na pewno nie poprawili: końcówka, którą mi przytykał, była zimna i twarda jak zawsze.

O co zapytać po trzydziestu latach? Czy dotarliśmy już do gwiazd? Kto tym razem pichci „wojnę kładącą kres wszystkim wojnom”? Czy rodzą się dzieci z probówek?

– Doktorze, czy w kinach stoją jeszcze maszynki do popcornu?

– Stały, kiedy byłem tam ostatnio. Nie mam zbyt wiele czasu na takie rzeczy. Nawiasem mówiąc, teraz nie mówi się „kino”, ale „multikino”.

– Ach, tak? Dlaczego?

– Proszę sprawdzić. Sam pan zobaczy. Tylko niech pan nie zapomni przypiąć się do fotela; przy niektórych scenach nieważkują całą salę. Widzi pan, panie Davis, my codziennie spotykamy się z tym samym problemem i dla nas to już rutyna. Mamy słowniki adaptacyjne oraz streszczenia historyczne i kulturalne dla przybywających z każdego okresu. Są niezbędne, gdyż może dojść do ekstremalnej dezorientacji, niezależnie od tego, jak bardzo staramy się złagodzić wstrząs.

– Hm, zapewne.

– Zdecydowanie. Szczególnie po skrajnie długim śnie, jak w pana przypadku. Trzydziestoletnim.

– Czy trzydzieści lat to maksimum?

– Tak i nie. Najdłuższy okres, z jakim mieliśmy do czynienia, to trzydzieści pięć lat, gdyż pierwszy komercyjny klient został zahibernowany w grudniu 1965 roku. Pan jest Śpiochem o najdłuższym stażu ze wszystkich, których ożywiłem. Teraz jednak mamy klientów z umowami nawet na półtora wieku. Pana nie powinni byli usypiać aż na trzydzieści lat; zbyt mało jeszcze wtedy wiedzieli. Bardzo ryzykowali. Miał pan szczęście.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Proszę się obrócić. – Kontynuując badanie, dodał: – Przy obecnym stanie wiedzy mógłbym zaryzykować nawet tysiącletni skok, gdyby był jakiś sposób jego sfinansowania… Najpierw dla sprawdzenia przetrzymałbym pacjenta przez cały rok w takiej temperaturze, w jakiej był pan, a potem w ciągu milisekundy gwałtownie obniżyłbym ją do minus dwustu. Przeżyłby to. Tak sądzę. Sprawdźmy pańskie odruchy.

To gwałtowne obniżenie temperatury nie brzmiało zbyt zachęcająco. Doktor Albrecht kontynuował:

– Proszę usiąść i założyć nogę na nogę. Nie będzie pan miał problemów językowych. Oczywiście ja w rozmowie z panem staram się używać słownictwa z roku 1970 – jestem dość dumny z tego, że potrafię porozumieć się z pacjentem z każdego okresu; przeszedłem hipnokurs. Po tygodniu będzie pan doskonale posługiwał się współczesnymi idiomami; tak naprawdę to tylko kwestia wzbogacenia słownictwa.

Mogłem mu powiedzieć, że co najmniej czterokrotnie użył słów, które w 1970 roku nie były używane lub miały inne znaczenie, ale doszedłem do wniosku, że byłoby to nieuprzejme.

– To na razie wszystko – rzekł. – Nawiasem mówiąc, pani Schultz próbowała się z panem skontaktować.

– Słucham?

– Nie zna jej pan? Twierdziła, że jest pana starą znajomą.

– Schultz – powtórzyłem. – Zapewne znałem w swoim czasie różne „panie Schultz”, ale jedyna, która przychodzi mi teraz na myśl, to moja nauczycielka z czwartej klasy. A ona niewątpliwie już nie żyje.

– Może także wybrała Sen. Cóż, może pan odebrać wiadomość od niej, kiedy pan zechce. Podpiszę zgodę na wypisanie pana. Jednak postąpiłby pan rozsądnie, gdyby został tu jeszcze kilka dni i przeszedł reorientację.

Zajrzę do pana później. A zatem „wynocha”, jak mówiono w waszych czasach. Właśnie nadchodzi pielęgniarz z pańskim śniadaniem.

Doszedłem do wniosku, że jest lepszym lekarzem niż lingwistą. Jednak natychmiast przestałem o tym myśleć, gdy zobaczyłem pielęgniarza. Wjechał do pokoju i ostrożnie ominął doktora Albrechta, który zmierzał prosto do drzwi, nie zwracając na niego uwagi i nie starając się uniknąć zderzenia.

Podjechał do mnie, wysunął wbudowany stolik, przysunął do mnie, rozłożył i postawił na nim moje śniadanie.

– Czy mam nalać kawę?

– Tak, proszę.

Właściwie nie chciałem, żeby nalał kawę do filiżanki, bo wolałbym wypić gorącą dopiero po jedzeniu. Pragnąłem jednak zobaczyć, jak ją nalewa.

Byłem podekscytowany i oszołomiony – gdyż tym pielęgniarzem był Fenomenalny Frank!

Nie ten prowizoryczny, chałupniczy, toporny pierwszy model, który ukradli mi Miles i Belle, oczywiście, że nie. Przypominał pierwszego Franka w takim samym stopniu, jak samochód z turbodoładowaniem przypomina pierwsze pojazdy na parę. Jednak każdy pozna swoje dzieło. To ja stworzyłem pierwowzór, który uległ nieuchronnej ewolucji… Praprawnuk Franka, udoskonalony, wygładzony, sprawniejszy – ale z tej samej linii.

– Czy to wszystko?

– Poczekaj chwilę.

Najwyraźniej nie powinienem był tego powiedzieć, ponieważ automat sięgnął do wnętrza, wyciągnął sztywną plastikową tabliczkę i wręczył mi

ją. Tabliczka była umocowana na cienkim stalowym łańcuszku. Spojrzałem na nią i odkryłem wydrukowany tekst:

POLECENIA GŁOSOWE – Gorliwiec, model XVIIa

WAŻNE!!! Ten automat usługowy NIE ROZUMIE ludzkiej mowy. Niczego nie rozumie, bo jest zwykłą maszyną. Jednak dla państwa wygody został zaprojektowany tak, by reagował na szereg głosowych poleceń. Będzie ignorował wszystko inne wypowiedziane w jego obecności lub (w wypadku niekompletnego lub wewnętrznie sprzecznego polecenia) pokaże niniejszą instrukcję. Prosimy o dokładne jej przeczytanie.

Dziękujemy
Zakład Projektowania Automatów Aladyn
twórcy GORLIWCA, WIELOWILLA, DOKŁADNEGO DANA, BUDOWNICZEGO BILLA, ZIELONEGO PALUCHA i NIANI
projektanci i konsultanci systemów automatyki
Do waszych usług!

To motto widniało na znaku firmowym przedstawiającym Aladyna pocierającego lampę, z której wyłaniał się dżin.

Poniżej była długa lista prostych poleceń – STÓJ, IDŹ, TAK, NIE, WOLNIEJ, SZYBCIEJ, CHODŹ TU, WEZWIJ PIELĘGNIARKĘ itp. Następnie krótszy wykaz czynności wykonywanych w szpitalu, takich jak masaż pleców, włącznie z takimi, o których nigdy nie słyszałem. Lista kończyła się uwagą: „Polecenia nr 87 do 242 mogą być wydane tylko przez personel medyczny, więc nie zostały tu wymienione”.

Pierwszemu Fenomenalnemu Frankowi nie można było wydawać poleceń głosowych; trzeba było wciskać klawisze na panelu sterowania. Nie dlatego, że o tym nie pomyślałem, ale ponieważ analizator głosu i modem telefoniczny byłyby cięższe i droższe niż cała reszta Franka seniora. Zdecydowałem, że muszę poznać najnowsze trendy

w miniaturyzacji i minimalizacji, zanim będę gotów zająć się w tych czasach projektowaniem. Chciałem zabrać się do tego jak najszybciej, ponieważ Gorliwiec był najlepszym dowodem na to, że będzie to wspaniała zabawa – mnóstwo nowych możliwości. Inżynieria jest sztuką ludzi praktycznych i polega w większym stopniu na ogólnym poziomie wiedzy niż na pojedynczym konstruktorze. Kolej żelazną można było zbudować, gdy przyszedł na to czas – i ani chwili wcześniej. Spójrzcie na biednego profesora Langleya, który daremnie próbował skonstruować maszynę latającą – i miał po temu wszelkie potrzebne umiejętności – ale zabrał się do tego kilka lat za wcześnie i nie mógł skorzystać z osiągnięć pokrewnych gałęzi nauki, których potrzebował i nie miał. Albo przypomnijcie sobie wielkiego Leonarda da Vinci, który tak bardzo wyprzedzał swoją epokę, że jego najwspanialsze pomysły były ówcześnie nie do zrealizowania.

Czekała mnie niezła zabawa – w tej teraźniejszości.

Oddałem mu instrukcję, a potem wstałem z łóżka i sprawdziłem tabliczkę znamionową. Niemal spodziewałem się, że zobaczę na niej nazwę Służka SA, i zastanawiałem się, czy Aladyn nie jest przypadkiem filią grupy Mannixa. Tabliczka niewiele mi powiedziała poza nazwą modelu, numerem fabrycznym, wytwórnią i tym podobnymi informacjami, ale znajdował się na niej wykaz patentów, około czterdziestu – a pierwszy z nich, co zauważyłem z ogromnym zainteresowaniem, był z roku 1970… i niemal na pewno opierał się na moim prototypie i rysunkach.

Znalazłem na stoliku długopis i notatnik i zapisałem numer tego pierwszego patentu, chociaż moje zainteresowanie nim było zupełnie platoniczne. Nawet jeśli został mi ukradziony (czego byłem pewny), stracił ważność w 1987 roku – chyba że zmieniły się przepisy – i tylko patenty zarejestrowane po 1983 roku były jeszcze ważne. Chciałem jednak wiedzieć to na pewno.

Na automacie zapaliła się lampka.

– Wzywają mnie – oznajmił. – Czy mogę odejść?

– Co? Jasne. Zasuwaj. – Sięgnął po instrukcję, więc pospiesznie dodałem: – Idź!

– Dziękuję. Do widzenia.

Ominął mnie.

– To ja dziękuję.

– Bardzo proszę.

Ktokolwiek podyktował odpowiedzi temu gadżetowi, miał bardzo miły baryton.

Wróciłem do łóżka i zjadłem śniadanie, któremu pozwoliłem ostygnąć – jednak okazało się, że wcale nie wystygło. Zestaw cztery minus może wystarczyłby średniej wielkości ptaszkowi, ale stwierdziłem, że się najadłem, chociaż wcześniej byłem bardzo głodny. Pewnie skurczył mi się żołądek. Dopiero kiedy skończyłem jeść, dotarło do mnie, że to mój pierwszy posiłek od trzydziestu lat. Przypomniałem sobie o tym wtedy, bo dołączyli menu – to, co wziąłem za boczek, nazwano „grillowanymi paskami drożdżowymi po wiejsku”.

Nawet jednak po trzydziestoletnim poście nie myślałem o jedzeniu; wraz ze śniadaniem dostałem gazetę, „Timesa” z Wielkiego Los Angeles, ze środy 13 grudnia 2000 roku.

Gazety niewiele się zmieniły, przynajmniej jeśli chodzi o rozmiary. Ta była wielkości tabloidu, na gładkim papierze, nie szorstkim, z kolorowymi zdjęciami albo czarno-białymi stereofotografiami – nie miałem pojęcia, jak zrobiono te ostatnie. Od dawna istniały stereoobrazy, które można było oglądać bez przeglądarki; jako dziecko fascynowałem się w latach pięćdziesiątych stereoskopowymi reklamami mrożonek. Jednak tworzono je z dość grubej warstwy przezroczystego plastiku i zatopionych w nim

małych pryzmatów; zdjęcia w „Timesie” wydrukowano na zwykłym cienkim papierze. Mimo to miały głębię.

Porzuciłem domysły i przejrzałem resztę gazety. Gorliwiec umieścił ją na pulpicie i przez moment wydawało się, że zdołam przeczytać tylko pierwszą stronę, ponieważ nie wiedziałem, jak rozłożyć cholerstwo. Kartki wyglądały na ściśle sklejone.

Wreszcie przypadkowo dotknąłem dolnego prawego rogu pierwszej; zawinął się i odsunął… widocznie wiązało się to ze zjawiskiem powierzchniowego ładunku elektrostatycznego. Pozostałe strony elegancko się obracały, ilekroć dotykałem tego miejsca.

Przynajmniej połowa gazety wyglądała tak znajomo, że zatęskniłem za dawnymi czasami: „Twój horoskop na dzisiaj”, „Burmistrz otwiera nowy zbiornik wodny”, „Środki bezpieczeństwa ograniczają wolność prasy, twierdzi nowojorski pracodawca”, „Giants wygrywają ponownie”, „Nieoczekiwana fala ciepła zagraża sportom zimowym”, „Pakistan ostrzega Indie” – i tak dalej, i tym podobnie. To świat, z którego pochodziłem.

Niektóre wiadomości dotyczyły nowych spraw, lecz ich tytuły mówiły same za siebie: „LOTY PROMU KSIĘŻYCOWEGO ODŁOŻONE Z POWODU GEMINIDÓW. Całodobowa stacja przebita w dwóch miejscach, nie ma ofiar”; „CZTERECH BIAŁYCH ZLINCZOWANYCH W KAPSZTADZIE. ONZ domaga się interwencji”; „MATKI ZASTĘPCZE CHCĄ WYŻSZYCH WYNAGRODZEŃ. Żądają zakazu działalności «amatorek»”; „PLANTATOR Z MISSISIPI OSKARŻONY O NARUSZENIE USTAWY O WALCE Z ZOMBI. Jego linia obrony: «Ci chłopcy nie są naćpani, tylko po prostu głupi!»”.

Byłem niemal pewny, że wiem, o co chodzi w tym ostatnim artykule… z własnego doświadczenia.

Natomiast inne wiadomości były dla mnie kompletnie niezrozumiałe. „Wągle” opanowują coraz większy obszar i ewakuowano kolejne trzy miasta we Francji, a król kazał cały ten rejon oczyścić. Król? No cóż, we francuskiej polityce wszystko jest możliwe, ale co to za Poudre Sanitaire, którego chcieli użyć przeciwko tym całym „wąglom”, czymkolwiek one były? Czy to coś radioaktywnego? Miałem nadzieję, że wybiorą na akcję bezwietrzny dzień… najlepiej trzydziestego lutego. Sam kiedyś otrzymałem za dużą dawkę promieniowania w wyniku pomyłki cholernie nieostrożnej operatorki z kobiecego korpusu w Sandii. Na szczęście choroba popromienna nie weszła w terminalne stadium wymiotów, ale nikomu nie życzę tego, przez co przeszedłem.

Wydział policji w Laguna Beach w Wielkim Los Angeles został wyposażony w rozzwajacze i komendant ostrzegł wszystkich Teddych, że mają wynieść się z miasta. „Moi ludzie mają rozkaz najpierw narkować, a później podupstrzyć. To się musi skończyć!”.

Odnotowałem w myślach, żeby trzymać się z dala od Laguna Beach, dopóki nie odkryję, co się tam dzieje. Nie byłem pewien, czy chcę być znarkowany czy podupstrzony, nawet później.

To tylko przykłady. Było także trochę artykułów, które zaczynały się obiecująco, a następnie przechodziły w niezrozumiały dla mnie bełkot.

Zacząłem przeglądać kronikę towarzyską i dostrzegłem nowe rubryki. Zamieszczono znajome informacje o urodzinach, zgonach, ślubach i rozwodach, ale teraz również o „przyjęciach” i „przywołaniach”, podawane przez azyle. Odszukałem „Zb. Azyl w Sawtelle” i znalazłem swoje nazwisko. Dało mi to przyjemne poczucie „przynależności”.

Najciekawsze jednak w tej gazecie były ogłoszenia. Jedno z matrymonialnych zapadło mi w pamięć: „Atrakcyjna i wciąż młoda wdowa lubiąca podróże pozna dojrzałego mężczyznę o podobnych

upodobaniach. Cel: dwuletnia umowa małżeńska”. Jednak jeszcze bardziej urzekły mnie reklamy.

Służka, jej siostry, kuzynki i ciotki były dosłownie wszędzie – i wciąż wykorzystywały nasz dawny i zaprojektowany przeze mnie znak firmowy, krzepkiej dziewczyny z miotłą w ręku. Przez chwilę żałowałem, że tak szybko pozbyłem się akcji Służki SA; wyglądało na to, że są teraz więcej warte niż cała reszta mojego dobytku. Nie, nieprawda; gdybym wtedy miał je przy sobie, ta para złodziei na pewno zabrałaby mi je i sfałszowałaby akt własności. A tak dostała je Ricky – i jeśli dzięki nim stała się bogata, to cóż, nie mogłyby przypaść sympatyczniejszej osobie.

W myślach zanotowałem, żeby najpierw odszukać Ricky. Była wszystkim, co pozostało ze znanego mi świata, i zajmowała poczesne miejsce w mojej pamięci. Droga mała Ricky! Gdyby wtedy była o dziesięć lat starsza, nigdy nie spojrzałbym na Belle… i nie poparzyłbym sobie palców.

Czekajcie, ile ona ma teraz lat? Czterdzieści… nie, czterdzieści jeden. Trudno było wyobrazić sobie Ricky jako czterdziestojednoletnią kobietę. Chociaż to jeszcze nie starość w tych czasach – a nawet w tamtych. Z odległości czterdziestu stóp często nie odróżnisz czterdziestojednoletniej kobiety od osiemnastolatki.

Jeśli jest bogata, to pozwolę, aby postawiła mi drinka, i wypijemy za spokój duszy drogiego i nieodżałowanego Pete’a.

A jeżeli coś poszło źle i Ricky jest biedna mimo akcji, które jej zapisałem, wtedy… do licha, ożenię się z nią! Tak, zrobię to! Nieważne, że jest dziesięć lat ode mnie starsza; ze względu na moją niepoprawną lekkomyślność powinienem związać się ze starszą ode mnie kobietą, która by się mną opiekowała i ostrzegała przed popełnianiem błędów – a Ricky była taką osobą. Zajmowała się Milesem i jego domem jak sprawna,

poważna kobietka, gdy nie miała jeszcze dziesięciu lat; po czterdziestce zapewne była dokładnie taka sama, tylko wydoroślała.

Po raz pierwszy od przebudzenia byłem naprawdę spokojny, a nie zagubiony w obcym mi świecie. Ricky rozwiąże wszystkie problemy.

Nagle usłyszałem głos z głębi podświadomości: „Posłuchaj, głupku, nie możesz się ożenić z Ricky, ponieważ tak słodka dziewczyna na pewno już od co najmniej dwudziestu lat jest mężatką. Ma czworo dzieci… być może syna wyższego od ciebie… oraz niewątpliwie męża, którego nie ucieszy widok zacnego starego wujka Danny'ego".

Posłuchałem tego głosu i oklapłem. Potem stwierdziłem niepewnie: „Dobra, dobra – znów uciekł mi pociąg. Jednak zamierzam ją odszukać. Najwyżej mnie zastrzelą. Ricky była jedyną osobą, która rozumiała Pete'a".

Odwróciłem następną stronę, nagle sposępniały na myśl o utracie Ricky i Pete'a. Po chwili zasnąłem nad gazetą i spałem, aż Gorliwiec lub jego bliźniak przyniósł mi lunch.

Śniłem, że Ricky trzyma mnie na kolanach i mówi:

– Wszystko w porządku, Danny. Znalazłam Pete'a i teraz oboje będziemy z tobą. Zgadza się, Pete?

– Miauuu!

Uzupełnienie słownictwa było łatwe; znacznie więcej czasu spędziłem przy streszczeniach historii. Przez trzydzieści lat może się wydarzyć całkiem sporo, ale po co nabijać sobie tym głowę, skoro i tak wszyscy lepiej się w tym orientują ode mnie? Nie zaskoczyło mnie, że Wielka Republika Azjatycka wyparła nas z rynków południowoamerykańskich; zapowiadało się na to od podpisania traktatu tajwańskiego. Nie zdziwiłem się również tym, że Indie są jeszcze bardziej zbałkanizowane niż dawniej. Na chwilę

oszołomiła mnie informacja, że Anglia jest prowincją Kanady. Kto tu był psem, a kto ogonem? Zaledwie rzuciłem okiem na wieści o panice giełdowej w 1987 roku; złoto jest doskonałym materiałem konstrukcyjnym do niektórych zastosowań, więc nie mogłem uznać za tragedię tego, że obecnie ma niską cenę i nie ma już jego parytetu, niezależnie od tego, ilu ludzi straciło przy tej reformie cały swój majątek.

Przerwałem lekturę i zacząłem rozmyślać o tym, co można zrobić z tanim złotem, z jego wysoką gęstością, dobrym przewodnictwem i fantastyczną ciągliwością… Przestałem, gdy uświadomiłem sobie, że będę musiał poczytać literaturę fachową. Do licha, w samej atomistyce złoto miałoby nieocenioną wartość. Ze względu na swoją podatność na obróbkę, o wiele lepszą niż inne metale, można by je wykorzystać do miniaturyzacji… Znów zaprzestałem tych rozważań, nagle niemal pewny, że Gorliwiec ma „głowę” napchaną złotem. Po prostu będę musiał wziąć się do roboty i sprawdzić, co też nowego chłopcy robili na „zapleczu” podczas mojej trzydziestoletniej nieobecności.

Azyl w Sawtelle nie miał odpowiedniego zasobu informacji z dziedziny inżynierii, tak więc powiedziałem doktorowi Albrechtowi, że chcę się wypisać. Wzruszył ramionami, orzekł, że jestem idiotą, ale wyraził zgodę. Zostałem jednak jeszcze jedną noc; odkryłem, że jestem zmęczony leżeniem i obserwowaniem słów przemykających w czytniku.

Zaraz po śniadaniu następnego ranka przynieśli mi współczesne ubranie… i musieli pomóc mi je włożyć. Strój sam w sobie nie był aż taki dziwny (chociaż nigdy wcześniej nie nosiłem jasnoczerwonych dzwonów), ale nie mogłem sobie poradzić z zapięciami. Zapewne mój dziadek miałby podobne problemy z zamkami błyskawicznymi, gdyby stopniowo się z nimi nie oswoił. Oczywiście to przez te samoczynne szwy z przylepeksu – już myślałem, że będę musiał zatrudnić jakiegoś chłopaka do pomocy przy

korzystaniu z łazienki, ale dotarło do mnie, że szwy przylegają do siebie na zasadzie polaryzacji osiowej.

Potem o mało co nie opadły mi spodnie, gdy spróbowałem poluzować pasek. Nikt jednak się ze mnie nie śmiał.

– Co zamierza pan zrobić? – spytał doktor Albrecht.

– Ja? Najpierw zdobędę plan miasta. Potem znajdę jakiś dach nad głową. A później przez bardzo długi czas nie będę robił nic, tylko czytał fachową literaturę… być może przez rok. Wie pan, doktorze, jestem teraz zacofanym inżynierem. Nie zamierzam kimś takim pozostać.

– Hmm. No cóż, życzę szczęścia. Gdybym mógł panu pomóc, proszę wpaść.

Wyciągnąłem rękę.

– Dziękuję, doktorze. Był pan super. Hm, może nie powinienem o tym wspominać, dopóki nie porozmawiam z moim towarzystwem ubezpieczeniowym i nie ustalę, jak wygląda moja sytuacja finansowa, ale nie zamierzam poprzestać na słownym podziękowaniu. Rozumie mnie pan?

Pokręcił głową.

– Doceniam ten zamiar. Jednak moje honorarium wyznacza umowa z azylem.

– Ale…

– Nie. Nie mogę niczego przyjąć, więc nie mówmy już o tym. – Uścisnął mi dłoń. – Do widzenia. Tym korytarzem dojdzie pan do biura. – Zawahał się. – Jeśli z początku poczuje się pan trochę zmęczony, w ramach zawartej umowy ma pan jeszcze prawo do czterech dni rekonwalescencji i reorientacji bez dodatkowych opłat. Może pan je wykorzystać. Proszę przyjść, kiedy pan zechce.

Uśmiechnąłem się.

– Dziękuję, doktorze. Może pan jednak być pewny, że nie wrócę – chyba że kiedyś wpadnę na pogawędkę.

Zszedłem do biura i powiedziałem recepcjoniście, kim jestem. Wręczył mi kopertę, w której znalazłem następną wiadomość od pani Schultz wraz z numerem telefonu. Wciąż nie zadzwoniłem do niej, gdyż nie wiedziałem, kim jest, a azyl nie pozwalał odwiedzać świeżo ożywionych klientów i przeprowadzać z nimi rozmów telefonicznych, jeżeli sobie tego nie życzyli. Zerknąłem tylko na wiadomość i włożyłem ją do kieszeni, myśląc, że być może niepotrzebnie aż tak udoskonaliłem Fenomenalnego Franka. Kiedyś w recepcji siedziały piękne dziewczyny, a nie maszyny.

– Proszę tam wejść – powiedział recepcjonista. – Nasz skarbnik chciałby się z panem zobaczyć.

No cóż, ja też chciałem się z nim spotkać, więc tam wszedłem. Zastanawiałem się, ile zarobiłem pieniędzy, i gratulowałem sobie, że zaryzykowałem i zainwestowałem w akcje obiecujących przedsiębiorstw. Niewątpliwie moje akcje straciły na wartości podczas paniki 1987 roku, ale po trzynastu latach powinny ją odzyskać – prawdę mówiąc, wiedziałem już, że co najmniej dwie z tych firm, w których akcje zainwestowałem, teraz prosperują. Przejrzałem przecież dział finansowy „Timesa”. Nawet miałem przy sobie tę gazetę, przewidując, że może będę musiał sprawdzić, jak stoją akcje kilku innych.

Skarbnik był człowiekiem, chociaż wyglądał jak typowy księgowy. Uścisnął mi dłoń.

– Jak się pan ma, panie Davis, nazywam się Doughty. Proszę usiąść.

– Siemanko, panie Doughty – powiedziałem. – Zapewne nie zabiorę panu dużo czasu. Proszę mi tylko powiedzieć: czy moje towarzystwo ubezpieczeniowe załatwia sprawy za pośrednictwem pańskiego biura? Czy powinienem udać się do ich siedziby?

– Bardzo proszę usiąść. Muszę wyjaśnić panu kilka spraw.

Usiadłem. Jego asystent (znów stary dobry Frank) przyniósł mu moją teczkę.

– Oto pana pierwotne umowy – powiedział skarbnik. – Chce pan na nie spojrzeć?

Bardzo chciałem na nie spojrzeć, gdyż od przebudzenia trzymałem kciuki za to, żeby Belle nie wymyśliła jakiegoś sposobu na odebranie mi wystawionego czeku. Potwierdzony czek znacznie trudniej sfałszować niż osobisty, ale Belle była sprytną panienką.

Z ulgą zobaczyłem, że nie zmieniła moich poleceń, choć oczywiście brakowało dodatkowej umowy na Pete’a i dokumentów dotyczących akcji Służki. Zapewne po prostu je spaliła, żeby uniknąć pytań. Dokładnie przyjrzałem się tym licznym miejscom, w których zamieniła „Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia” na „Kalifornijskie Towarzystwo Najlepszego Ubezpieczenia”.

Ta dziewczyna była prawdziwą artystką, bez wątpienia. Zapewne dobry kryminolog uzbrojony w mikroskop stereoskopowy, odpowiednie odczynniki i tak dalej zdołałby udowodnić, że wszystkie te dokumenty zostały przerobione, ale ja nie mogłem tego dowieść. Zastanowiło mnie, jak poradziła sobie z notą na odwrocie czeku, ponieważ są one drukowane na papierze niepozwalającym na usuwanie napisów. No cóż, zapewne nie użyła gumki – co jeden człowiek wymyśli, to drugi sprytnie obejdzie… a Belle była bardzo sprytna.

Pan Doughty chrząknął. Spojrzałem na niego.

– Czy możemy tu załatwić kwestię mojego konta?

– Tak.

– Zatem ujmę to w dwóch słowach. Ile mam?

– Hm… panie Davis, zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym zwrócić pańską uwagę na jeden dodatkowy dokument… oraz jedną sprawę. Oto umowa między tym azylem i Kalifornijskim Towarzystwem Najlepszego Ubezpieczenia dotycząca hipotermii, opieki i ożywienia. Zauważy pan, że cała opłata została uiszczona z góry. To było korzystne dla nas i dla pana, ponieważ gwarantuje pański bezpieczny pobyt u nas w stanie hipotermii. Te środki – wszystkie takie środki – są przekazywane na fundusz powierniczy zarządzany przez wydział Sądu Najwyższego, który zajmuje się dokumentami i co kwartał przekazuje nam opłaty.

– Świetnie. To dobry układ.

– Zgadza się. Chroni bezbronnych. Teraz musi pan zrozumieć, że ten azyl jest osobną firmą niepodlegającą towarzystwu ubezpieczeniowemu; zawarta z nami umowa dotycząca opieki jest czymś zupełnie innym niż umowa o zarządzaniu pańskim majątkiem.

– Panie Doughty, do czego pan zmierza?

– Czy ma pan jakieś inne dobra oprócz tych powierzonych Towarzystwu?

Zastanowiłem się nad tym. Kiedyś miałem samochód… ale Bóg wie, co się z nim stało. Zlikwidowałem konto w Mojave na początku ciągu alkoholowego, a w tym pracowitym dniu, który zakończyłem w domu Milesa – i w tarapatach – miałem w portfelu trzydzieści czy czterdzieści dolarów. Książki, ubrania, suwak logarytmiczny – nigdy nie byłem typem chomika – i inne rupiecie przepadły.

– Nie mam nawet biletu na autobus, panie Doughty.

– W takim razie – i bardzo mi przykro, że muszę to panu powiedzieć – nie ma pan żadnych dóbr.

Zastygłem i oniemiałem, wytrzeszczając oczy.

– Co pan ma na myśli? Przecież część akcji, w które zainwestowałem, jest dużo warta. Wiem, że tak jest. Tak jest tu napisane.

Pokazałem mu poranne wydanie „Timesa”.

Potrząsnął głową.

– Przykro mi, panie Davis, ale nie ma pan żadnych akcji. Najlepsze Ubezpieczenie zbankrutowało.

Cieszyłem się, że nalegał, żebym usiadł; zrobiło mi się słabo.

– Jak to się stało? Panika?

– Nie, nie. To przez bankructwo grupy Mannixa… ale pan oczywiście o tym nie wie. To nastąpiło po panice giełdowej i można powiedzieć, że właśnie od niej się zaczęło. Jednak Najlepsze Ubezpieczenie nie splajtowałoby, gdyby nie było systematycznie łupione, okradane – wulgarnie mówiąc, „dojone”. Gdyby to był zwykły sekwestr sądowy, dałoby się coś odzyskać. Było jednak inaczej. Kiedy to odkryto, z firmy została tylko fasada… a ludzie, którzy do tego doprowadzili, zniknęli. Hm, jeśli to jakieś pocieszenie, to przy obecnych regulacjach prawnych coś takiego nie mogłoby się zdarzyć.

Nie, to nie było żadne pocieszenie, a ponadto zupełnie w to nie wierzyłem. Tato twierdził, że im bardziej skomplikowane jest prawo, tym więcej daje okazji łobuzom.

Zwykł jednak także mówić, że mądry człowiek powinien być w każdej chwili gotów pozbyć się balastu. Zastanawiałem się, ile jeszcze razy będę musiał to zrobić, żeby zasłużyć na miano „mądrego”.

– Eee, panie Doughty, tak z ciekawości, jak poradziło sobie Wzajemne Ubezpieczenie?

– Towarzystwo Wzajemnego Ubezpieczenia? Dobra firma. Och, też dostali w kość podczas paniki, tak jak wszyscy inni. Jednak wyszli z dołka. Ma pan u nich jakąś polisę?

– Nie.

Niczego mu nie wyjaśniałem, no bo po co? Nie mogłem pójść do Wzajemnego Ubezpieczenia, ponieważ nie zrealizowałem z nimi umowy. Nie mogłem także podać do sądu Najlepszego Ubezpieczenia; pozywanie zbankrutowanej firmy jest bezsensowne.

Mógłbym pozwać Milesa i Belle, gdyby nadal żyli – tylko po co robić z siebie głupka? Nie miałem dowodu, żadnego.

Poza tym nie chciałem podawać do sądu Belle. Wolałbym wytatuować jej na całym ciele „kompletne zero”… najlepiej tępą igłą. A potem podnieść kwestię tego, co zrobiła z Pete’em. Jeszcze nie wymyśliłem należytej kary za to.

Nagle przypomniałem sobie, że to właśnie grupie Mannixa Belle i Miles mieli zamiar sprzedać spółkę Służka po tym, jak mnie ograbili.

– Panie Doughty, jest pan pewien, że Mannix nie ma żadnych dóbr? Czyż nie posiadali Służki?

– Służki? Ma pan na myśli tę firmę produkującą autosprzęt gospodarstwa domowego?

– Tak, oczywiście.

– To raczej mało prawdopodobne. Właściwie niemożliwe, bo imperium Mannixa jako takie już nie istnieje. Oczywiście nie mogę twierdzić, że Służka i Mannix nigdy nie były ze sobą związane. Nie wierzę jednak, by były to bliskie związki, inaczej słyszałbym o tym.

Porzuciłem ten temat. Jeśli Miles i Belle poszli na dno z Mannixem, to bardzo dobrze. Chociaż z drugiej strony, jeśli Mannix przejął i wydoił Służkę SA, to Ricky odczuła to równie boleśnie. Nie chciałem, by Ricky ucierpiała, niezależnie od wszystkich innych spraw.

Wstałem.

– Cóż, dziękuję za tak delikatne przekazanie tych wiadomości, panie Doughty. Pójdę już.

– Proszę jeszcze nie odchodzić, panie Davis… my, pracownicy tej instytucji, bierzemy na siebie odpowiedzialność za pacjentów, wykraczającą poza oficjalne ramy umowy. Rozumie pan, że już wcześniej zetknęliśmy się z tego rodzaju przypadkami. Nasza rada nadzorcza oddała do mojej dyspozycji niewielki fundusz do udzielania pomocy w takich trudnych sytuacjach. To…

– Nie potrzebuję jałmużny, panie Doughty. Mimo to dziękuję.

– To nie jałmużna, panie Davis, ale pożyczka. Uzasadniona pożyczka, można powiedzieć. Proszę wierzyć, nasze straty przy takiej pomocy są minimalne… i naprawdę nie chcemy, żeby wyszedł pan stąd z pustymi kieszeniami.

Zastanowiłem się nad tą propozycją. Nie miałem nawet na fryzjera. Jednak pożyczać pieniądze to jak próbować pływać z cegłami w rękach… a niewielką pożyczkę trudniej spłacić niż milionową.

– Panie Doughty – powiedziałem powoli – doktor Albrecht mówił, że mam prawo spędzić tu jeszcze cztery dni.

– Zapewne tak; musiałbym zobaczyć pańską kartę. Nie wyrzucamy stąd pacjentów nawet po upływie terminu umowy, jeśli nie są gotowi rozpocząć nowego życia.

– Wcale tak nie sugerowałem. A ile wynosi opłata za ten szpitalny pokój, w którym leżałem, wraz z wyżywieniem?

– Słucham? Ale my nie wynajmujemy naszych pokoi w ten sposób. Nie jesteśmy szpitalem; po prostu prowadzimy izbę pohibernacyjną dla naszych klientów.

– No tak, z pewnością. Musicie jednak to wiedzieć, choćby ze względu na kalkulację kosztów.

– Hm… tak i nie. Nie dokonujemy takich obliczeń. Kalkulacja wyszczególnia amortyzację, koszty ogólne, operacje, rezerwy, koszty

działania kuchni, opłaty dla personelu i tak dalej. Zapewne mógłbym oszacować koszty.

– Nie, proszę się nie trudzić. Jaka byłaby należność za analogiczne łóżko i wyżywienie w szpitalu?

– To trochę nie moja działka. Pomimo to… cóż, zapewne około stu dolarów dziennie.

– Mam tu jeszcze cztery dni. Czy pożyczycie mi czterysta dolarów?

Nie odpowiedział, tylko podał kod cyfrowy swojemu mechanicznemu asystentowi. Potem przekazał mi osiem pięćdziesięciodolarowych banknotów.

– Dzięki – powiedziałem z wdzięcznością, chowając je do kieszeni. – Będę się cholernie starał, żeby mógł pan jak najszybciej skreślić mnie z listy dłużników. Na sześć procent? Czy więcej?

Potrząsnął głową.

– To nie jest pożyczka. Ponieważ tak pan sobie zażyczył, tę kwotę wypłaciłem jako równowartość pozostałych panu dni pobytu.

– Ach, tak? Widzi pan, panie Doughty, nie chciałem niczego wymuszać. Oczywiście zamierzam…

– Proszę. Na moje polecenie asystent unieważnił koszty pobytu, kiedy przekazał panu pieniądze. Chce pan przysporzyć naszym audytorom bólu głowy z powodu jakichś marnych czterystu dolarów? Byłem przygotowany pożyczyć panu znacznie więcej.

– No… to już nie mogę się spierać. Panie Doughty, czy to dużo pieniędzy? Jakie teraz są ceny?

– Hmm… to skomplikowana sprawa.

– Tak mniej więcej? Ile kosztuje jedzenie?

– Żywność jest dość tania. Za dziesięć dolarów zje pan bardzo dobry obiad… jeśli ograniczy pan wybór do restauracji o umiarkowanych cenach.

Podziękowałem mu i wyszedłem, naprawdę głęboko mu wdzięczny. Pan Doughty przypominał mi kwestora, którego poznałem w wojsku. Są tylko dwa rodzaje płatników: jeden zawsze udowodni, że zgodnie z przepisami nic ci się nie należy, a drugi tak długo będzie w nich grzebał, aż znajdzie paragraf pozwalający dać ci to, czego potrzebujesz, nawet jeśli ci to nie przysługuje.

Doughty należał do tych drugich.

Azyl stał przy Wilshire Ways. Przed budynkiem były ławeczki, krzewy i kwiaty. Usiadłem na ławce, żeby spokojnie przemyśleć sytuację i zdecydować, co dalej. Przed panem Doughtym trzymałem fason, lecz tak naprawdę byłem mocno wstrząśnięty, chociaż miałem w kieszeni dżinsów dość pieniędzy, aby wyżywić się przez tydzień.

Jednak słonko grzało, uliczny ruch przyjemnie szumiał, a ja byłem młody (przynajmniej biologicznie) i miałem dwie ręce oraz rozum. Wesoło pogwizdując, otworzyłem „Timesa” na stronie z ofertami pracy.

Powstrzymałem chęć przejrzenia tych dla wysoko wykwalifikowanych inżynierów i od razu przeszedłem do niewykwalifikowanych.

Była piekielnie krótka. Ledwo ją zauważyłem.

Rozdział VI

Dostałem pracę następnego dnia, w piątek piętnastego grudnia. Ponadto miałem drobne kłopoty z prawem i nieustanne problemy z tym, jak postępować, co mówić i co czuć w różnych sytuacjach. Odkryłem, że „reorientacja” przez lekturę jest jak czytanie o seksie – to zupełnie nie to samo.

Zapewne miałbym mniej kłopotów, gdybym zamieszkał w Omsku, Santiago lub Dżakarcie. Kiedy udajesz się do obcego miasta w obcym kraju, wiesz, że panują tam inne obyczaje, natomiast w Wielkim Los Angeles podświadomie oczekiwałem, że wszystko będzie jak dawniej, chociaż widziałem, że nie jest. Oczywiście trzydzieści lat to betka; każdy człowiek spotyka się w życiu z mniejszymi lub większymi zmianami. Jednak oswajanie się z nimi w jednej skondensowanej dawce to coś zupełnie innego.

Weźmy na przykład jedno słowo, którego zupełnie niewinnie użyłem. Dama się obraziła i tylko to, że byłem Śpiochem – co pospiesznie wyjaśniłem – powstrzymało jej małżonka od obicia mi gęby. Nie przytoczę tu tego słowa… och, jednak przytoczę, dlaczego nie? Użyję go, żeby coś wyjaśnić. Nie musicie mi wierzyć, że posługiwano się nim, kiedy byłem dzieckiem; odszukajcie je w jakimś starym słowniku. Wtedy nikt nie pisał go kredą na murach.

Było to słowo „laska”.

Także innych nadal nie używam prawidłowo, jeśli się nie namyślę. Niekoniecznie nieprzyzwoitych, po prostu takich, które zmieniły swoje

znaczenie. Na przykład „nosicielką” niegdyś nazywano kobietę przenoszącą jakąś chorobę; nie miało to nic wspólnego z rodzeniem dzieci.

Jakoś jednak sobie radziłem. Znalazłem pracę przy zgniataniu fabrycznie nowych limuzyn, które jako złom wysyłano do Pittsburgha. Cadillaki, chryslery, eisenhowery, lincolny – wszystkie modele wspaniałych, wielkich, nowych i potężnych maszyn z silnikami turbo, bez jednego kilometra na liczniku. Wprowadź między szczęki prasy, a potem chrup! trzask! prask! – i masz złom do hutniczych pieców.

Na początku z przykrością na to patrzyłem, ponieważ jeździłem do pracy środkami komunikacji miejskiej i nie miałem nawet grawitowca. Wyraziłem swoje zdanie i o mało nie straciłem pracy… ale kierownik zmiany przypomniał sobie, że jestem Śpiochem i niczego nie rozumiem.

– To kwestia opłacalności, synu. To samochody z nadwyżki, którą przyjął rząd, żeby sztucznie podtrzymać poziom cen. Teraz mają już dwa lata i nikt ich nie kupi… tak więc rząd je złomuje i sprzedaje z powrotem stalowniom. Piec hutniczy potrzebuje nie tylko rudy, ale także złomu. Powinieneś to wiedzieć, nawet jeśli jesteś Śpiochem. W rzeczy samej ponieważ wysokoprocentowa ruda żelaza jest tak rzadka, rośnie zapotrzebowanie na złom. Przemysł hutniczy czeka na te samochody.

– Dlaczego więc w ogóle je wyprodukowano, jeśli nie można ich sprzedać? To wygląda na marnotrawstwo.

– Po prostu tylko wygląda. Chciałbyś pozbawić ludzi pracy? Chcesz obniżyć poziom życia?

– No to czemu nie wyślemy ich za granicę? Wydaje mi się, że dostalibyśmy za nie więcej na rynkach zagranicznych niż jako złom w kraju.

– Co takiego? I zniszczyć rynek zbytu? Ponadto sprzedając samochody po cenach dumpingowych, narazilibyśmy się wszystkim – Japonii, Francji,

Niemcom, Wielkiej Azji, wszystkim. Co chcesz osiągnąć? Wywołać wojnę? – Westchnął i dodał ojcowskim tonem: – Idź do biblioteki publicznej i wypożycz kilka książek. Nie masz prawa wyrażać swojego zdania na ten temat, dopóki czegoś więcej się o nim nie dowiesz.

Tak więc zamknąłem dziób. Nie powiedziałem mu, że cały wolny czas spędzam w bibliotece publicznej lub Bibliotece Uniwersytetu Kalifornijskiego; wolałem się nie przyznawać, że jestem, a raczej byłem, inżynierem – gdybym teraz twierdził, że jestem inżynierem, byłbym jak facet, który przychodzi do Du Pont i mówi: „Waszmościowie, jam alchemik. Nie potrzebujecież sztuki, którą się param?”.

Jeszcze tylko raz poruszyłem kwestię tych samochodów z nadwyżki, gdy odkryłem, że niewiele z nich nadaje się do użytku. Były niechlujnie wykonane i często brakowało w nich podstawowych rzeczy, takich jak tablice rozdzielcze czy klimatyzacja. Kiedy pewnego dnia zauważyłem, że w jednym miażdżonym przez szczęki prasy wozie nie ma nawet silnika, napomknąłem o tym kierownikowi zmiany.

Ten spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Na Jupitera, synu, z pewnością nie oczekujesz, że będą się wysilać, produkując samochody tylko do podtrzymania poziomu cen? Te pojazdy już na linii montażowej zaliczono do nadwyżki.

Po tym wszystkim zamknąłem się na dobre. Lepiej będę się trzymał projektowania; ekonomia była dla mnie zbyt ezoteryczną nauką.

Miałem jednak mnóstwo czasu na rozmyślania. Praca, którą dostałem, nie była dla mnie prawdziwą pracą; wszystkie czynności wykonywały rozmaite modele Fenomenalnego Franka. To on i jego bracia obsługiwali prasę, umieszczali w niej samochody, wywozili złom, liczyli i ważyli ładunki; ja tylko stałem na niewielkiej platformie przy wyłączniku (nie wolno mi było siedzieć) i miałem zatrzymać cały ten cykl produkcyjny,

gdyby coś poszło nie tak. Nigdy się to nie zdarzyło, ale szybko odkryłem, że podczas każdej zmiany powinienem zauważyć co najmniej jedną niewielką awarię urządzeń, wyłączyć je i wezwać ekipę remontową.

No cóż, ta praca przynosiła mi dwadzieścia jeden dolarów dziennie, co wystarczało na życie. Najpierw rzeczy najważniejsze.

Po odliczeniu ubezpieczenia społecznego, składki na związek zawodowy, podatku dochodowego, podatku obronnego, ubezpieczenia zdrowotnego i raty na fundusz zapomogowy zostawało mi prawie szesnaście dolarów. Pan Doughty mylił się, kiedy powiedział mi, że obiad kosztuje dziesięć dolarów; można było dostać coś przyzwoitego i za trzy, jeżeli nie upierałeś się przy prawdziwym mięsie, ja jednak nie wierzę, by ktoś naprawdę potrafił poznać, czy hamburger rozpoczął życie w zbiorniku hydroponicznym czy na pastwisku. Pamiętając te wszystkie opowieści o tanim mięsie, po którego spożyciu dostaje się choroby popromiennej, z przyjemnością jadłem syntetyczne.

Miałem pewien problem z mieszkaniem. Ponieważ Los Angeles nie zostało objęte błyskawicznym planem wyburzania slumsów podczas wojny sześciotygodniowej, żyła tam zdumiewająca liczba uchodźców (zapewne byłem jednym z nich, choć wówczas nie uważałem się za takiego), którzy najwyraźniej nigdy nie wrócili do domów, nawet jeśli jeszcze je mieli. Miasto – jeśli Wielkie Los Angeles można nazwać miastem; to raczej forma bytowania – dusiło się już wtedy, gdy kładłem się spać; teraz było napchane jak damska torebka. Może błędem była likwidacja smogu; w latach sześćdziesiątych corocznie spora część mieszkańców wyjeżdżała z powodu chronicznego zapalenia zatok.

Teraz najwidoczniej nikt już się nigdy nie wyprowadzał.

Kiedy wyszedłem z azylu, miałem zamiar załatwić kilka spraw, przede wszystkim 1) znaleźć pracę, 2) znaleźć mieszkanie, 3) poznać postępy

inżynierii, 4) odnaleźć Ricky, 5) wrócić do projektowania – samodzielnego, jeśli to możliwe, 6) odszukać Belle i Milesa i wyrównać z nimi rachunki – nie idąc za to do więzienia, i 7) zrobić inne rzeczy, takie jak odszukanie pierwotnego patentu na Gorliwca i sprawdzenie, czy słusznie podejrzewam, że jest to tak naprawdę Fenomenalny Frank (z czystej ciekawości, bo i tak nie miało to teraz znaczenia), zapoznanie się z historią Służki SA itd.

Uporządkowałem to wszystko według hierarchii ważności, gdyż już przed laty odkryłem (kiedy o mało nie wyleciałem z pierwszego roku studiów), że jeśli tego nie zrobisz, to możesz zostać z niczym. Niektóre z tych spraw były oczywiście powiązane ze sobą; liczyłem się z tym, że poszukiwania Ricky oraz Belle i spółki mogę prowadzić jednocześnie z uzupełnianiem wiedzy. Najpierw jednak rzeczy najważniejsze, a potem te mniej ważne; zdobycie pracy było nawet ważniejsze od znalezienia wyrka, bo dolary są kluczem do wszystkiego… kiedy się ich nie ma.

Po tym, jak odszedłem z kwitkiem z sześciu lokali w mieście, wybrałem się do dzielnicy San Bernardino, ale spóźniłem się dziesięć minut. Powinienem natychmiast pójść do pierwszej z brzegu noclegowni; zamiast tego chciałem być cwany i wróciłem do centrum, zamierzając znaleźć pokój, wstać wcześnie rano i zająć pierwsze miejsce w kolejce po pracę z ogłoszenia w porannej prasie.

Skąd miałem wiedzieć, że to nierealne? Zapisałem się na liście oczekujących w czterech pensjonatach i trafiłem do parku. Pozostałem tam niemal do północy, nieustannie chodząc dla rozgrzewki – zimy w Wielkim Los Angeles są niemal tropikalne tylko wtedy, gdy podkreślicie słowo „niemal”. Później ewakuowałem się na dworzec Wilshire Ways… i około drugiej w nocy zgarnęli mnie stamtąd wraz z resztą włóczęgów.

Więzienia się poprawiły. W tym było ciepło i chyba nawet karaluchom kazano wycierać nogi.

Zostałem oskarżony o koszarowanie. Sędzią był młodzieniec, który nawet nie podniósł głowy znad gazety, tylko spytał:

– Wszyscy niekarani?

– Tak, wysoki sądzie.

– Miesiąc aresztu albo pracy społecznej. Następni.

Zaczęli nas wyprowadzać, ale nie ruszyłem się z miejsca.

– Jedną chwileczkę, panie sędzio.

– Tak? Jakiś problem? Jesteś winny czy nie?

– Hm, naprawdę nie wiem, ponieważ nie mam pojęcia, co takiego zrobiłem. Widzi pan…

– Czy chcesz obrońcę z urzędu? Jeśli tak, możesz zostać zamknięty, dopóki któryś nie rozpatrzy twojej sprawy. O ile wiem, mają teraz około sześciu dni opóźnienia… ale masz do tego prawo.

– Nadal nie wiem. Może powinienem wybrać prace społeczne, chociaż nie mam pojęcia, na czym polegają. Tak naprawdę to chcę rady wysokiego sądu, jeżeli wysoki sąd zechce mi jej udzielić.

– Wyprowadzić pozostałych – polecił sędzia woźnemu. Odwrócił się do mnie. – Nawijaj. Jednak założę się, że nie spodoba ci się moja rada. Pracuję tu już tak długo, że słyszałem chyba wszystkie bajeczki i większość z nich budzi moje głębokie obrzydzenie.

– Rozumiem, panie sędzio. Moja historia to nie bajeczka; łatwo ją sprawdzić. Widzi pan, dopiero wczoraj obudziłem się z Długiego Snu i…

Jednak rzeczywiście skrzywił się z obrzydzeniem.

– Jeden z tych, tak? Często się zastanawiam, dlaczego nasi dziadkowie myśleli, że mogą zwalić nam na kark swoją hołotę. Ostatnia rzecz, jakiej to miasto potrzebuje, to więcej ludzi… szczególnie takich, którzy nie radzili sobie w swoich czasach. Najchętniej wykopałbym cię z powrotem do roku, z którego przybyłeś, z wiadomością dla wszystkich, że ta przyszłość z ich

marzeń nie jest, powtarzam: nie jest, krainą wybrukowaną złotem. – Westchnął. – Jednak jestem pewny, że to nic by nie dało. No dobrze, czego ode mnie oczekujesz? Jeszcze jednej szansy? Żebym za tydzień znów cię tu zobaczył?

– Panie sędzio, nie sądzę, żeby tak się stało. Mam dość pieniędzy na życie, dopóki nie znajdę pracy i…

– Ach, tak? Jeśli masz pieniądze, to po co koszarowałeś?

– Panie sędzio, ja nawet nie wiem, co oznacza to słowo.

Tym razem pozwolił mi wyjaśnić sytuację. Kiedy doszedłem do tego, jak oszukało mnie Towarzystwo Najlepszego Ubezpieczenia, jego nastawienie uległo gruntownej zmianie.

– Te świnie! Oszukali moją matkę, która płaciła im składki przez dwadzieścia lat. Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu? – Wyciągnął wizytówkę, coś na niej napisał i powiedział: – Zgłoś się z tym do działu zatrudnienia Urzędu Nadwyżek i Surowców Wtórnych. Gdybyś tam nie dostał pracy, wróć tutaj i zobacz się ze mną po południu. Tylko koniec z koszarowaniem! To nie tylko powoduje wzrost przestępczości, ale grozi paskudnym spotkaniem z werbownikiem zombi.

W ten sposób dostałem pracę przy niszczeniu nowiutkich samochodów. Pomimo to wciąż sądzę, że nie popełniłem logicznego błędu, postanawiając najpierw szukać pracy. Człowiek z dużym kontem w banku wszędzie czuje się jak w domu – gliniarze zostawiają go w spokoju.

Znalazłem także porządny pokój o przystępnej cenie w zachodniej części Los Angeles, która jeszcze nie została przebudowana według założeń Nowego Planu. Sądzę, że poprzednio to pomieszczenie było szafą na ubrania.

Nie chciałbym, żeby ktoś pomyślał, że nie podobał mi się rok 2000 w porównaniu z rokiem 1970. Podobał mi się, tak samo jak rok 2001, który nadszedł kilka tygodni po moim przebudzeniu. Pomimo nawracających ataków nieznośnej tęsknoty za dawnymi czasami uważałem, że Wielkie Los Angeles u progu trzeciego tysiąclecia jest prawdopodobnie najwspanialszym miastem, jakie kiedykolwiek widziałem. Było ruchliwe, czyste i ekscytujące, chociaż zbyt tłoczne… ale i ten problem rozwiązywano z rozmachem. Przebudowane według Nowego Planu dzielnice cieszyły inżyniera. Gdyby rada miejska mogła na dziesięć lat powstrzymać napływ imigrantów, bez trudu zdołałaby uporać się z problemem mieszkaniowym. Ponieważ jednak nie miała takiej władzy, musiała jakoś sobie radzić z masą uchodźców napływającą z gór Sierra. I radziła sobie w niewiarygodnie spektakularny sposób, i nawet niepowodzenia miały gigantyczne rozmiary.

Warto było przespać trzydzieści lat tylko po to, by zbudzić się w czasach, gdy pokonano przeziębienie i nikomu nie cieknie z nosa. Uznałem to za większe osiągnięcie niż założenie stacji badawczej na Wenus.

Największe wrażenie zrobiły na mnie dwie rzeczy, jedna wielka, jedna mała. Ta wielka to oczywiście zerowa grawitacja. Już w 1970 roku wiedziałem o badaniach prowadzonych przez Instytut Babsona, ale nie oczekiwałem znaczących wyników i rzeczywiście nic z tego nie wyszło; podstawową teorię pola, na której opiera się zerowa grawitacja, opracowano na uniwersytecie w Edynburgu. Jednak mnie uczono w szkole, że grawitacja jest czymś niezmiennym, bo nierozerwalnie wiąże się z samą formą przestrzeni.

Tak więc naturalnie zmieniono formę przestrzeni. Tylko chwilowo i miejscowo, pewnie, ale tyle właśnie potrzeba, żeby przemieścić ciężki obiekt. Ten nadal musi pozostać w polu oddziaływania Matki Ziemi, tak

więc zerowej grawitacji nie można wykorzystać w statkach kosmicznych – a przynajmniej tak jest w roku 2001. Przestałem zakładać się o cokolwiek, co przyniesie przyszłość. Dowiedziałem się, że do podniesienia masy nadal trzeba użyć energii, aby pokonać siłę grawitacji, i na odwrót, przy opuszczaniu czegoś musimy mieć akumulator, w którym zmagazynujemy energię potencjalną, bo inaczej coś zrobi bum! Kiedy jednak chcemy coś przetransportować horyzontalnie, powiedzmy z San Francisco do Wielkiego Los Angeles, wystarczy raz to podnieść na odpowiednią wysokość, a następnie przemieścić bez użycia siły, jak sunie łyżwiarz po lodowej tafli.

Cudownie!

Próbowałem zrozumieć teorię zerowej grawitacji, lecz matematyka zaczyna się tam, gdzie kończy się rachunek tensorowy; to nie dla mnie. Jednak konstruktor rzadko zna się na fizyce matematycznej i wcale nie musi się znać; po prostu musi się w niej na tyle orientować, by wiedzieć, jak ją wykorzystać w praktyce – znać robocze parametry. Tego mogłem się nauczyć.

Tą „małą rzeczą”, o której wspomniałem, były zmiany w damskiej modzie wywołane wprowadzeniem przylepeksu. Nagość na plażach nie zaskoczyła mnie; można się było tego spodziewać już w roku 1970. Jednak na widok niesamowitych rzeczy, jakie panie potrafiły zrobić z przylepeksem, opadła mi szczęka.

Mój dziadek urodził się w 1890 roku; przypuszczam, że na niektóre obrazki z 1970 roku zareagowałby tak samo.

Jednak podobał mi się ten dynamiczny nowy świat i byłbym w nim szczęśliwy, gdybym przez większość czasu nie czuł się tak strasznie samotny. Nie należałem do niego. Bywały chwile (zwykle w środku nocy), gdy chętnie oddałbym to wszystko za jednego pokrytego bliznami kocura

lub za popołudniową wizytę w zoo z małą Ricky… albo za przyjaźń, która łączyła mnie z Milesem, kiedy mieliśmy tylko harówkę i nadzieje.

Nie minęło wiele tygodni roku 2001, a ja nie zrealizowałem nawet połowy moich zamierzeń, gdy zaczęło mnie korcić, by rzucić tę niewymagającą pracę i znów pochylić się nad deską kreślarską. Przy obecnym stanie wiedzy mogłem stworzyć mnóstwo, mnóstwo urządzeń, które w 1970 roku były niewykonalne; chciałem się tym zająć i zaprojektować kilka tuzinów takich cudów.

Na przykład spodziewałem się, że będą już w użyciu automatyczne sekretarki – to znaczy maszyny, które bez pomocy człowieka potrafiłyby przygotować i sporządzić umowę handlową o nienagannej ortografii, interpunkcji i formacie. Tymczasem ich nie było. Och, ktoś wymyślił automatyczną maszynistkę, ale można jej było dyktować tylko w fonetycznym języku, takim jak esperanto, natomiast zupełnie się nie sprawdzała, gdy miała napisać coś w rodzaju: „Chrząszcz brzmi w trzcinie w Szczebrzeszynie”.

Ludzie nie zrezygnują z nielogiczności języka, aby ułatwić pracę wynalazcy. Mahomet musi przyjść do góry.

Jeśli uczennica szkoły średniej może opanować zawiłości pisowni i zazwyczaj prawidłowo wystukać dane słowo na maszynie, to dlaczego nie miałby nauczyć się tego automat?

Zazwyczaj na to pytanie odpowiadano: „To niemożliwe”. Potrzebna jest do tego ludzka umiejętność oceny sytuacji i rozumowania.

Jednak każdy wynalazek jest właśnie tym, co wcześniej było „niemożliwe” – i dlatego rządy zatwierdzały patenty.

Dzięki modułom pamięci i miniaturyzacji – miałem rację, przewidując wzrost znaczenia złota w elektronice – z łatwością można upakować w sześcianie o wymiarach stopy sto tysięcy kodów dźwiękowych… innymi

słowy, przydzielić kod każdemu słowu ze słownika Webstera. Jednak nie było takiej potrzeby: zupełnie wystarczy dziesięć tysięcy. Bo czy ktoś wymaga od stenografa znajomości takich słów, jak „korbacz” czy „pirofyllit”? Jeśli już trzeba posłużyć się takimi słowami, można je po prostu przeliterować. Dobra, programujemy maszynę tak, by mogła zapisywać to, co się przeliteruje, jeśli to niezbędne. Przydzielamy kody dźwiękowe znakom przestankowym… różnym formatom… wyszukiwaniu adresów w archiwum… liczbie kopii… dodawaniu adnotacji… i zostawiamy co najmniej tysiąc wolnych miejsc na specjalistyczne słownictwo używane w biznesie i danej branży – tak żeby właściciel-klient mógł sam wprowadzić te słowa, wprowadzić takie słowo jak „poliakrylonitryl” do pamięci poprzez naciśnięcie klawisza i nie robić już tego ponownie.

Wszystko to było proste. Wystarczy tylko połączyć kilka gadżetów dostępnych na rynku, a potem usunąć wady, aby stworzyć prototyp.

Największym problemem były homonimy. Maszynistka Millie nawet nie zwolni tempa przy pisaniu zdania z chrząszczem w Szczebrzeszynie, ponieważ każde z tych słów brzmi inaczej. Jednak może mieć kłopoty z rozróżnianiem takich słów jak „morze” i „może” albo „ląd” i „lont”.

Czy w bibliotece publicznej w Los Angeles jest słownik homonimów? Był… i zacząłem liczyć niezbędne pary tych słów, usiłując ustalić, ile ich można rozróżnić w oparciu o ich statystyczną częstotliwość występowania w tekście, a ile wymaga szczególnego zakodowania.

Zacząłem się denerwować i niecierpliwić. Traciłem trzydzieści godzin tygodniowo na kompletnie bezowocną pracę, a ponadto, przesiadując w bibliotece, nie miałem czasu na prawdziwe projektowanie. Potrzebowałem kreślarni, warsztatu do usuwania usterek, katalogów, branżowych czasopism, kalkulatorów i całej reszty.

Postanowiłem znaleźć pracę bardziej związaną z moim zawodem. Nie byłem tak naiwny, by sądzić, że znów mogę być konstruktorem; zbyt wiele rzeczy musiałem jeszcze sobie przyswoić – raz po raz wymyślałem sposób zrobienia czegoś dzięki czemuś, czego właśnie się nauczyłem, po czym odkrywałem w bibliotece, że dziesięć lub piętnaście lat wcześniej ktoś rozwiązał ten problem skuteczniej, lepiej i taniej.

Powinienem zaczepić się w jakimś biurze projektowym i bezpośrednio zapoznać się z tymi wszystkimi nowościami. Miałem nadzieję, że znajdę zatrudnienie jako kreślarz.

Wiedziałem, że już są w użyciu półautomatyczne urządzenia kreślarskie; wprawdzie żadnego z nich nie miałem w rękach, ale często widywałem je na zdjęciach. Czułem, że gdybym miał okazję, nauczyłbym się je obsługiwać w dwadzieścia minut, ponieważ przypominały urządzenie, o którym myślałem dawniej: maszynę w takim samym stopniu spokrewnioną z tradycyjną deską kreślarską, co stenografia z kaligrafią. Wszystko już obmyśliłem, to, jak jednym naciśnięciem klawisza otrzymywać na desce linię prostą lub krzywą.

Jednakże tym razem byłem pewny, że nie ukradziono mi pomysłu, bo to urządzenie istniało tylko w mojej głowie. Ktoś wpadł na ten sam pomysł i zrealizował go tak, jak zrobiłbym to ja. Takie sprawy toczą się swoim torem.

Projektanci z Aladyna, tej samej firmy, która wypuściła Gorliwca, stworzyli jedno z najlepszych urządzeń kreślarskich, Dokładnego Dana. Wykorzystałem oszczędności, kupiłem lepsze ubranie i używaną dyplomatkę, którą wypchałem gazetami, po czym zjawiłem się w dziale sprzedaży firmy, udając, że chcę „kupić” jeden egzemplarz. Poprosiłem o zademonstrowanie jego możliwości.

Kiedy znalazłem się w pobliżu Dokładnego Dana, doznałem bardzo niepokojącego wrażenia. Psychologowie nazywają je *déjà vu* – czyli „to już było”. Ta przeklęta maszyna była dokładnie taka, jaką sam bym skonstruował, gdybym miał na to czas… a nie został wrobiony w Długi Sen.

Nie pytajcie mnie, dlaczego tak mi się wydawało. Każdy człowiek pozna swój styl pracy. Krytyk sztuki rozpozna obraz Rubensa czy Rembrandta po śladach pędzla, sposobie operowania światłem, kompozycji, doborze pigmentu i wielu innych rzeczach. Inżynieria nie jest nauką, lecz sztuką, tak więc zawsze istnieje cały szereg możliwych rozwiązań danego problemu. Poprzez ich wybór konstruktor „podpisuje” swoje dzieło równie czytelnie jak malarz.

Dokładny Dan tak bardzo przypominał moje rozwiązania, że było to dość niepokojące. Zacząłem się zastanawiać, czy w gadaninie o telepatii nie ma odrobiny prawdy.

Odszukałem numer patentowy. I bynajmniej nie byłem zaskoczony, kiedy zobaczyłem, że patent zarejestrowano w 1970 roku. Postanowiłem ustalić, kto wynalazł tę maszynę. Mógł to być jeden z moich nauczycieli, od których przejąłem styl projektowania. Albo jakiś inżynier, z którym kiedyś współpracowałem.

Ten wynalazca być może jeszcze żył. Jeśli tak, to pewnego dnia go odnajdę… aby poznać człowieka, który myśli podobnie jak ja.

Jakoś wziąłem się w garść i pozwoliłem sprzedawcy na demonstrację. Właściwie nie musiał się fatygować; Dokładny Dan i ja byliśmy stworzeni dla siebie. Po dziesięciu minutach posługiwałem się nim lepiej niż sprzedawca. W końcu niechętnie zaprzestałem kreślenia pięknych szkiców, otrzymałem cennik, informacje o upustach, serwisie i tak dalej, po czym wyszedłem, obiecując, że się skontaktuję, gdy sprzedawca już szykował się

do uzyskania mojego podpisu nad kropkowaną linią. To było nieczyste zagranie, ale zająłem mu tylko godzinę.

Ze sklepu udałem się do głównej fabryki Służki i złożyłem podanie o przyjęcie do pracy.

Wiedziałem, że Belle i Miles już nie pracują w firmie. Cały wolny czas, jaki miałem pomiędzy pracą a gwałtowną potrzebą uzupełnienia wiedzy, poświęcałem na poszukiwania Belle, Milesa i przede wszystkim Ricky. Żadne z nich nie figurowało w książce telefonicznej Wielkiego Los Angeles ani całych Stanów Zjednoczonych, gdyż zapłaciłem za poszukiwanie tej informacji w krajowym biurze w Cleveland. Zapłaciłem poczwórną opłatę, ponieważ kazałem szukać Belle pod nazwiskami „Gentry” i „Darkin”.

Niczego również nie znaleziono w spisie wyborców okręgu Los Angeles.

Służka SA, w liście jakiegoś siedemnastego wiceprezesa zajmującego się odpowiadaniem na głupie pytania, ostrożnie przyznała, że przed trzydziestoma laty zatrudniała osoby o takich nazwiskach, ale teraz nie jest w stanie mi pomóc.

Szukanie tropu po trzydziestu latach nie jest zajęciem dla amatora, który ma mało czasu i jeszcze mniej pieniędzy. Nie miałem ich odcisków palców, bo inaczej spróbowałbym w FBI. Nie znałem numerów ich polis ubezpieczeniowych. Mój kraj nigdy nie był państwem policyjnym, tak więc nie było żadnego urzędu przechowującego akta każdego obywatela, a nawet gdyby istniał, i tak nie miałbym dostępu do takich danych.

Być może jakaś agencja detektywistyczna za kupę forsy zdołałaby się przekopać przez spisy, archiwa prasowe i Bóg wie, co jeszcze, żeby ich wytropić. Nie miałem jednak kupy forsy, a także umiejętności i czasu, żeby samemu się tym zająć.

W końcu zrezygnowałem z poszukiwań Milesa i Belle, ale obiecałem sobie, że gdy tylko będzie mnie na to stać, wynajmę zawodowców, aby

znaleźli Ricky. Już ustaliłem, że nie jest właścicielką akcji Służki, i napisałem do Bank of America list z pytaniem, czy jest lub kiedykolwiek był zarządcą jej funduszu powierniczego. W odpowiedzi otrzymałem urzędowy formularz z informacją o poufności takich danych, więc w kolejnym liście oznajmiłem, że jestem Śpiochem, a Ricky jest moją jedyną żyjącą krewną. Tym razem dostałem miłą odpowiedź, podpisaną przez jednego z pracowników wydziału funduszy powierniczych, który z ubolewaniem wyjaśnił, że danych dotyczących użytkowników funduszy nie można wyjawić nawet osobie w tak nadzwyczajnej sytuacji jak moja, ale dodał, że w tym wypadku może oświadczyć, iż bank ani żadna z filii nigdy nie zarządzały funduszem powierniczym niejakiej Frederiki Virginii Gentry.

To najwyraźniej potwierdziło jedno. Ci łajdacy zdołali odebrać akcje małej Ricky. Moje oświadczenie o przepisaniu akcji musiałoby przejść przez Bank of America, skoro tam je wysłałem. Jednak nie przeszło. Biedna Ricky! Okradli nas oboje.

Podjąłem jeszcze jedną próbę. W rejestrach kuratorium w Mojave figurowała Frederika Virginia Gentry… ale wspomniana uczennica została wypisana w 1971 roku. Nie było innych informacji.

Trochę mnie pocieszyło to, że ktoś gdzieś tam potwierdził, że Ricky istniała. Mogła jednak przenieść się do którejkolwiek z wielu tysięcy szkół publicznych w Stanach Zjednoczonych. Ile czasu straciłbym, gdybym chciał do wszystkich napisać? I czy byliby w stanie odszukać stare listy uczniów i odpowiedzieć mi, nawet gdyby chcieli?

W ćwierćmiliardowym tłumie jedna mała dziewczynka może przepaść jak kamyczek w oceanie.

Po fiasku moich poszukiwań byłem jednak pewny, że Miles i Belle nie kierują Służką SA, więc mogłem spokojnie szukać tam pracy. Mogłem zwrócić się do którejkolwiek z setek firm produkujących automaty, ale Służka i Aladyn były potentatami, równie ważnymi jak w najlepszych latach przemysłu samochodowego Ford i General Motors. Wybrałem Służkę z czysto sentymentalnych powodów; chciałem zobaczyć, w co przerodził się mój dawny warsztat.

W poniedziałek 5 marca 2001 roku poszedłem do ich działu zatrudnienia, stanąłem w kolejce dla robotników, wypełniłem kilkanaście formularzy niemających nic wspólnego z projektowaniem oraz jeden, który miał… i usłyszałem: „Proszę do nas nie dzwonić, sami do pana zadzwonimy”.

Nie odszedłem i zdołałem zobaczyć się z zastępcą kierownika działu. Niechętnie przejrzał ten jedyny ważny formularz i oznajmił mi, że mój dyplom inżyniera mechanika nie ma znaczenia, ponieważ miałem trzydziestoletnią przerwę w pracy zawodowej.

Przypomniałem, że jestem Śpiochem.

– To jeszcze gorzej. Tak czy inaczej, nie zatrudniamy ludzi w wieku powyżej czterdziestu pięciu lat.

– Ale ja nie mam czterdziestu pięciu lat, tylko trzydzieści.

– Urodził się pan w 1940 roku. Przykro mi.

– To co mam robić? Zastrzelić się?

Wzruszył ramionami.

– Na pańskim miejscu starałbym się o emeryturę.

Pospiesznie wyszedłem, żeby nie poradzić czegoś jemu. Potem okrążyłem budynek, całe trzy czwarte mili, i wszedłem głównym wejściem. Naczelny dyrektor nazywał się Curtis; poprosiłem o spotkanie.

Pokonałem pierwsze dwie przeszkody, utrzymując, że przychodzę w interesach. Służka w recepcji zatrudniała ludzi, a nie swoje automaty.

W końcu dotarłem do biura mieszczącego się kilka pięter wyżej i znajdującego się (jak sądziłem) w pobliżu gabinetu szefa i tam natrafiłem na zaporę w postaci urzędniczki, która domagała się wyjaśnienia celu mojej wizyty.

Rozejrzałem się. Biuro było spore, z mniej więcej czterdziestoosobowym personelem i mnóstwem urządzeń.

– A zatem? – spytała ostro. – Proszę powiedzieć, w jakiej przychodzi pan sprawie, a ja skontaktuję się z sekretarką pana Curtisa.

Odpowiedziałem głośno, żeby mnie wszyscy usłyszeli:

– Chcę wiedzieć, jakie on ma zamiary wobec mojej żony!

Sześćdziesiąt sekund później byłem w jego gabinecie. Spojrzał na mnie.

– No? Co to za bzdury, do diabła?

Potrzeba było pół godziny i trochę starych akt, aby przekonać go, że nie mam żony i że tak naprawdę jestem założycielem firmy. Wtedy zapanowała przyjacielska atmosfera przy drinkach i cygarach, poznałem kierownika działu sprzedaży, głównego inżyniera i szefów pozostałych działów.

– Myśleliśmy, że pan nie żyje – rzekł Curtis. – Tak nawet głosi oficjalna kronika firmy.

– To tylko plotki. Niewątpliwie chodzi o jakiegoś innego D.B. Davisa.

Kierownik działu sprzedaży Jack Galloway spytał nagle:

– Czym pan się w tej chwili zajmuje, panie Davis?

– Niczym szczególnym. Pracuję, hm, w przemyśle samochodowym. Jednak zamierzam się zwolnić. Dlaczego pan pyta?

– Dlaczego? Czy to nie oczywiste? – Odwrócił się do głównego inżyniera, pana McBee. – Słyszałeś, Mac? Wy, konstruktorzy, wszyscy jesteście tacy sami; nie dostrzeżecie możliwości handlowych, nawet jeśli przyjdą do was i pocałują w usta. Dlaczego pytam? Panie Davis. Ponieważ jest pan żywą reklamą, dlatego! Ponieważ jest pan uosobieniem

romantyzmu. Założyciel firmy wstaje z grobu, aby obejrzeć swoje dzieło. Wynalazca pierwszego automatycznego sługi spogląda na owoce swego geniuszu.

– Proszę chwilę poczekać – powiedziałem pospiesznie. – Nie jestem ani modelem reklamowym, ani gwiazdą multikina. Cenię swoją prywatność. Nie po to tutaj przyszedłem; po prostu szukam pracy… jako konstruktor.

Pan McBee uniósł brwi, ale nic nie powiedział.

Spieraliśmy się przez chwilę. Galloway próbował mnie przekonać, że to mój obowiązek wobec firmy, którą założyłem. McBee niewiele mówił, lecz było oczywiste, że nie uważał mnie za pożądany nabytek dla jego działu – a nawet mnie zapytał, co wiem na temat projektowania obwodów scalonych. Musiałem przyznać, że cała moja wiedza o nich pochodzi z nielicznych powszechnie dostępnych publikacji.

Curtis w końcu zaproponował kompromis.

– No cóż, panie Davis, niewątpliwie jest pan w szczególnej sytuacji. Można powiedzieć, że jest pan założycielem nie tylko tej firmy, ale całego przemysłu. Jednocześnie, jak słusznie zaznaczył pan McBee, w czasie pańskiego Długiego Snu ta gałąź szalenie się rozwinęła. Co powiedziałby pan na posadę z tytułem… hm… „emerytowanego pracownika badawczego”?

Zawahałem się.

– Co by to oznaczało?

– Cokolwiek by pan chciał. Jednak szczerze mówię, że oczekiwalibyśmy od pana współpracy z panem Gallowayem. My nie tylko produkujemy te urządzenia, musimy także je sprzedawać.

– Hmm, czy mógłbym coś konstruować?

– To zależy tylko od pana. Miałby pan do dyspozycji sprzęt i mógłby robić, co by pan chciał.

– Sprzęt warsztatowy?

Curtis spojrzał na McBee.

– Oczywiście, oczywiście… naturalnie w rozsądnych granicach – odpowiedział główny inżynier z tak silnym szkockim akcentem, że z trudem go zrozumiałem.

– Zatem umowa stoi – raźnie rzekł Galloway. – Czy mogę przeprosić na moment, B.J.? Panie Davis, proszę nie opuszczać gabinetu – zrobimy panu zdjęcie z pierwszym modelem Służki.

I zrobili. Ucieszył mnie jej widok… tego samego modelu, który z ogromnym trudem złożyłem własnymi rękami. Chciałem sprawdzić, czy nadal działa, ale McBee nie pozwolił mi jej włączyć – zapewne nie wierzył, że potrafię ją obsługiwać.

Przez cały marzec i kwiecień dobrze mi się wiodło w Służce. Miałem wszystkie narzędzia badawcze, których zapragnąłem, czasopisma techniczne, niezbędne katalogi firmowe, podręczną bibliotekę, Dokładnego Dana (Służka nie wytwarzała urządzeń kreślarskich, więc używała najlepszych na rynku, czyli robionych przez Aladyna) i dyskusje z profesjonalistami… muzyka dla moich uszu!

Szczególnie zaprzyjaźniłem się z Chuckiem Freudenbergiem, zastępcą głównego inżyniera do spraw części. Jak dla mnie Chuck był tam jedynym prawdziwym konstruktorem; pozostali byli nadmiernie wykształconymi mechanikami… włącznie z McBee, bo moim zdaniem główny inżynier stanowił najlepszy dowód na to, że trzeba czegoś więcej niż dyplom i szkocki akcent, żeby być inżynierem. Kiedy lepiej się poznałem z Chuckiem, przyznał, że też tak uważa.

– Mac tak naprawdę nie lubi nowości; najchętniej robiłby wszystko tak jak jego dziadek na brzegach Clyde.

– Jak więc trafił na to stanowisko?

Freudenberg nie znał szczegółów, ale wyglądało na to, że dzisiejsza firma niegdyś była tylko wytwórnią, która po prostu kupiła prawo do wykorzystywania patentów (moich patentów) od Służki SA. Potem, przed mniej więcej dwudziestoma laty, doszło do jednej z tych oszczędnościowych fuzji, w której ramach przedsiębiorstwa wymieniły się akcjami i nowa firma przyjęła nazwę tej, którą ja stworzyłem. Chuck uważał, że McBee został zatrudniony właśnie wtedy.

– Myślę, że ma pakiet akcji.

Chuck i ja zwykle spędzaliśmy wieczory przy piwie, rozmawiając o projektowaniu, potrzebach zakładu oraz tym i owym. Zaciekawiłem go jako Śpioch. Przekonałem się, że wiele osób wykazuje niezdrowe zainteresowanie Śpiochami (jakbyśmy byli dziwolągami), tak więc starałem się nie wyjawiać tego bez potrzeby. Jednak Chucka fascynował sam przeskok w czasie i było to zdrowe zainteresowanie światem sprzed jego narodzin, tak jak zapamiętał go człowiek, który żył w nim „dosłownie wczoraj”.

W zamian chętnie oceniał nowe wynalazki, które zawsze roiły się w mojej głowie, i przywoływał mnie do rzeczywistości, gdy (raz po raz) wymyślałem coś, co w 2001 roku było już przestarzałe. Pod jego przyjacielskim nadzorem szybko nadrabiałem zaległości i stawałem się nowoczesnym konstruktorem.

Gdy jednak pewnego kwietniowego wieczoru przedstawiłem mu mój pomysł skonstruowania autosekretarki, Chuck powiedział powoli:

– Dan, czy zajmujesz się tym w ramach swojej pracy?

– Co? Nie, właściwie nie. Dlaczego pytasz?

– Na co podpisałeś umowę?

– Słucham? Nie mam żadnej umowy.

Curtis wpisał mnie na listę płac, a Galloway zrobił mi zdjęcia i polecił jakiemuś pismakowi zadać mi głupie pytania; to wszystko.

– Hmm… kolego, na twoim miejscu nie ruszałbym z tym projektem, dopóki nie będziesz mieć pewności, na czym stoisz. To coś naprawdę nowego. I myślę, że możesz to zrealizować.

– Nie patrzyłem na to w ten sposób.

– Poczekaj trochę. Wiesz, w jakim stanie jest nasza firma. Przynosi zyski i wytwarzamy dobre produkty. Tylko że wszystkie nowości w ostatnich pięciu latach wyprodukowaliśmy na licencji. Ja nie jestem w stanie przekonać Maca do czegokolwiek nowego. Ty jednak możesz go pominąć i załatwić wszystko z szefem. Tak więc nie rób nic… chyba że chcesz oddać swój wynalazek firmie za tę skromną pensję.

Poszedłem za jego radą. Nadal projektowałem, ale paliłem wszystkie szkice, które uznawałem za dobre – miałem je w głowie, więc nie były mi już potrzebne. Nie miałem wyrzutów sumienia; firma nie zatrudniła mnie jako konstruktora; płacili mi za to, że byłem manekinem Gallowaya. Kiedy moja reklamowa wartość spadnie do zera, dadzą mi miesięczne wynagrodzenie, list z podziękowaniami i wypowiedzenie.

Tylko że wtedy znów będę prawdziwym konstruktorem, który może otworzyć swoją pracownię. A gdyby Chuck chciał stamtąd odejść, zabrałbym go ze sobą.

Jack Galloway nie przekazał historii o mnie lokalnym gazetom, ale nastawił się na magazyny o ogólnokrajowym zasięgu; pragnął obszernego artykułu w „Life”, nawiązującego do materiału sprzed trzydziestu lat o pierwszym modelu Służki. Jego zdaniem moja historia nie nadawała się do dzienników, tylko dla czasopism ogólnokrajowego zasięgu. „Life” nie

złapał się na haczyk, ale Galloway zdołał sprzedać temat kilku innym gazetom tej wiosny, łącząc to z szeroką kampanią reklamową.

Zacząłem myśleć o zapuszczeniu brody. Potem uświadomiłem sobie, że przecież nikt mnie nie rozpozna, a nawet gdyby, to nie zrobi to na nikim wrażenia.

Dostałem trochę listów od świrów, w tym od gościa, który obiecywał mi wieczysty ogień piekielny za pokrzyżowanie planu, jaki miał co do mnie Bóg. Olałem go, uważając, że gdyby Bóg miał coś przeciwko temu, co mi się przydarzyło, nie dopuściłby do zimnego snu. Poza tymi listami nikt mnie nie niepokoił.

Jednak w czwartek 3 maja 2001 odebrałem telefon.

– Na linii jest pani Schultz. Połączyć?

Schultz? Do licha, podczas ostatniej rozmowy telefonicznej z Doughtym obiecałem mu, że załatwię tę sprawę. Jednak zwlekałem z tym, ponieważ nie miałem ochoty z nią rozmawiać; byłem niemal pewny, że to jedna z tych wariatek, które uganiają się za Śpiochami i zadają im osobiste pytania.

Jednak Doughty powiedział mi, że dzwoniła już kilka razy, od kiedy opuściłem azyl w grudniu. Ze względu na ochronę danych osobowych nie podali jej mojego adresu, zgadzając się tylko przekazać wiadomość.

No dobrze, spławię ją. Byłem to winien Doughty’emu.

– Proszę połączyć.

– Czy to Danny Davis?

Telefon w moim biurze nie miał ekranu; nie widziała mnie.

– Przy telefonie. Pani Schultz?

– Ach, Danny, kochanie, jak dobrze znów słyszeć twój głos!

Nie odpowiedziałem od razu.

– Czyżbyś mnie nie poznawał? – dodała.

Poznałem jej głos, rzecz jasna. To była Belle Gentry.

Rozdział VII

Umówiłem się z nią na spotkanie.

W pierwszym odruchu chciałem posłać ją w diabły i się rozłączyć. Już dawno zrozumiałem, że próba odwetu byłaby dziecinadą; zemsta nie zwróciłaby mi Pete’a, a dokonując jej, wylądowałbym w więzieniu. Bardzo rzadko myślałem o Belle i Milesie, od kiedy przestałem ich szukać.

Belle jednak niemal na pewno będzie wiedziała, gdzie jest Ricky. Dlatego się z nią umówiłem.

Chciała, żebym zaprosił ją na kolację, ale nie zgodziłem się na to. Niespecjalnie przejmuję się etykietą. Jednak kolacje jada się z przyjaciółmi. Chciałem spotkać się z Belle, ale nie zamierzałem z nią jeść ani pić. Zapytałem o jej adres i powiedziałem, że będę tam o ósmej wieczorem.

Było to mieszkanie w taniej czynszowej kamienicy bez windy, w jednej z dzielnic (dolnej La Brea), które nie zostały jeszcze przebudowane zgodnie z Nowym Planem. Zanim zadzwoniłem do drzwi, byłem pewny, że Belle roztrwoniła wszystko, co mi ukradła, bo inaczej nie mieszkałaby tutaj.

A kiedy ją zobaczyłem, pojąłem, że na zemstę jest o wiele za późno; wyręczyły mnie w tym sama Belle i upływ czasu.

Belle wedle jej własnych słów miała pięćdziesiąt trzy lata, lecz w rzeczywistości zapewne zbliżała się do sześćdziesiątki. Obecnie dzięki geriatrii i endokrynologii kobieta, która zadała sobie trochę trudu, mogła wyglądać jak trzydziestolatka przez co najmniej trzydzieści dodatkowych lat i wiele istotnie tak wyglądało. Niektóre gwiazdy multikina chlubiły się wnukami, jednocześnie grając role amantek.

Belle nie zadała sobie tego trudu.

Była grubą kokietką o skrzekliwym głosie. Niewątpliwie wciąż uważała swoje ciało za największy atut, ponieważ miała na sobie przylepeksowy negliż, który ukazywał zbyt wiele jej zwiędłej, cycatej, przekarmionej i zaniedbanej kobiecości.

Nie była tego świadoma. Jej niegdyś bystry umysł pracował na zwolnionych obrotach; poza egoizmem i nadmierną pewnością siebie nic nie pozostało z dawnej Belle. Rzuciła się na mnie, piszcząc z radości, i niemal mnie ucałowała, zanim zdołałem temu zapobiec.

Uwolniłem się z jej objęć.

– Spokojnie, Belle.

– Ależ, kochanie! Jestem taka szczęśliwa, taka podekscytowana i taka podniecona, że cię widzę!

– Założę się, że tak.

Przyszedłem tam z postanowieniem, że utrzymam nerwy na wodzy… tylko dowiem się tego, co chcę wiedzieć, i wyjdę. Jednak okazało się to trudne.

– Pamiętasz, w jakim stanie widziałaś mnie ostatnio? Zostałem nafaszerowany narkotykami, żebyście mogli ułożyć mnie do zimnego snu.

Wyglądała na zaskoczoną i zranioną.

– Ależ, kochanie, zrobiliśmy to tylko dla twojego dobra! Byłeś taki chory.

Chyba naprawdę w to wierzyła.

– Dobrze, dobrze. Gdzie jest Miles? Teraz jesteś panią Schultz?

Zrobiła wielkie oczy.

– Nie wiedziałeś?

– O czym?

– Biedny Miles… biedny, drogi Miles. Przeżył niecałe dwa lata po tym, jak nas opuściłeś, Danny. – Nagle jej wyraz twarzy się zmienił. – Ten łajdak mnie oszukał!

– To okropne.

Zastanawiałem się, w jaki sposób zmarł Miles. Wypadł z okna czy został z niego wypchnięty? Zjadł zupę z arszenikiem? Postanowiłem przejść do rzeczy, zanim Belle pogrąży się w dygresjach.

– Co się stało z Ricky?

– Ricky?

– Z córką Milesa. Fredericą.

– Och, ten okropny mały bachor! Skąd mam wiedzieć? Przeprowadziła się do babki.

– Dokąd? Jakie nazwisko nosiła ta babka?

– Dokąd? Do Tucson… do Yumy… czy innego takiego zadupia. Mogło to być Indio. Kochanie, nie chcę mówić o tym nieznośnym dzieciaku – porozmawiajmy o nas.

– Za chwilę. Jakie nazwisko nosiła jej babka?

– Och, Danny, strasznie mnie męczysz. Dlaczego, do licha, miałabym pamiętać coś takiego?

– Nazwisko.

– Och, Hanolon… albo Haney… lub Heinz. A może Hinckley. Nie nudź, mój drogi. Napijmy się. Wznieśmy toast za nasze szczęśliwe spotkanie.

Pokręciłem głową.

– Nie piję.

Była to niemal prawda. Od kiedy odkryłem, że alkohol nie jest najlepszym przyjacielem w potrzebie, zwykle ograniczałem się do piwa z Chuckiem Freudenbergiem.

– Wiele tracisz, najdroższy. Zapewne nie będziesz miał nic przeciwko, że ja się napiję.

I już sobie nalewała szklaneczkę czystego dżinu, przyjaciela samotnych kobiet. Zanim jednak wypiła, wzięła plastikową buteleczkę z pigułkami i wysypała dwie kapsułki na dłoń.

– Chcesz jedną?

Rozpoznałem pasiasty wzór – euforion. Miał być nietoksyczny i nieuzależniający, ale zdania co do tego były podzielone. Niektórzy stawiali go w jednym rzędzie z morfiną i barbituranami.

– Dzięki, i tak jestem szczęśliwy.

– Jak miło.

Połknęła obie kapsułki i popiła dżinem. Pojąłem, że jeżeli chcę się czegoś dowiedzieć, muszę przyspieszyć tempo rozmowy, bo wkrótce Belle będzie w stanie tylko chichotać.

Wziąłem ją pod rękę i posadziłem na kanapie, po czym usiadłem naprzeciw niej.

– Belle, opowiedz mi, co u ciebie. Chcę być na bieżąco. Jak tobie i Milesowi udała się współpraca z Mannixem?

– Co? Nie nawiązaliśmy współpracy. – Nagle się rozzłościła. – I to z twojej winy!

– Słucham? Z mojej winy? Przecież nawet mnie tam nie było.

– Oczywiście, że z twojej winy. To monstrum, które zbudowałeś ze starego fotela inwalidzkiego… oto, czego chcieli. A to przepadło.

– Przepadło? Gdzie się podziało?

Popatrzyła na mnie świńskimi, podejrzliwymi oczkami.

– Powinieneś wiedzieć. Sam to zabrałeś.

– Ja? Oszalałaś, Belle? Niczego nie mogłem zabrać. Byłem zamrożony, pogrążony w zimnym śnie. Gdzie to trzymaliście? I kiedy znikło?

To potwierdzało moje podejrzenia, że ktoś musiał zwinąć Fenomenalnego Franka, skoro Belle i Miles go nie wykorzystali. Jednak ze wszystkich miliardów mieszkańców kuli ziemskiej ja na pewno nie mogłem tego zrobić. Nie widziałem Franka od tamtego fatalnego wieczoru, gdy mnie przegłosowali.

– Opowiedz mi o tym, Belle. Gdzie go trzymaliście? I dlaczego uważasz, że to ja go zabrałem?

– To musiałeś być ty. Nikt inny nie wiedział, że to jest ważne. Kupa złomu! Mówiłam Milesowi, żeby nie pakował tego do garażu.

– Przecież nawet jeśli ktoś go ukradł, to wątpię, czy umiałby go uruchomić. Mieliście wszystkie notatki, instrukcje i rysunki.

– Nie, ich też nie mieliśmy. Miles, ten dureń, ukrył wszystko w środku urządzenia tamtej nocy, kiedy musieliśmy je przenieść, żeby było bezpieczne.

Nie spierałem się o słowo „bezpieczne”. Już miałem powiedzieć, że Miles w żaden sposób nie mógł ukryć kilku funtów papierów w Fenomenalnym Franku, ponieważ ten już był nafaszerowany jak gęś, gdy przypomniałem sobie o tymczasowej półce na narzędzia, którą zrobiłem pod spodem wózka. Ktoś mógł w pośpiechu upchnąć tam dokumentację urządzenia.

Nieważne. To przestępstwo czy raczej przestępstwa popełniono trzydzieści lat temu. Chciałem się dowiedzieć, jak stracili Służkę SA.

– Co zrobiliście z firmą, kiedy nie dogadaliście się z Mannixem?

– Prowadziliśmy ją, oczywiście. Potem, kiedy odszedł Jake, Miles powiedział, że musimy ją zamknąć. Miles był słabeuszem… a ja nigdy nie lubiłam tego Jake’a Schmidta. Był zbyt cwany. Wciąż pytał, dlaczego odszedłeś… jakbyśmy mogli cię powstrzymać! Chciałam zaangażować

jakiegoś dobrego fachowca i kontynuować produkcję. Firma miałaby większą wartość. Jednak Miles upierał się przy swoim.

– Co było potem?

– No cóż, potem oczywiście sprzedaliśmy licencję Zakładowi Geary. Przecież o tym wiesz, skoro teraz tam pracujesz.

Rzeczywiście wiedziałem; pełna nazwa firmy brzmiała teraz „Wytwórnia Sprzętu Służka i Zakład Geary SA", chociaż zwykle używano tylko nazwy „Służka". Chyba z tego starego, zwiędłego babsztyla wyciągnąłem już wszystko, co chciałem wiedzieć.

Ciekawiło mnie tylko jeszcze jedno.

– Oboje spieniężyliście swoje akcje, kiedy sprzedaliście licencję Geary'emu?

– Co? Skąd taki głupi pomysł przyszedł ci do głowy? – Skrzywiła się i zaczęła szlochać, niezdarnie szukała chusteczki, ale zaraz zrezygnowała z poszukiwań i pozwoliła płynąć łzom. – Oszukał mnie! Oszukał! Ten przeklęty naciągacz mnie oszukał… wyrolował. – Pociągnęła nosem i dodała w zadumie: – Wszyscy mnie oszukaliście… a ty byłeś najgorszy, Danny. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. – Znów zaczęła łkać.

Stwierdziłem, że euforion nie jest wart swojej ceny. Choć może lubiła płakać.

– W jaki sposób cię oszukał, Belle?

– Co? No wiesz. Zostawił wszystko temu swojemu paskudnemu bachorowi… po tym wszystkim, co mi obiecywał… po tym, jak opiekowałam się nim, gdy tak strasznie cierpiał. A ona nawet nie była jego własną córką. To najlepszy dowód.

Była to pierwsza dobra wiadomość, jaką usłyszałem tego wieczoru. Najwyraźniej w tej sprawie Ricky miała szczęście, nawet jeśli wcześniej odebrali jej zapisane przeze mnie akcje. Wróciłem do głównego tematu.

– Belle, jak nazywała się babcia Ricky? I gdzie mieszkała?

– Gdzie kto mieszkał?

– Babcia Ricky.

– A kim jest Ricky?

– Córką Milesa. Spróbuj sobie przypomnieć, Belle. To ważne.

To ją ruszyło. Wycelowała we mnie palce i zaskrzeczała:

– Znam cię. Byłeś w niej zakochany, ot co. W tej wstrętnej małej cwaniarze… w niej i w tym okropnym kocie!

Na wzmiankę o Pecie poczułem przypływ gniewu. Starałem się jednak nad nim zapanować. Tylko chwyciłem ją za ręce i lekko nią potrząsnąłem.

– Uspokój się, Belle. Chcę wiedzieć tylko jedno. Gdzie one mieszkały? Jak Miles adresował listy, kiedy do nich pisał?

Kopnęła mnie.

– Nie będę nawet z tobą rozmawiać! Od kiedy tu przyszedłeś, zachowujesz się okropnie. – Nagle jakby w mgnieniu oka wytrzeźwiała i powiedziała spokojnie: – Nie wiem. Ta jej babka nazywała się Haneker czy jakoś tak. Widziałam ją tylko raz, w sądzie, kiedy przyjechała na odczytywanie testamentu.

– Kiedy to było?

– Zaraz po śmierci Milesa, oczywiście.

– A kiedy zmarł Miles, Belle?

Znów zmienił się jej nastrój.

– Za dużo chcesz wiedzieć. Jesteś taki sam jak policjanci… wciąż tylko pytania, pytania i pytania! – Potem spojrzała na mnie i powiedziała błagalnie: – Zapomnijmy o wszystkim i po prostu bądźmy sobą. Zostaliśmy tylko my dwoje, mój drogi… i wciąż mamy przed sobą całe życie. Trzydziestodziewięcioletnia kobieta nie jest jeszcze stara… Schultzie mówił, że jestem najmłodszą istotą, jaką kiedykolwiek widział, a ten stary

cap widział ich naprawdę mnóstwo, możesz mi wierzyć! Możemy być jeszcze szczęśliwi, mój drogi. Możemy…

Nie mogłem już dłużej tego znieść, nawet grając rolę detektywa.

– Muszę już iść, Belle.

– Co takiego, mój drogi? Przecież jest jeszcze wcześnie… i mamy przed sobą całą noc. Myślałam…

– Nie obchodzi mnie, co myślałaś. Muszę natychmiast wyjść.

– Och, najdroższy! Jaka szkoda. Kiedy cię znowu zobaczę? Jutro? Jestem strasznie zajęta, ale odwołam wszystkie spotkania i…

– Nigdy więcej się z tobą nie spotkam, Belle.

Wyszedłem.

I już nigdy więcej jej nie zobaczyłem.

Zaraz po powrocie do domu wziąłem długą, gorącą kąpiel. Potem usiadłem i spróbowałem podsumować to, czego się dowiedziałem, choć nie było tego wiele. Belle zdawała się sądzić – jeżeli jej gadanina miała choć odrobinę sensu, co było mocno wątpliwe – że nazwisko babki Ricky zaczynało się na H i że mieszkały razem w którymś z pustynnych miast Arizony, a może Kalifornii. No cóż, może dobry detektyw coś by na tej podstawie ustalił.

A może nie. W każdym razie poszukiwania byłyby pracochłonne i kosztowne, tak więc musiały poczekać, aż będzie mnie na to stać.

Czy oprócz tego dowiedziałem się jeszcze czegoś istotnego?

Miles zmarł (tak powiedziała Belle) około 1972 roku. Jeśli umarł w tym okręgu, powinienem w ciągu kilku godzin ustalić dokładną datę, a wtedy zapewne zdołam znaleźć decyzję sądu w postępowaniu spadkowym… jeśli takowe było, jak twierdziła Belle. W ten sposób mógłbym się dowiedzieć, gdzie Ricky wtedy mieszkała. Jeśli sąd przechowuje takie dane (nie miałem

pojęcia, czy tak jest). I jeśli coś zyskam, zmniejszając okres poszukiwań do dwudziestu ośmiu lat i ustalając, w jakim mieście przedtem przebywała.

Jeśli w ogóle był jakiś sens szukać kobiety, która obecnie liczyła czterdzieści jeden lat oraz niemal na pewno miała męża i dzieci. Ten strzęp człowieka, w którym z trudem poznałem dawną Belle Darkin, wstrząsnął mną; zacząłem uświadamiać sobie skutki upływu trzydziestu lat. Nie bałem się tego, że dorosła Ricky może nie być tak wspaniałą i dobrą osobą… ale czy w ogóle będzie mnie pamiętała? Och, nie sądziłem, by zupełnie mnie zapomniała, ale czy ja, człowiek, którego kiedyś nazywała „wujkiem Dannym” i który miał tego fajnego kota, nie mogłem stać się dla niej po prostu kimś nieistotnym?

Czyżbym na swój sposób żył w wyimaginowanym świecie przeszłości, tak samo jak Belle?

No cóż, nie zaszkodzi ponownie spróbować odnaleźć Ricky. Przynajmniej raz w roku będziemy przysyłać sobie kartki na Boże Narodzenie. Jej mąż nie powinien mieć nic przeciwko temu.

Rozdział VIII

Następnego ranka, w piątek 4 maja, zamiast udać się do pracy, wybrałem się do okręgowego archiwum. Byli w trakcie przeprowadzki i kazali mi wrócić za miesiąc, więc poszedłem do biur „Timesa” i kark mi zdrętwiał od pochylania się nad czytnikiem mikrofilmów. Jednak odkryłem, że jeśli Miles zmarł od dwunastu do trzydziestu sześciu miesięcy po tym, jak wpakowali mnie do zamrażarki, to nie stało się to w okręgu Los Angeles – jeżeli lista nekrologów była zgodna z prawdą.

Oczywiście żaden przepis prawny nie nakazywał mu umrzeć w okręgu Los Angeles. Można umierać, gdzie kto chce. Tego jeszcze nie zdołali uregulować.

Może w Sacramento scalono archiwa stanowe. Postanowiłem kiedyś to sprawdzić, podziękowałem archiwiście „Timesa”, poszedłem zjeść lunch i w końcu wróciłem do Służki SA.

Czekała tam na mnie informacja o dwóch telefonach i wiadomość, wszystkie od Belle. Odczytałem tylko nagłówek „Najdroższy Danie”, po czym podarłem list i kazałem recepcji nie łączyć żadnych rozmów z panią Schultz. Następnie poszedłem do księgowości i zapytałem głównego księgowego, czy można sprawdzić, kto był właścicielem nieaktualnych akcji. Obiecał, że spróbuje, a ja z głowy podyktowałem mu numery oryginalnego pakietu akcji Służki, które kiedyś należały do mnie. Nie wymagało to niezwykle dobrej pamięci: na początek wypuściliśmy dokładnie tysiąc akcji i przejąłem pięćset dziesięć pierwszych, a „prezentem zaręczynowym” dla Belle był początek drugiej pięćsetki.

Wróciłem do mojej kanciapy i zastałem tam czekającego na mnie McBee.

– Gdzie się pan podziewał? – chciał wiedzieć.

– Tu i tam. Dlaczego pan pyta?

– To nie jest zadowalająca odpowiedź. Pan Galloway był tu dziś dwa razy w poszukiwaniu pana. Musiałem mu powiedzieć, że nie wiem, gdzie pan jest.

– Och, jak rany! Jeśli Galloway chce ze mną porozmawiać, to w końcu mnie znajdzie. Gdyby połowę czasu, który poświęca na wymyślanie nowych słodziutkich reklam, przeznaczył na promocję rzeczywistych zalet naszych produktów, wyszłoby to firmie na dobre.

Galloway zaczynał mnie denerwować. Oficjalnie był szefem działu sprzedaży, ale odnosiłem wrażenie, że skupia się na kibicowaniu agencji reklamowej, która propaguje wyroby naszej firmy. Może byłem uprzedzony; interesuje mnie tylko jedno, konstruowanie. Cała reszta jest dla mnie wyłącznie przekładaniem papierków, najzupełniej zbytecznym.

Wiedziałem, do czego jestem potrzebny Gallowayowi, i prawdę mówiąc, wymigiwałem się od tego. Chciał ubrać mnie w strój z 1900 roku i obfotografować. Mówiłem mu, że może zrobić mi tyle zdjęć, ile chce, w stroju z 1970 roku, natomiast rok 1900 o dwanaście lat wyprzedzał narodziny mojego ojca. Odparł, że i tak nikt się nie zorientuje, więc powiedziałem mu to, co wróżka powiedziała gliniarzowi. Zarzucił mi, że mam niewłaściwe nastawienie.

Ludzie zawodowo oszukujący społeczeństwo myślą, że nikt prócz nich nie umie czytać i pisać.

– Ma pan niewłaściwe nastawienie, panie Davis – oznajmił McBee.

– Doprawdy? Przykro mi.

– Jest pan w szczególnej sytuacji. Należy pan do mojego działu, ale w razie potrzeby muszę pana oddelegować do reklamy i sprzedaży, jeśli tamci tego sobie zażyczą. Myślę, że od dziś powinien pan podbijać kartę w zegarze kontrolnym jak każdy pracownik… i zawiadamiać mnie, jeśli będzie pan wychodził gdzieś w godzinach pracy. Proszę się do tego zastosować.

Powoli policzyłem do dziesięciu w układzie dwójkowym.

– Mac, czy pan podbija kartę?

– Co? Oczywiście, że nie. Jestem głównym inżynierem.

– Rzeczywiście. Tak głosi tabliczka na drzwiach gabinetu. Jednak widzi pan, ja byłem głównym inżynierem tego składu złomu, zanim pan zaczął się golić. Naprawdę myśli pan, że będę podbijał kartę pracy?

Poczerwieniał.

– Może i nie. Jednak powiem panu coś: jeśli nie, to nie otrzyma pan pensji.

– Nie pan mnie zatrudnił; nie może pan mnie zwolnić.

– Hmm… zobaczymy. Mogę przynajmniej usunąć pana z mojego działu i przenieść tam, gdzie pana miejsce, do reklamy. Jeśli w ogóle jest tu dla pana miejsce. – Zerknął na moje urządzenie kreślarskie. – Bo tutaj niewątpliwie niczego pan nie tworzy. Nie mogę tolerować dalszego marnowania takiej drogiej maszyny. – Energicznie skinął głową. – Miłego dnia.

Wyszedłem za nim. Do pokoju wjechał Goniec i włożył do mojej przegródki grubą kopertę, ale nie sprawdziłem jej zawartości; zszedłem wściekły na dół, do bufetu. Jak większość ograniczonych biurokratów Mac uważał, że praca twórcza może być wykonywana na zawołanie. Nic dziwnego, że moja stara firma od lat nie wyprodukowała niczego nowego.

Cóż, do diabła z nim. I tak nie zamierzałem tu długo tkwić.

Mniej więcej po godzinie wróciłem i w przegródce na korespondencję znalazłem jeszcze jedną kopertę. Otworzyłem ją, sądząc, że Mac postanowił natychmiast mnie zwolnić.

Jednak była to wiadomość z działu księgowego.

Szanowny Panie Davis,
dot. akcji, o które Pan pytał.
Dywidendy z większej części pakietu wypłacano od pierwszego kwartału 1971 do drugiego kwartału 1980 na konto funduszu powierniczego założonego dla osoby o nazwisku Heinicke. W 1980 nastąpiła reorganizacja naszej firmy i dostępne dokumenty są nieco niejasne, lecz wydaje się, że udziały zostały sprzedane Międzynarodowej Grupie Ubezpieczeniowej, która nadal jest w ich posiadaniu. Mniejsza część pakietu była (jak Pan sugerował) własnością Belle D. Gentry do roku 1972, a następnie została przekazana Firmie Dyskontowej Sierra, która ją rozdzieliła i sprzedała na wolnym rynku. W razie potrzeby można sprawdzić dokładnie późniejsze losy każdej akcji oraz ich ekwiwalentu po reorganizacji, ale potrzeba by na to więcej czasu.

Jeżeli nasz dział może jeszcze w czymś Panu pomóc, proszę się do nas zwrócić.

Y.E. Reuther, gł. księg.

Zadzwoniłem do Reuthera, podziękowałem i powiedziałem, że wszystkie te informacje wystarczą. Teraz wiedziałem, że cesja moich akcji na Ricky nigdy nie doszła do skutku. Ponieważ wykazany w dokumentach transfer moich akcji był skutkiem ewidentnego oszustwa, cała ta sprawa z daleka trąciła Belle; nowy właściciel zapewne był podstawionym przez nią figurantem, a może nawet fikcyjną osobą – zapewne Belle już wtedy planowała oszukać Milesa.

Najwidoczniej po jego śmierci nie miała pieniędzy i sprzedała mniejszy pakiet akcji. Jednak nie obchodziło mnie, co się z nimi działo po tym, jak pozbyła się ich Belle. Zapomniałem poprosić Reuthera, żeby ustalił, co się stało z akcjami Milesa… Nawet gdyby Ricky ich już nie miała, może w ten

sposób wpadłbym na jej ślad. Jednak był już piątek, późno po południu; poproszę go o to w poniedziałek. Teraz chciałem otworzyć tę czekającą na mnie sporą kopertę, gdyż dostrzegłem adres nadawcy.

Na początku marca napisałem do urzędu patentowego list z pytaniem o prawa patentowe Gorliwca i Dokładnego Dana. Moje przeświadczenie, że pierwszy Gorliwiec to po prostu Fenomenalny Frank pod inną nazwą, lekko osłabło w wyniku niepokojących doświadczeń z Dokładnym Danem; brałem pod uwagę możliwość, że ten sam nieznany geniusz, który stworzył Dana niemal dokładnie tak, jak ja go sobie wyobrażałem, skonstruował równolegle odpowiednik Fenomenalnego Franka. Tę teorię potwierdzał fakt, że oba patenty zostały zarejestrowane w tym samym roku, a ich właścicielem była (przynajmniej zanim straciły ważność) ta sama firma, Aladyn.

Musiałem jednak mieć pewność. A jeśli ten wynalazca nadal żył, chciałem się z nim spotkać. Mógł mnie tego i owego nauczyć.

Najpierw napisałem do urzędu patentowego i otrzymałem oficjalną odpowiedź, że wszystkie zapisy dotyczące wygasłych patentów są obecnie przechowywane w Państwowym Archiwum w Carlsbad Caverns. Napisałem do nich i otrzymałem następną oficjalną odpowiedź z wyliczeniem koniecznych opłat. Napisałem trzeci list, wysłałem przekaz pocztowy (nie przyjmujemy czeków) na poczet kserokopii wszystkich dokumentów dotyczących obu patentów – opisów, zastrzeżeń, rysunków i historii.

Ta gruba koperta wyglądała na oczekiwaną przeze mnie odpowiedź.

Na samym wierzchu leżał dokument dotyczący numeru 4 307 909, podstawowy patent na Gorliwca. Przeszedłem do rysunków, ignorując przez chwilę opis i zastrzeżenia. Te ostatnie i tak są istotne tylko w sądzie; zazwyczaj są formułowane w maksymalnie ogólnikowy i niejasny sposób,

żeby rzeczoznawcy mogli zjeść cię żywcem – po to przychodzą na świat prawnicy. Każdy opis, z drugiej strony, musi być oparty na konkretach, ale rysunki potrafię ogarnąć szybciej niż opisy

Musiałem przyznać, że to urządzenie niezbyt przypominało Fenomenalnego Franka. Było od niego lepsze; wykonywało więcej czynności i niektóre połączenia miało znacznie prostsze. Zasada działania była taka sama – ale nie mogło być inaczej, gdyż maszyna kontrolowana przez moduły pamięci Thorsena i będąca pierwowzorem Gorliwca musiała opierać się na tych samych zasadach, które wykorzystałem przy projekcie Fenomenalnego Franka.

Niemal widziałem, jak tworzę takie urządzenie… rodzaj drugiego, poprawionego modelu Franka. Kiedyś rzeczywiście myślałem o czymś podobnym – o Franku, który działałby poza gospodarstwem domowym.

W końcu odczytałem nazwisko wynalazcy na roszczeniach i opisie.

Znałem je doskonale. D.B. Davis.

Spoglądałem na nie, gwiżdżąc nieudolnie *Time on My Hands*. A więc Belle znowu skłamała. Ciekawe, czy w tym steku bzdur, którymi mnie nakarmiła, było choć trochę prawdy. Oczywiście Belle była patologiczną kłamczuchą, ale gdzieś kiedyś czytałem, że patologicznych kłamców zwykle cechuje pewien schemat działania; zaczynają od prawdy i ubarwiają ją, a nie wymyślają wszystko od początku. Najwidoczniej mój model Franka nigdy nie został „ukradziony”, tylko przekazany innemu konstruktorowi, aby go ulepszył, a później opatentowano go w moim imieniu.

Jednak umowy z Mannixem rzeczywiście nie zawarto; tego byłem pewien, ponieważ to wynikało z archiwów firmy. Belle twierdziła, że umowę uniemożliwił fakt, że nie mogli wytwarzać Fenomenalnego Franka.

Czy Miles zagarnął Franka dla siebie i utrzymywał Belle w przekonaniu, że go skradziono? Albo raczej skradziono ponownie?

W takim razie… Przestałem zgadywać, ponieważ było to beznadziejne zajęcie, jeszcze bardziej beznadziejne niż poszukiwanie Ricky. Zapewne musiałbym podjąć pracę w Aladynie, żeby wywęszyć, skąd wzięli patent na prototyp i kto na tym skorzystał. Chociaż nie miałoby to sensu, ponieważ patent już dawno stracił ważność. Miles nie żył, a Belle, jeśli zarobiła na tym choć dziesięć centów, to już dawno je roztrwoniła. Wyjaśniłem jedną ważną dla mnie kwestię, coś, co postanowiłem udowodnić, a mianowicie, że to ja byłem wynalazcą tego urządzenia. Moja zawodowa godność została uratowana, a komu zależy na pieniądzach, jeśli ma zagwarantowane trzy posiłki dziennie? Nie mnie.

Tak więc przeszedłem do numeru 4 307 910, pierwszego Dokładnego Dana.

Rysunki były ucztą dla oczu. Sam nie zaprojektowałbym tego lepiej; ten chłopak naprawdę miał talent. Podziwiałem efektywność połączeń i zręczność, z jaką wykorzystano obwody, aby do minimum zredukować ruchome części. Ruchome części są jak ślepa kiszka; źródło potencjalnych kłopotów, którego najlepiej pozbyć się jak najszybciej.

Nawet wykorzystał elektryczną maszynę do pisania jako klawiaturę, podając numery kilku patentów IBM. To było sprytne, na tym polega inżynieria; nigdy nie wynajduj czegoś, co możesz kupić w sklepie.

Chciałem wiedzieć, kim jest ten łebski gość, więc zajrzałem do papierów.

To był D.B. Davis.

Sporo później zadzwoniłem do doktora Albrechta. Znaleźli go, a ja wyjaśniłem mu, kim jestem, ponieważ mój telefon w pracy nie miał ekranu.

– Poznałem cię po głosie – odparł. – Witaj, synu. Jak sobie radzisz w nowej pracy?

– Całkiem nieźle. Jeszcze nie zaproponowali mi partnerstwa w spółce.

– Daj im trochę czasu. Poza tym wszystko w porządku? Dopasowujesz się do nowej rzeczywistości?

– Och, pewnie! Gdybym wiedział, jaka wspaniała jest przyszłość, ułożyłbym się do Snu wcześniej. Za żadne pieniądze nie wróciłbym do 1970 roku.

– Och, daj spokój! Doskonale pamiętam tamten rok. Byłem wtedy dzieciakiem na farmie w Nebrasce. Chodziłem na polowania i na ryby. Świetnie się bawiłem. Lepiej niż teraz.

– No cóż, jak kto woli. Mnie odpowiada teraźniejszość. Jednak, doktorze, nie zadzwoniłem do ciebie tylko po to, żeby snuć filozoficzne rozważania; mam mały problem.

– Słucham. To całe szczęście, że mały; większość ludzi zazwyczaj ma wielkie.

– Doktorze, czy to możliwe, żeby Długi Sen wywołał amnezję?

Zanim odpowiedział, zastanowił się.

– To możliwe. Chociaż nie spotkałem się jeszcze z takim przypadkiem. Czyli niezwiązanym z innymi przyczynami.

– Co powoduje amnezję?

– Bardzo wiele czynników. Chyba najczęstszym powodem jest podświadome pragnienie samego pacjenta. Zapomina szereg minionych zdarzeń albo zmienia je, ponieważ rzeczywistość jest dla niego nie do zniesienia. Na tym w przybliżeniu polega funkcjonalna amnezja. Poza tym mamy staroświeckie uderzenie w głowę – amnezję w wyniku urazu. Możliwa jest też amnezja przez sugestię… pod wpływem narkotyków albo

hipnozy. A w czym rzecz, kolego? Nie możesz znaleźć książeczki czekowej?

– Nie o to chodzi. O ile wiem, nieźle sobie radzę. Tylko nie mogę wyjaśnić kilku wydarzeń, do których doszło przed Snem… i to mnie niepokoi.

– Hmm… czy możliwa jest któraś z podanych przeze mnie przyczyn?

– Tak – odparłem powoli. – Hmm, każda z nich, może z wyjątkiem uderzenia w głowę… a nawet i to mogło się zdarzyć, kiedy byłem pijany.

– Nie wspomniałem jeszcze – przypomniał kostycznie – o najczęstszej tymczasowej amnezji – utracie pamięci pod wpływem alkoholu. Słuchaj, synu, może przyjdziesz do mnie i wszystko dokładnie sobie omówimy? Jeżeli nie dojdę, co cię gryzie – jak wiesz, nie jestem psychiatrą – mogę posłać cię do jakiegoś hipnoanalityka, który obierze twoją pamięć jak cebulę i wyjaśni ci, dlaczego czwartego lutego w drugiej klasie podstawówki spóźniłeś się na lekcje. Tylko że jest dość drogi, więc może najpierw pozwolisz mi spróbować?

– Do licha, doktorze – powiedziałem – i tak już zająłem ci tyle czasu… a ty uparcie nie chcesz wziąć pieniędzy.

– Synu, ja zawsze troszczę się o moich podopiecznych; jesteście moją jedyną rodziną.

Rozłączyłem się, obiecawszy, że zadzwonię na początku następnego tygodnia, jeśli sam nie uporam się z tym problemem. I tak chciałem się dobrze nad tym zastanowić.

Większość świateł w budynku już pogaszono, tylko w moim biurze nadal się paliły; pojawiła się Służka, model sprzątaczki, spostrzegła, że w pomieszczeniu nadal ktoś jest, i bezszelestnie odjechała. Wciąż tam siedziałem.

Niebawem do środka zajrzał Chuck Freudenberg i powiedział:

– Myślałem, że już dawno wyszedłeś. Obudź się i idź spać w domu.

Podniosłem głowę.

– Chuck, mam wspaniały pomysł. Kupmy beczkę piwa i dwie słomki.

Zastanowił się nad tym.

– No cóż, jest piątek… a ja lubię mieć kaca w poniedziałek; dzięki temu wiem, jaki to dzień tygodnia.

– Przegłosowano i wykonano. Zaczekaj chwilę, wepchnę jeszcze kilka papierów do teczki.

Wypiliśmy kilka piw, potem zjedliśmy coś i znów piliśmy piwo w lokalu z dobrą muzyką, a później przenieśliśmy się do lokalu bez muzyki, ale za to z grubo wyścielanymi boksami, w których nikt wam nie przeszkadza, jeżeli co godzinę zamówicie coś do picia. Rozmawialiśmy. Pokazałem Chuckowi dokumenty patentowe.

Chuck najpierw przejrzał dokumentację Gorliwca.

– To naprawdę dobra robota, Dan. Jestem z ciebie dumny, chłopcze. Poproszę o autograf.

– Lepiej popatrz na to.

Wręczyłem mu dokumentację patentu na urządzenie kreślarskie.

– Pod pewnymi względami ten jest jeszcze lepszy. Dan, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że miałeś prawdopodobnie większy wpływ na obecny stan techniki niż w swoim czasie Edison? Wiesz o tym, chłopcze?

– Daruj sobie, Chuck, to poważna sprawa. – Wskazałem plik kserokopii. – W porządku, odpowiadam za jednego z nich. Jednak nie za tego drugiego. Nie stworzyłem go… chyba że zupełnie nie pamiętam, jak wyglądało moje życie przed Snem. Chyba że mam amnezję.

– Powtarzasz to od dwudziestu minut. Nie wydaje mi się, żebyś miał źle w głowie. Nie jesteś bardziej szalony niż inni inżynierowie.

Walnąłem pięścią w stół, aż podskoczyły kufle.

– Muszę to wiedzieć!

– Spokojnie. Cóż więc masz zamiar zrobić?

– Co? – Zamyśliłem się. – Zapłacę jakiemuś psychiatrze, żeby to ze mnie wyciągnął.

Chuck westchnął.

– Wiedziałem, że to powiesz. Posłuchaj, Dan, załóżmy, że zapłacisz temu mechanikowi od mózgu, żeby to zrobił, a on oznajmi, że wszystko z tobą w porządku, masz doskonałą pamięć i nie brak ci piątej klepki. Co dalej?

– To niemożliwe.

– To samo powiedzieli Kolumbowi. Nie wspomniałeś nawet o najbardziej prawdopodobnym wyjaśnieniu.

– Tak? Jakim?

Nie odpowiedział, tylko zawołał kelnera i kazał mu przynieść grubą książkę telefoniczną rejonu.

– Co chcesz zrobić? – zapytałem. – Wezwać dla mnie karetkę?

– Jeszcze nie teraz. – Kartkował tę grubą książkę, aż przestał i powiedział: – Spójrz na to, Dan.

Spojrzałem. Zatrzymał palec na nazwisku „Davis”. Były tam całe kolumny Davisów. Jednak pod jego palcem znajdowało się kilkunastu „D.B. Davisów” – od „Dabneya” do „Duncana”.

„Danielów B. Davisów” było trzech. Jednym z nich byłem ja.

– I to w niecałych siedmiu milionach osób – podkreślił. – Chciałbyś spróbować szczęścia z ponad dwustu pięćdziesięcioma milionami?

– To niczego nie dowodzi – odparłem słabo.

– Nie – przyznał. – Nie dowodzi. Jestem gotów się zgodzić, że byłby to niezwykły zbieg okoliczności, gdyby dwaj tak uzdolnieni konstruktorzy przypadkowo pracowali nad tym samym projektem w tym samym czasie i przypadkiem mieli takie same nazwisko i inicjały. Zapewne moglibyśmy

w przybliżeniu obliczyć na podstawie zasad statystyki, jak nikłe jest prawdopodobieństwo czegoś takiego. Jednak ludzie zapominają – szczególnie tacy jak ty, którzy powinni wiedzieć lepiej – że choć statystyka określa znikome szanse występowania takich zbiegów okoliczności, to równie dokładnie wykazuje, że one się rzeczywiście zdarzają. To wygląda na jeden z takich przypadków. To podoba mi się o wiele bardziej niż teoria, że mojemu kumplowi od kufla odbiła szajba. Trudno znaleźć dobrego kumpla od kufla.

– Jak uważasz, co powinienem zrobić?

– Po pierwsze, nie marnuj forsy i czasu na psychiatrę, dopóki nie sprawdzisz drugiego. Po drugie, odszukaj imię tego D.B. Davisa, który wystąpił o patent. Na pewno istnieje jakiś prosty sposób, żeby się tego dowiedzieć. I równie prawdopodobnie może to być Dexter. Albo nawet Dorothy. Tylko nie wpadaj w panikę, jeśli będzie to Daniel, gdyż może to być Daniel Berzowski Davis i mieć zupełnie inny numer ubezpieczenia. No i po trzecie, tak naprawdę najważniejsze, na razie zapomnij o wszystkim i zamów następną kolejkę.

Zrobiłem to i rozmawialiśmy o innych sprawach, przede wszystkim o kobietach. Chuck wyznawał teorię, że kobiety są spokrewnione z maszynami, ich zachowania są równie nieprzewidywalne. Na poparcie swojej tezy sporządzał na stole wykresy piwem.

Trochę później oznajmiłem:

– Gdyby naprawdę można było podróżować w czasie, wiedziałbym, co robić.

– Co? O czym ty mówisz?

– O moim problemie. Słuchaj, Chuck, znalazłem się tu – to znaczy w „teraźniejszości” – w wyniku niedowarzonej, prymitywnej podróży w czasie. Problem polega na tym, że nie mogę wrócić. Wszystko to, co

mnie niepokoi, wydarzyło się trzydzieści lat temu. Wróciłbym w przeszłość i dokopał się prawdy… gdyby naprawdę można było podróżować w czasie.

Chuck patrzył na mnie ze zdumieniem.

– Przecież można.

– Co?

Nagle otrzeźwiał.

– Nie powinienem był tego mówić.

– Może nie, ale powiedziałeś. Teraz lepiej wyjaśnij mi, co przez to rozumiesz, zanim wyleję ci kufel piwa na głowę.

– Zapomnij o tym, Dan. Coś mi się pomyliło.

– Mów!

– Nie mogę. – Rozejrzał się. W pobliżu nie było nikogo. – To jest tajne.

– Podróże w czasie są tajne? Dobry Boże, dlaczego?

– Do diabła, chłopie, nigdy nie pracowałeś dla rządu? Gdyby mogli, utajniliby seks. Nie muszą mieć żadnego powodu, po prostu takie mają zasady. To naprawdę tajne i obowiązuje mnie tajemnica. Tak więc daj spokój.

– Ale… Chuck, przestań się wygłupiać, to dla mnie ważne. Bardzo ważne. – Kiedy nie odpowiedział, z uporem zaciskając wargi, dodałem: – Przecież mi akurat możesz to powiedzieć. Cholera, kiedyś sam miałem certyfikat dostępu „Q”. Nigdy mi go nie odebrali. Tyle że nie pracuję już dla rządu.

– Co to jest certyfikat „Q”?

Wyjaśniłem mu i po chwili skinął głową.

– Mówisz o statusie „alfa”. Musiałeś być świetny, chłopie; ja mam zaledwie status „beta”.

– Zatem dlaczego nie możesz mi nic powiedzieć?

– Co? Wiesz dlaczego. Niezależnie od posiadanego statusu po prostu nie jesteś jednym z tych, którzy powinni to wiedzieć.

– Diabła tam nie powinienem! Większość tego, co robię, jest tajna.

Jednak Chuck nie ustępował, więc w końcu stwierdziłem z niesmakiem:

– Myślę, że nie ma niczego takiego. Sądzę, że wyssałeś to sobie z palca.

Przez chwilę spoglądał na mnie z poważną miną, po czym rzekł:

– Danny.

– Co?

– Powiem ci. Tylko pamiętaj o swoim statusie „alfa”, chłopie. Powiem ci, ponieważ nikomu tym nie zaszkodzę i chcę, żebyś zrozumiał, że to nie pomoże ci rozwiązać twojego problemu. Podróże w czasie są możliwe, ale niepraktyczne. Nie można ich do niczego wykorzystać.

– Dlaczego?

– Pozwól mi dokończyć, dobrze? Nigdy nie usunięto wad takich podróży i nie ma nawet teoretycznej możliwości, że kiedyś to nastąpi. Nie mają żadnej wartości praktycznej, nawet do celów badawczych. To uboczny skutek zerowej grawitacji – dlatego go utajnili.

– Ale, do diabła, zerowa grawitacja została odtajniona.

– A co to ma do rzeczy? Gdyby podróże w czasie miały jakąś komercyjną wartość, może też by je odtajnili. Lepiej siedź cicho.

Obawiam się, że tego nie zrobiłem, ale zrelacjonuję to tak, jakbym go usłuchał. Kiedy Chuck był na ostatnim roku w Uniwersytecie Kolorado – to znaczy w Boulder – dorabiał sobie jako technik w laboratorium. Mieli tam dużą pracownię kriogeniki i początkowo tam pracował. Jednak uniwersytet dostał intratny kontrakt z Departamentem Obrony, związany z edynburską teorią pola, i wybudowano duże nowe laboratorium fizyczne w górach za miastem. Przydzielono Chucka doktorowi Hubertowi Twitchellowi,

człowiekowi, który nie zdołał dostać Nagrody Nobla i był z tego powodu wściekły.

– Twitch uważał, że jeśli zdoła ustawić polaryzację w innej osi, będzie mógł odwrócić pole grawitacyjne, a nie tylko je wyrównać. Nic się jednak nie stało. Tak więc wpakował wszystkie dane do komputera i wybałuszył oczy, gdy otrzymał wyniki. Oczywiście nigdy mi ich nie pokazał. Włożył dwie srebrne jednodolarówki do komory doświadczalnej – wtedy w tamtych stronach używano jeszcze monet – wcześniej je oznaczywszy. Wcisnął przełącznik i dolary znikły. Taki trik to nic wielkiego. Powinien zaraz wyciągnąć je z nosa jakiemuś chłopakowi, który na ochotnika odważyłby się wejść na scenę. Jednak doktor wyglądał na usatysfakcjonowanego, więc ja też byłem zadowolony – płacono mi za godzinę. Tydzień później pojawiła się jedna z tych monet. Tylko jedna. Jednak wcześniej, pewnego popołudnia, gdy sprzątałem po tym, jak poszedł do domu, w komorze pojawiła się świnka morska. Nie mieliśmy ich w laboratorium i nigdy wcześniej jej tam nie widziałem, tak więc przed powrotem do domu wpadłem do biologów. A ci policzyli i stwierdzili, że nie brakuje im żadnej świnki, chociaż w przypadku świnek morskich trudno mieć co do tego pewność. Zatem zabrałem ją jako zwierzątko domowe. Po tym, jak ten srebrny dolar powrócił, Twitch tak się pogrążył w pracy, że przestał się golić. Następnym razem użył dwóch świnek morskich z laboratorium biologicznego. Jedna z nich wyglądała bardzo znajomo, ale nie przyglądałem się jej zbyt długo, ponieważ Twitch wcisnął guzik i obie świnki znikły. Kiedy jakieś dziesięć dni później wróciła jedna z nich – ta niepodobna do mojej – Twitch miał już pewność. Wtedy pojawił się miejscowy przedstawiciel Departamentu Obrony – pułkownik w typie gryzipiórka, były wykładowca botaniki. Typowy wojskowy… Twitch go nie cierpiał. Ten pułkownik kazał nam przysiąc, że zachowamy tajemnicę,

niezależnie od naszego statusu. Zdawał się myśleć, że ma do czynienia z największym wynalazkiem w dziedzinie wojskowej logistyki od czasu, gdy Cezar wymyślił kalkę. Uważał, że będzie można wysłać w czasie dywizje, aby wzięły udział w bitwie, którą przegraliśmy albo mogliśmy przegrać, i uratowały sytuację. Nieprzyjaciel nigdy nie zorientowałby się, co zaszło. Oczywiście ten pułkownik był po prostu stuknięty… i nigdy nie dostał gwiazdki, na której mu zależało. Jednak etykieta „ściśle tajne”, nadana przez niego tej sprawie, o ile mi wiadomo, utrzymała się do dziś. Nigdy tego nie ujawniono.

– Wydaje mi się, że to mogłoby mieć jakieś militarne zastosowanie – stwierdziłem – gdyby zdołano przesłać jednocześnie całą dywizję. Nie, poczekaj chwilę, widzę ten problem. Wszystko przesyłaliście parami. Potrzebne byłyby dwie dywizje, jedna wysyłana w przyszłość, a druga w przeszłość. Jedna by przepadła… Zapewne lepiej byłoby mieć jakąś dywizję w odpowiednim miejscu i czasie.

– Masz rację, ale twoje rozumowanie jest błędne. Nie musisz używać dwóch dywizji, dwóch świnek morskich ani jakiejkolwiek pary identycznych rzeczy. Po prostu musisz zrównoważyć masę. Mógłbyś w jedną stronę wysłać dywizję wojska, a w drugą stertę kamieni o identycznym ciężarze. Zasada akcji i reakcji, trzecia zasada dynamiki Newtona. – Znów zaczął kreślić wzory kroplami piwa. – MV równa się mv… podstawowy wzór dla rakiet. Analogiczny wzór dla podróży w czasie to MT równa się mt.

– Nadal nie rozumiem, w czym tkwi problem. Kamienie są tanie.

– Rusz głową, Danny. Rakietę możesz skierować na cholerny cel. A jakim kierunkiem jest miniony tydzień? Wymierz weń. Spróbuj. Nie masz najmniejszego pojęcia, która masa przemieści się w czasie do przodu, a która do tyłu. W żaden sposób nie można zorientować sprzętu.

Zamknąłem się. Każdy dowódca byłby zakłopotany, gdyby zamiast dywizji wypoczętych i doskonale wyszkolonych żołnierzy otrzymał stertę kamieni. Nic dziwnego, że były wykładowca nigdy nie został brygadierem. Chuck jednak mówił dalej:

– Traktujesz te dwie masy jak płytki kondensatora, ładując je do jednakowego potencjału czasowego. Potem gwałtownie rozładowujesz tak, że krzywa jest praktycznie linią pionową. Bach! – i jedna z mas zmierza w środek przyszłego roku, a druga przechodzi do historii. Tylko nigdy nie wiadomo, która gdzie się udaje. Jednak nie to jest najgorsze; nie możesz wrócić.

– I co z tego? Kto by chciał wracać?

– No wiesz, jaki sens miałyby takie badania, jeśli nie możesz wrócić? Jakie komercjalne znaczenie? Dokądkolwiek się przeniesiesz, niczego nie kupisz za swoje pieniądze i w żaden sposób nie zdołasz skontaktować się ze swoimi czasami. Nie masz potrzebnego sprzętu – a wierz mi, że wymaga to odpowiednich urządzeń i energii. My pobieraliśmy moc z reaktorów Arco. To kosztowne… następna wada.

– Mógłbyś wrócić poprzez zimny sen – podkreśliłem.

– Co? Jeśli udasz się w przeszłość. Nigdy nie wiesz, gdzie trafisz. I jeśli cofniesz się na tyle blisko w czasie, że znają tam zimny sen… nie dalej niż do wojny. Tylko jaki miałoby to sens? Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć na przykład o roku 1980, zapytaj kogoś albo przejrzyj stare gazety. Gdyby dzięki temu wynalazkowi można było sfotografować ukrzyżowanie Chrystusa… ale nie można. To niemożliwe. Nie tylko dlatego, że nie zdołałbyś wrócić, ale ponieważ na całej kuli ziemskiej nie ma potrzebnej do tego energii. Ta rośnie z kwadratem przesunięcia w czasie.

– Pomimo to niektórzy spróbowaliby tego tylko z powodu niesamowitych wrażeń. Nie znalazł się nikt taki?

Chuck znów się rozejrzał.

– Już i tak za dużo powiedziałem.

– Trochę więcej nie zaszkodzi.

– Myślę, że próbowali tego trzej śmiałkowie. Tak sądzę. Jednym z nich był instruktor. Byłem w laboratorium, kiedy przyszedł tam Twitch i ten chłopak, Leo Vincent; Twitch powiedział mi, żebym poszedł do domu. Zostałem na zewnątrz. Po chwili Twitch wyszedł, a Vincent nie. O ile wiem, nadal tam jest. A przynajmniej od tego czasu nigdy nie nauczał w Boulder.

– A dwaj pozostali?

– Studenci. Wszyscy trzej weszli tam razem; wyszedł tylko Twitch. Jeden z nich był następnego dnia na zajęciach, natomiast drugi znikł na tydzień. Domyśl się dlaczego.

– Nigdy cię nie kusiło spróbować?

– Mnie? Czy ja wyglądam na półgłówka? Twitch zasugerował, że zgłoszenie się na ochotnika to niemal mój obowiązek, dla dobra nauki. Odparłem, że nie, dziękuję; wolę skoczyć na kufel piwa… ale chętnie wcisnę ten przełącznik, jeśli sam się zdecyduje. Nie skorzystał z mojej propozycji.

– Ja bym zaryzykował. Sprawdziłbym to, co mnie niepokoi… a potem znów wrócił po zimnym śnie. Byłoby warto.

Chuck głęboko westchnął.

– Nie pij już więcej piwa, przyjacielu; zalałeś się. Nie słuchałeś mnie. Po pierwsze – zaczął kreślić linie na blacie stolika – nie masz pewności, że przeniesiesz się w przeszłość; możesz trafić w przyszłość.

– Zaryzykowałbym. Te czasy podobają mi się o wiele bardziej niż dawne; może za trzydzieści lat będzie jeszcze lepiej.

– No dobrze, więc znów wybierz Długi Sen; to bezpieczniejsze. Albo po prostu siedź na tyłku i poczekaj, aż ta świetlana przyszłość przyjdzie sama; ja tak mam zamiar zrobić. Ale nie przerywaj, kiedy mówię. Po drugie, nawet gdybyś przeniósł się w przeszłość, mógłbyś o parę lat minąć rok 1970. O ile wiem, Twitch strzelał na oślep; nie sądzę, by potrafił dobrze wycelować. Choć oczywiście byłem tylko pomocnikiem. Po trzecie, laboratorium stało w sosnowym lasku i zbudowano je w 1980 roku. Wyobraź sobie, że pojawiasz się dziesięć lat wcześniej w środku zagajnika. To by była naprawdę niezła eksplozja, prawie jak bomby kobaltowej, nie? Tyle że ty byś jej nie zobaczył.

– Ale… nie rozumiem właściwie, dlaczego podróżnik miałby się pojawić gdzieś w pobliżu laboratorium. Dlaczego nie w jakimś punkcie w kosmosie odpowiadającym miejscu, gdzie było laboratorium… to znaczy, gdzie jest… czy raczej…

– W ogóle nie myślisz. Wylądujesz w tym samym miejscu na kuli ziemskiej, z którego wyruszyłeś. I nie trudź się obliczeniami; po prostu pamiętaj, co się stało ze świnką morską. Gdybyś wrócił w przeszłość, w której jeszcze nie wybudowano laboratorium, mógłbyś skończyć w jakimś drzewie. Po czwarte, w jaki sposób zdołałbyś przez zimny sen wrócić do teraźniejszości, nawet gdybyś wyruszył we właściwym kierunku, przybył we właściwym czasie i to przeżył?

– Co? Już raz to zrobiłem, dlaczego nie miałbym zrobić tego ponownie?

– Pewnie. Tylko czego użyłbyś zamiast pieniędzy?

Otworzyłem usta i od razu je zamknąłem. Poczułem się głupio. Kiedyś miałem pieniądze, ale teraz już nie. Nie mogłem zabrać ze sobą nawet tego, co oszczędziłem (i tak było tego za mało) – do licha, nawet gdybym obrabował bank (czego absolutnie nie potrafiłem robić) i zabrał ze sobą milion, to i tak nie mógłbym go wydać w 1970 roku. Po prostu

skończyłbym za kratkami, oskarżony o rozprowadzanie fałszywych pieniędzy. Zmieniły się rozmiary banknotów, nie mówiąc już o numerach serii, datach, kolorach i wzorach.

– Może musiałbym je po prostu zaoszczędzić.

– Grzeczny chłopczyk. I kiedy byś to robił, to prawdopodobnie w końcu i tak trafiłbyś tutaj… tylko bez włosów i zębów.

– Dobrze, dobrze. Wróćmy jednak do trzeciego punktu. Czy w tym miejscu nastąpił kiedyś jakiś silny wybuch? Tam, gdzie jest laboratorium?

– Nie, nie sądzę.

– A zatem nie skończyłbym w drzewie… ponieważ w nim nie skończyłem. Nadążasz?

– Wyprzedzam cię o trzy długości. To stary paradoks czasowy, ale ja tego nie kupuję. Ja również myślałem o teorii czasu, może więcej niż ty. Opacznie to pojmujesz. Nie było żadnej eksplozji i nie skończysz w drzewie… ponieważ nigdy nie wykonasz tego skoku. Nadążasz?

– A gdybym jednak wykonał?

– Nie wykonasz. Z powodu piątego punktu. To gwóźdź do trumny, więc uważnie słuchaj. Nie wykonasz takiego skoku, ponieważ wszystko to jest tajne i nie możesz tego zrobić. Nie pozwolą ci na to. Tak więc zapomnijmy o tym, Danny. To był bardzo interesujący i stymulujący intelektualnie wieczór, a jutro rano może mnie szukać FBI. Proponuję jeszcze jedną kolejkę, a jeśli w poniedziałek nie będę siedział w więzieniu, zadzwonię do głównego inżyniera Aladyna i dowiem się, jak ma na imię ten drugi D.B. Davis, kim był lub jest. Może nawet jeszcze tam pracuje, a jeśli tak, to umówimy się z nim na lunch i pogadamy sobie. Niezależnie od tego chciałbym poznać cię ze Springerem, głównym inżynierem Aladyna; to porządny gość. I zapomnij o tych bzdurach z podróżami w czasie; nigdy nie usuną związanych z tym wad. Nie powinienem był o tym wspominać…

i jeśli kiedykolwiek komuś o tym powiesz, spojrzę ci prosto w oczy i nazwę łgarzem. Pewnego dnia mogę jeszcze potrzebować mojego statusu tajności.

Tak więc wypiliśmy jeszcze po jednym piwie. Kiedy wróciłem do domu, wziąłem prysznic i uwolniłem organizm od części wypitego piwa, doszedłem do wniosku, że Chuck miał rację. Podróż w czasie była równie praktycznym rozwiązaniem moich problemów jak leczenie bólu głowy przez poderżnięcie sobie gardła. Co istotniejsze, Chuck mógł się dowiedzieć od pana Springera wszystkiego, co chciałem wiedzieć, przy steku i sałatce, bez wysiłku, wydatków i ryzyka. Ponadto podobał mi się rok, w którym obecnie żyłem.

Leżąc w łóżku, sięgnąłem po plik gazet z całego tygodnia. Teraz, gdy już byłem solidnym obywatelem, każdego ranka dostawałem „Timesa” pocztą pneumatyczną. Rzadko go czytałem, ponieważ kiedy byłem zaprzątnięty jakimś problemem inżynieryjnym, czyli niemal zawsze, codzienne wiadomości tylko mnie denerwowały, nudziły albo, jeszcze gorzej, interesowały na tyle, by oderwać mnie od pracy.

Pomimo to nigdy nie wyrzucałem gazet, dopóki przynajmniej nie spojrzałem na nagłówki i nie przejrzałem kroniki towarzyskiej, nie ze względu na informacje o narodzinach, zgonach i ślubach, ale na rubrykę „przywołanych”, czyli ludzi obudzonych z zimnego snu. Wyobrażałem sobie, że pewnego dnia zobaczę w niej nazwisko dawnego znajomego, a wtedy pójdę do niego, powitam i zaproponuję pomoc. Oczywiście prawdopodobieństwo takiego zdarzenia było niewielkie, ale nie rezygnowałem i zawsze dawało mi to satysfakcję.

Sądzę, że podświadomie uważałem wszystkich Śpiochów za moich krewniaków, jak żołnierz wszystkich służących z nim w jednej jednostce, przynajmniej przy drinku.

W gazetach nie było niczego specjalnie ciekawego z wyjątkiem tego, że wciąż nie odnaleziono zaginionego gdzieś między Ziemią a Marsem statku, co nie było żadną wiadomością, ale smutnym jej brakiem. Nie znalazłem także żadnych starych znajomych wśród przebudzonych Śpiochów. Tak więc wyciągnąłem się wygodnie i czekałem, aż zgaśnie światło.

Około trzeciej w nocy nagle obudziłem się i gwałtownie uniosłem na łóżku do pozycji siedzącej. Światło się zapaliło, a ja zamrugałem. Miałem bardzo dziwny sen, właściwie nie nocny koszmar, ale prawie, ponieważ śniłem, że przegapiłem w kronice towarzyskiej informację o małej Ricky.

Wiedziałem, że to niemożliwe. Pomimo to poczułem ulgę, gdy rozejrzałem się i zobaczyłem, że sterta gazet z całego tygodnia nadal leży na swoim miejscu; czasem wyrzucałem je do zsypu, zanim położyłem się spać.

Wtaszczyłem je znów na łóżko i zacząłem ponownie przeglądać kronikę. Tym razem czytałem wszystkie działy, narodzin, zgonów, ślubów, rozwodów, adopcji, zmiany nazwiska, przyjęć i przywołań, ponieważ uświadomiłem sobie, że mogłem bezwiednie przesunąć wzrokiem po nazwisku Ricky, przenosząc spojrzenie do jedynej interesującej mnie rubryki – anons mógł dotyczyć jej zamążpójścia, urodzenia przez nią dziecka lub jakiegoś innego wydarzenia.

O mało nie przeoczyłem tego, co zapewne spowodowało ten niepokojący sen. W wydaniu „Timesa” ze środy 2 maja 2001 roku na liście przywołanych podano: „Azyl Riverside… F.V. Heinicke”.

F.V. Heinicke!

„Heinicke” to było nazwisko babci Ricky… Wiedziałem o tym, byłem tego pewny! Nie miałem pojęcia, skąd to wiem. Czułem jednak, że tkwiło to głęboko w mojej pamięci i wyłoniło się z niej dopiero przy ponownej lekturze gazety. Zapewne zobaczyłem je w jakimś liście albo usłyszałem od

Ricky lub Milesa, a może nawet spotkałem tę starszą panią w Sandii. Nieważne, kiedy to nazwisko w „Timesie” pasowało do zapomnianej informacji w mojej głowie i już wiedziałem.

Musiałem tylko to sprawdzić. Musiałem się upewnić, że „F.V. Heinicke” to istotnie Frederica Virginia Heinicke.

Drżałem z podniecenia, nadziei i obawy. Chociaż już wyrobiłem sobie nowe nawyki, teraz usiłowałem zapinać nieistniejące zamki błyskawiczne, zamiast przylepiać do siebie szwy, i szamotałem się podczas ubierania. Pomimo to po kilku minutach znalazłem się w holu, gdzie stała budka telefoniczna – w mieszkaniu nie miałem aparatu; nadal znajdowałem się na liście oczekujących. W następnej chwili odkryłem, że w pośpiechu zapomniałem telefonicznej karty kredytowej, więc musiałem wrócić po nią do pokoju – naprawdę działałem chaotycznie.

Ręce trzęsły mi się tak, że ledwie wsunąłem kartę w szczelinę. Ale udało mi się to i wybrałem numer centrali.

– Z którą linią?

– Hm, chcę się połączyć z Azylem Riverside. To w gminie Riverside.

– Szukam… proszę czekać… linia jest wolna. Już łączę.

Ekran się rozjaśnił i ponuro spojrzał z niego na mnie jakiś mężczyzna.

– Chyba źle pana połączono. To Azyl Riverside. W nocy nieczynny.

– Proszę się nie rozłączać – powiedziałem. – Jeśli mówię z Azylem Riverside, to dobrze się dodzwoniłem.

– No cóż, co chce pan wiedzieć? O takiej porze?

– Macie u siebie klientkę, F.V. Heinicke, dopiero co przywołaną. Chciałbym wiedzieć…

Pokręcił głową.

– Nie udzielamy informacji o pacjentach przez telefon. I na pewno nie w środku nocy. Lepiej niech pan zadzwoni po dziesiątej. A jeszcze lepiej

niech pan tu przyjdzie.

– Przyjdę, przyjdę. Chcę jednak wiedzieć tylko jedno. Co oznaczają inicjały „F.V.”?

– Powiedziałem panu, że…

– Proszę mnie wysłuchać, dobrze? Nie jestem wścibski; sam jestem Śpiochem. Z Sawtelle. Niedawno mnie przywołano. Tak więc doskonale wiem, co jest poufne, a co nie. W gazecie już zamieszczono inicjały imion klientki. Obaj wiemy, że azyle przekazują prasie pełne dane… ale gazety podają tylko pierwsze litery imion, żeby zaoszczędzić miejsce. Prawda?

Zastanowił się.

– Może tak.

– Co więc byłoby złego w podaniu mi pełnego brzmienia imion?

Milczał jeszcze dłużej.

– Chyba nic, jeśli tylko tego pan chce. Nic więcej panu nie powiem. Proszę się nie rozłączać.

Zniknął z ekranu i nie pojawiał się przez chwilę, która wydawała mi się co najmniej godziną, po czym wrócił, trzymając w ręce kartę.

– Ciemno tutaj – rzekł, patrząc na nią. – Frances… nie, Frederica. Frederica Virginia.

Zaszumiało mi w uszach i o mało nie zemdlałem.

– Chwała Bogu!

– Dobrze się pan czuje?

– Tak. Dziękuję panu. Dziękuję z całego serca. Tak, czuję się doskonale.

– Hmm. Sądzę, że mogę powiedzieć panu jeszcze jedno. Może zaoszczędzi to panu fatygi. Ona już się wypisała.

Rozdział IX

Zaoszczędziłbym czas, gdybym wziął taksówkę do Riverside, ale nie miałem gotówki. Mieszkałem w West Hollywood, a najbliższy całodobowy bank znajdował się w Grand Circle. Tak więc najpierw pojechałem komunikacją miejską do centrum i poszedłem do banku wybrać pieniądze. Dotychczas nie doceniałem uniwersalnego systemu czekowego; dzięki oznaczaniu kodem radioaktywnym książeczek czekowych mogłem podjąć pieniądze w każdym banku w mieście. Wypłacono mi gotówkę równie szybko, jak niegdyś w filii banku znajdującej się naprzeciw Służki.

Potem złapałem ekspres do Riverside. Gdy dojeżdżałem do azylu, zaczęło świtać.

Nie zastałem tam nikogo prócz dyżurnego technika, z którym rozmawiałem przez telefon, oraz jego żony, pielęgniarki na nocnym dyżurze. Obawiam się, że nie sprawiałem dobrego wrażenia. Miałem całodniowy zarost i błędny wzrok, zapewne jeszcze zionąłem piwem i nie wymyśliłem żadnej przekonującej bajeczki.

Mimo to pielęgniarka, pani Larrigan, była wyrozumiała i pomocna. Wyjęła z rejestru fotografię i zapytała:

– Czy to jest pana kuzynka, panie Davis?

To była Ricky. Nie było cienia wątpliwości, to była Ricky! Och, nie ta Ricky, którą kiedyś znałem, nie mała dziewczynka, ale młoda kobieta około dwudziestki lub nieco starsza, z dorosłą fryzurą oraz dorosłą i przepiękną buzią. Uśmiechała się.

Lecz jej oczy wcale się nie zmieniły, tak jak ten figlarny uśmiech, który kiedyś czynił ją rozkosznym dzieckiem. Twarz była dojrzała i pełniejsza, piękniejsza, ale bezsprzecznie ta sama.

Stereozdjęcie się rozmazało, bo łzy stanęły mi w oczach.

– Tak – zdołałem wykrztusić. – Tak. To jest Ricky.

– Nancy, nie powinnaś mu tego pokazywać – rzekł pan Larrigan.

– Och, Hank, co w tym złego, że pokazuję zdjęcie?

– Znasz przepisy. – Odwrócił się do mnie. – Szanowny panie, jak już mówiłem przez telefon, nie udzielamy informacji o klientach. Niech pan przyjdzie o dziesiątej, kiedy otworzą biuro.

– Albo proszę wrócić o ósmej – dodała jego żona. – Wtedy będzie tu doktor Bernstein.

– Ej, Nancy, siedź cicho. Jeżeli chce informacji, to musi porozmawiać z dyrektorem. Bernstein nie ma prawa odpowiadać na pytania, tak samo jak my. Ponadto ona nawet nie była jego pacjentką.

– Nie przesadzaj, Hank. Wy, mężczyźni, uwielbiacie bzdurne przepisy. Jeśli chce ją jak najszybciej zobaczyć, to o dziesiątej mógłby być już w Brawley. – Odwróciła się do mnie. – Proszę wrócić tu o ósmej. Tak będzie najlepiej. Mąż i ja naprawdę nie możemy nic więcej panu powiedzieć.

– O co chodzi z tym Brawley? Czy ona tam pojechała?

Sądzę, że gdyby nie było tam jej męża, powiedziałaby mi więcej. Zawahała się, ale on zrobił surową minę.

– Proszę porozmawiać z doktorem Bernsteinem – odparła. – A jeśli nie jadł pan jeszcze śniadania, tuż obok jest naprawdę przyjemny lokal.

Poszedłem więc do tego „naprawdę przyjemnego lokalu” (rzeczywiście taki był), zjadłem i skorzystałem z toalety oraz znajdujących się w niej dystrybutorów, w których nabyłem krem usuwający zarost oraz nową

koszulę. Wyrzuciłem tę, którą miałem na sobie. Kiedy wróciłem do azylu, wyglądałem całkiem znośnie.

Larrigan jednak najwyraźniej powiedział o mojej porannej wizycie doktorowi Bernsteinowi. Ten był młodzieńcem odbywającym w klinice staż podyplomowy i zachowywał się bardzo oficjalnie.

– Panie Davis, utrzymuje pan, że również jest Śpiochem. Z pewnością pan wie, że niektórzy przestępcy żerują na łatwowierności i niewiedzy świeżo obudzonych. Większość Śpiochów ma spory majątek, a wszyscy czują się obco w rzeczywistości, w której się znaleźli, tak więc zazwyczaj są samotni i trochę wystraszeni – stanowią doskonały cel dla oszustów.

– Przecież ja chcę tylko wiedzieć, dokąd pojechała! Jestem jej kuzynem. Zdecydowałem się na Sen wcześniej niż ona, więc nie wiedziałem, że ona też chce to zrobić.

– Zazwyczaj podają się za krewnych. – Przyjrzał mi się uważnie. – Czy ja już pana gdzieś nie widziałem?

– Mocno wątpię. Chyba że minął mnie pan w kolejce miejskiej. – Ludziom zawsze się wydaje, że już mnie gdzieś widzieli; mam jedną z dwunastu typowych twarzy, tak podobnych do innych jak ziarna grochu w worku. – Panie doktorze, może zadzwoni pan do doktora Albrechta z azylu Sawtelle i o mnie spyta?

Nie dał się przekonać.

– Proszę przyjść później i porozmawiać z dyrektorem. On zadzwoni do azylu w Sawtelle… albo na policję, jeśli uzna to za konieczne.

Wyszedłem. Potem może popełniłem błąd. Zamiast spotkać się z dyrektorem i prawdopodobnie uzyskać potrzebne informacje (dzięki wstawiennictwu doktora Albrechta), wynająłem powietrzną taksówkę i poleciałem prosto do Brawley.

Straciłem trzy dni, zanim trafiłem w Brawley na ślad Ricky. Och, szybko odkryłem, że mieszkała tam kiedyś, tak jak jej babcia. Jednak starsza pani zmarła przed dwudziestoma laty, a Ricky zapadła w Sen. Brawley to zaledwie stutysięczne miasto, a nie siedmiomilionowe Wielkie Los Angeles; nietrudno było znaleźć dokumenty sprzed dwudziestu lat. Natomiast nie mogłem wpaść na ślad sprzed mniej więcej tygodnia.

Po trosze dlatego, że ktoś z nią był, a ja szukałem podróżującej samotnie młodej kobiety. Kiedy się dowiedziałem, że towarzyszy jej jakiś mężczyzna, z niepokojem przypomniałem sobie wykład doktora Bernsteina o oszustach żerujących na Śpiochach i zdwoiłem wysiłki.

Podążyłem fałszywym tropem do Calexico, wróciłem do Brawley, zacząłem od nowa, znów wpadłem na ślad i podążyłem nim aż do Yumy.

W Yumie dałem za wygraną, ponieważ Ricky wyszła za mąż. To, co zobaczyłem w rejestrze urzędu stanu cywilnego, wstrząsnęło mną tak, że rzuciłem wszystko w diabły i ruszyłem do Denver, wysławszy jeszcze tylko Chuckowi pocztówkę z informacją, żeby zebrał wszystko z mojego biurka i spakował moje rzeczy.

Do Denver przyjechałem tylko po to, żeby złożyć wizytę w hurtowni stomatologicznej. Nie byłem w tym mieście, od kiedy stało się stolicą – po wojnie sześciotygodniowej razem z Milesem pojechaliśmy prosto do Kalifornii – i teraz zrobiło na mnie ogromne wrażenie. Nie mogłem nawet znaleźć Colfax Avenue. Wiedziałem, że najważniejsze instytucje państwowe znajdują się głęboko pod ziemią w Górach Skalistych. Jeśli to prawda, to na powierzchni zostało całe mnóstwo zbędnych rzeczy, ponieważ Denver jest chyba jeszcze bardziej zatłoczone niż Wielkie Los Angeles.

W hurtowni kupiłem dziesięć kilogramów złota, izotopu 197, w postaci drutu o średnicy 14 AW6. Zapłaciłem 86,10 dolara za kilogram, czyli zdecydowanie za dużo, bo kilogram złota do celów technicznych powinien kosztować około 70 dolarów, tak więc ten zakup zadał śmiertelny cios moim tysiącdolarowym funduszom. Jednak złoto jako materiał konstrukcyjny można znaleźć jedynie w postaci stopów niewystępujących w naturze albo izotopów 196 i 198. Do moich celów potrzebowałem czystego złota identycznego z otrzymywanym z naturalnych złóż i nie chciałem, żeby poparzyło mi palce – po napromieniowaniu w Sandii nabrałem zdrowego respektu dla jego promieniotwórczych własności.

Owinąłem się złotym drutem w talii i pojechałem do Boulder. Dziesięć kilogramów waży mniej więcej tyle, co porządny bagaż na weekend, a taka ilość złota ma objętość nie większą niż kartonik mleka. Natomiast złoto w postaci drutu zajmowało więcej miejsca i nie polecam noszenia takiej przepaski. Jednak sztabki byłyby mniej poręczne, więc wolałem ten sposób.

Doktor Twitchell nadal tam mieszkał, chociaż już nie pracował; był emerytowanym wykładowcą i większość czasu spędzał w barze klubu uniwersyteckiego. Tacy obcy jak ja nie mają tam wstępu, więc dopiero po czterech dniach znalazłem go w innym barze. Na neutralnym gruncie zaproszenie go na jednego okazało się bardzo łatwe.

Był tragiczną postacią, w klasycznym greckim znaczeniu tego słowa, wielkim – naprawdę wielkim – człowiekiem, który nisko upadł. Powinien stać w jednym szeregu z Einsteinem, Bohrem i Newtonem, a tymczasem wyniki jego pracy znało zaledwie kilku specjalistów w dziedzinie teorii pola. Kiedy się spotkaliśmy, jego genialny umysł był skwaszony rozczarowaniem, przyćmiony starością i przesiąknięty alkoholem. Jakbym znalazł się w ruinach wspaniałej niegdyś świątyni, gdzie dach się zapadł, połowa kolumn runęła, a wszystko zarosło dzikim winem.

Pomimo to miał więcej oleju w głowie niż ja w najlepszej formie. Jestem na tyle bystry, że wiem, kiedy mam przed sobą prawdziwego geniusza.

Kiedy podszedłem do niego w tym barze, podniósł głowę, spojrzał na mnie i powiedział:

– To znowu pan.

– Słucham?

– Był pan jednym z moich studentów, prawda?

– Niestety nie, nigdy nie miałem tego zaszczytu. – Zwykle, gdy ludzie uważają, że już mnie widzieli, zbywam ich zdawkowym zaprzeczeniem; tym razem postanowiłem to wykorzystać. – Może myśli pan o moim kuzynie, panie doktorze – rocznik 86. Był kiedyś pańskim studentem.

– Możliwe. Z czego uzyskał dyplom?

– Nie skończył studiów, panie doktorze. Bardzo jednak pana podziwiał. Przy każdej okazji mówił wszystkim, że był pańskim studentem.

Na pewno nigdy nie zrobicie sobie wroga z matki, której powiecie, że jej dziecko jest śliczne. Doktor Twitchell pozwolił mi się przysiąść, a nawet postawić sobie drinka. Największą słabością tego zmarnowanego geniusza była jego duma zawodowa. Zanim zdołałem nawiązać z nim rozmowę, przez cztery dni każdą wolną chwilę spędzałem w bibliotece uniwersyteckiej, zapamiętując wszystkie dostępne tam informacje na jego temat, więc wiedziałem, jakie napisał artykuły, gdzie je opublikował, jakie uzyskał tytuły honorowe i jakich książek był autorem. Próbowałem przeczytać jedną z nich, ale już na dziewiątej stronie się pogubiłem, chociaż zapamiętałem kilka fachowych wyrażeń.

Poinformowałem go, że jestem miłośnikiem nauki; właśnie szukam materiałów do książki *Niedocenieni geniusze*.

– O czym ona będzie?

Z lekkim zawstydzeniem wyznałem, że moim zdaniem najlepiej będzie rozpocząć tę książkę od barwnej relacji o jego życiu i dokonaniach… gdyby zechciał odrobinę złagodzić swój dobrze znany zwyczaj stronienia od rozgłosu. Oczywiście większość zamieszczonych w mojej książce informacji powinna pochodzić od niego.

Stwierdził, że to bzdura i że nie ma głowy do takich rzeczy. Wtedy zaznaczyłem, że ma obowiązki wobec potomności, i odparł, że się nad tym zastanowi. Następnego dnia po prostu założył, że zamierzam napisać jego biografię – nie rozdział o nim, ale całą książkę. Od tej chwili mówił i mówił bez końca, a ja robiłem notatki… prawdziwe notatki. Nie śmiałem go oszukiwać, gdyż czasami prosił mnie o powtórzenie jakiegoś fragmentu.

Nawet jednak nie wspomniał o podróżach w czasie.

– Panie doktorze – powiedziałem w końcu – czy to prawda, że bez trudu dostałby pan Nagrodę Nobla, gdyby nie pewien pułkownik, który tu kiedyś stacjonował?

Przeklinał wymyślnie przez równe trzy minuty.

– Kto panu o tym powiedział?

– Hm, panie doktorze, kiedy zbierałem materiały na zlecenie Departamentu Obrony… wspomniałem o tym, prawda?

– Nie.

– No cóż, więc kiedy to robiłem, usłyszałem tę historię od młodego doktoranta, który pracował na innym wydziale. Przeczytał pańskie sprawozdanie i stwierdził, że na pewno byłby pan dzisiaj najsławniejszą postacią w dziedzinie fizyki… gdyby pozwolono panu opublikować wyniki.

– Ha! To akurat prawda.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, wyniki badań zostały utajnione… na rozkaz tego pułkownika, eee, Plushbottoma.

– Thrushbothama. Nazywał się Thrushbotham, proszę pana. Tłusty, nadęty dupoliz, który nie znalazłby swojego kapelusza, nawet gdyby przybito mu go do głowy. Co też ktoś powinien zrobić.

– To okropne.

– Co jest okropne, proszę pana? To, że Thrushbotham był durniem? To wina ewolucji, nie moja.

– To okropne, że świat się o tym nie dowiedział. Rozumiem, że nie może pan o tym mówić?

– Kto tak panu powiedział? Mogę mówić, co chcę!

– Widocznie źle zrozumiałem… mojego przyjaciela z Departamentu Obrony.

– Ha!

Tego wieczoru nic więcej już z niego nie wyciągnąłem. Dopiero po tygodniu postanowił pokazać mi swoje laboratorium.

Większą część budynku wykorzystywali obecnie inni badacze, ale on nie zrezygnował ze swojego laboratorium temporalnego, chociaż już go nie używał; wykorzystał tajny status swojej pracy, zabronił tam komukolwiek wchodzić i nie pozwolił na demontaż sprzętu. Kiedy wpuścił mnie do środka, pachniało tam jak w niewietrzonej od lat krypcie.

Wypił wystarczająco dużo, żeby się niczym nie przejmować, ale jeszcze trzymał się na nogach. Miał mocną głowę. Wygłosił mi wykład o matematycznych aspektach teorii czasu i przemieszczeniu temporalnym (nie nazywał tego „podróżą w czasie”), ale ostrzegł, żebym nie robił notatek. Zresztą niewiele by pomogło, gdybym notował, ponieważ każdą wypowiedź zaczynał słowami „zatem jest oczywiste, że…”, a następnie mówił o rzeczach, które mogły być oczywiste tylko dla niego i Boga, ale dla nikogo więcej.

Gdy nieco zwolnił tempo wypowiedzi, wtrąciłem:

– Ze słów mojego przyjaciela wnioskuję, że jedyne, z czym nie mógł pan sobie poradzić, to kalibracja. Nie zdołał pan ustalić dokładnych współrzędnych przemieszczenia temporalnego?

– Co takiego? Bzdura! Młody człowieku, jeśli czegoś nie da się zmierzyć, nie jest to naukowe zjawisko. – Przez chwilę bulgotał zupełnie jak czajnik, a potem dodał: – Dobrze. Pokażę panu.

Obrócił się na pięcie i zaczął regulować sprzęt. Na razie widziałem tylko to, co nazywał „platformą temporalną” – zwyczajne niskie podium umieszczone w klatce – i tablicę kontrolną, która mogłaby stanowić wyposażenie kotłowni lub komory niskich ciśnień. Jestem przekonany, że gdybym mógł zostać tam sam i obejrzałbym układ sterowania, zdołałbym obsłużyć tę aparaturę, ale Twitchell stanowczo kazał mi trzymać się od niej z daleka. Zauważyłem rejestrator Browna, kilka przemysłowych zaworów elektromagnetycznych i co najmniej kilkanaście innych równie znanych mi składników, lecz bez schematu ich przeznaczenie pozostawało zagadką.

Obrócił się do mnie i zapytał:

– Czy ma pan w kieszeni drobne?

Wyciągnąłem garść monet. Spojrzał na nie i wybrał dwie nowiutkie pięciodolarówki, ładne zielone plastikowe sześciokąty wypuszczone w tym roku. Wolałbym, żeby wybrał pięćdziesięciocentówki, ponieważ zaczynało mi już brakować pieniędzy.

– Ma pan scyzoryk?

– Tak, panie doktorze.

– Proszę wydrapać na obu swoje inicjały.

Zrobiłem to. Potem kazał mi położyć monety na podium.

– Niech pan zapamięta czas. Nastawiłem przemieszczenie dokładnie na tydzień, plus minus sześć sekund.

Spojrzałem na zegarek. Doktor Twitchell powiedział:

– Pięć… cztery… trzy… dwa… jeden… teraz!

Oderwałem wzrok od zegarka. Monety zniknęły. Nie musiałem udawać, naprawdę wytrzeszczyłem oczy. Chuck opowiedział mi o podobnym eksperymencie – ale zobaczyć to samemu to zupełnie co innego.

– Wrócimy tu dokładnie za tydzień – rzekł z werwą doktor Twitchell – i poczekamy, aż jedna z nich znów się pojawi. A co do drugiej – widział pan obie monety na podium? Sam pan je tam umieścił?

– Tak, panie doktorze.

– A gdzie ja wtedy byłem?

– Przy tablicy kontrolnej, panie doktorze.

Stał co najmniej piętnaście stóp od klatki otaczającej platformę i ani razu do niej nie podszedł.

– Świetnie. Proszę tu podejść. – Zrobiłem to, a on sięgnął do kieszeni. – Oto jedna z pańskich monet. Drugą odzyska pan za tydzień.

Wręczył mi pięciodolarówkę; były na niej moje inicjały.

Nic nie powiedziałem, bo trudno coś powiedzieć z rozdziawionymi ustami. Twitchell podjął:

– Poruszyły mnie pańskie uwagi z poprzedniego tygodnia. Dlatego w środę przyszedłem tutaj, choć nie robiłem tego już… och, od ponad roku. Kiedy zobaczyłem na platformie tę monetę, wiedziałem, że znów użyłem… że użyję tej aparatury. Dopiero dzisiaj wieczorem zdecydowałem, że zademonstruję panu jej działanie.

Popatrzyłem na monetę i dotknąłem jej.

– Miał ją pan w kieszeni, kiedy tu dziś przyszliśmy?

– Oczywiście.

– Ale jak mogła być równocześnie w pańskiej i mojej kieszeni?

– Dobry Boże, człowieku, nie masz oczu? Nie masz mózgu? Nie dociera do pana prosty fakt tylko dlatego, że wykracza poza pańską nudną

egzystencję? Przyniósł pan ją dzisiaj wieczorem w kieszeni – po czym wysłaliśmy ją w miniony tydzień. Sam pan to widział. Kilka dni temu znalazłem ją tutaj. I włożyłem do kieszeni. Przyniosłem ją tu dzisiaj wieczorem. Tę samą monetę… lub ściśle mówiąc, późniejszy segment jej struktury czasoprzestrzennej, o tydzień starszą – lecz ignorant powiedziałby, że jest to „ta sama” moneta. Aczkolwiek faktycznie nie jest identyczna, tak jak dziecko nie jest tożsame z człowiekiem, którym się stanie, kiedy dorośnie. Jest starsza.

Popatrzyłem na monetę.

– Panie doktorze… niech mnie pan cofnie w czasie o jakiś tydzień.

Posłał mi gniewne spojrzenie.

– Wykluczone!

– Dlaczego? Czy to nie działa w przypadku ludzi?

– Co? Oczywiście, że działa.

– Zatem dlaczego tego nie zrobić? Nie boję się. I proszę pomyśleć, jak wspaniale wypromowałoby to książkę… gdybym mógł oświadczyć, że osobiście sprawdziłem działanie przemieszczenia temporalnego Twitchella.

– Przecież już pan to osobiście sprawdził. Dopiero co pan to widział.

– Owszem – przyznałem powoli – ale nikt mi nie uwierzy. Ten eksperyment z dwiema monetami… Widziałem go i wierzę w słuszność pana teorii. Ale ktoś, kto tylko o tym przeczyta, dojdzie do wniosku, że jestem łatwowierny i że omamił mnie pan tanią sztuczką.

– Do licha, szanowny panie!

– Tak powiedzą ludzie. Nie uwierzą, że naprawdę widziałem to, co opisałem. Gdyby jednak cofnął mnie pan w czasie o tydzień, wtedy mógłbym napisać, że osobiście…

– Proszę usiąść i posłuchać. – Usiadł, ale ja z braku innych krzeseł nie mogłem tego zrobić, czego chyba nie zauważył. – Dawno temu

przeprowadzałem doświadczenia z ludźmi. I właśnie dlatego postanowiłem nigdy więcej tego nie robić.

– Dlaczego? Czy to ich zabiło?

– Co? Niech pan nie gada bzdur. – Przeszył mnie wzrokiem i dodał: – Nie umieści pan tego w książce.

– Jak pan sobie życzy.

– Eksperymenty z małymi obiektami dowiodły, że żywe organizmy można bez skutków ubocznych przemieszczać temporalnie. Zwierzyłem się pewnemu koledze, młodemu człowiekowi, który wykładał rysunek techniczny i inne przedmioty na wydziale architektury. Był bardziej inżynierem niż naukowcem, ale go lubiłem; miał otwarty umysł. Ten młody człowiek – mogę zdradzić jego nazwisko: Leonard Vincent – bardzo chciał spróbować… naprawdę; namawiał mnie na poważne przemieszczenie, o pięćset lat. Byłem słaby. Zgodziłem się.

– I co się stało?

– Skąd mam wiedzieć? Pięćset lat, człowieku! Nigdy się tego nie dowiem.

– Sądzi pan, że przeniósł się pięćset lat w przyszłość?

– Albo w przeszłość. Mógł wylądować w piętnastym wieku. Albo w dwudziestym piątym. Obie możliwości są jednakowo prawdopodobne. Z powodu nieoznaczoności równań symetrycznych. Czasami myślę… ale nie, to chyba tylko przypadkowa zbieżność nazwisk.

Nie zapytałem go, co chce przez to powiedzieć, ponieważ nagle też dostrzegłem to podobieństwo i włosy na głowie stanęły mi dęba. Zaraz jednak odepchnąłem od siebie tę myśl; miałem inne problemy. Ponadto z pewnością był to przypadek – w piętnastym wieku człowiek nie mógł dotrzeć z Kolorado do Italii.

– Postanowiłem, że już nigdy więcej nie ulegnę pokusie. To nie był eksperyment naukowy, nie wniósł niczego nowego. Jeżeli przemieścił się w przyszłość, to bardzo dobrze. Ale jeśli w przeszłość… to może przeze mnie mój przyjaciel zginął z rąk dzikusów. Albo został pożarty przez dzikie bestie.

Albo nawet, pomyślałem, został „wielkim białym bóstwem". Zachowałem to jednak dla siebie.

– Tylko że w moim wypadku nie musi pan dokonywać tak odległego przemieszczenia.

– Pozwoli pan, że nie będziemy już o tym mówić.

– Jak pan sobie życzy, doktorze. – Nie mogłem jednak porzucić tego tematu. – Hm, czy mogę coś zaproponować?

– Co? Proszę mówić.

– Niemal taki sam wynik moglibyśmy uzyskać dzięki próbie.

– Co pan ma na myśli?

– Symulację, w której robiłby pan wszystko tak, jakby zamierzał pan przemieścić żywy obiekt – tę rolę ja odegram. Zrobimy wszystko dokładnie tak, jakby zamierzał pan mnie przemieścić, aż do chwili, gdy powinien pan przycisnąć guzik. Wtedy zrozumiem… bo jeszcze nie całkiem to pojmuję.

Trochę zrzędził, ale naprawdę chciał pochwalić się swoją zabawką. Zważył mnie i przygotował metalowe odważniki dokładnie odpowiadające moim 170 funtom.

– Na tej samej wadze ważyłem biednego Vincenta.

Razem umieściliśmy odważniki na podium.

– Jakie ustawimy współrzędne temporalne? – zapytał. – To pana spektakl.

– Hm, mówił pan, że można je precyzyjnie ustawić?

– Tak powiedziałem. Wątpi pan w to?

– Och, nie, nie! No cóż, mamy dziś dwudziesty czwarty maja – powiedzmy, że… może, hm, na przykład trzydzieści jeden lat, trzy tygodnie, jeden dzień, siedem godzin, trzynaście minut i dwadzieścia pięć sekund?

– To kiepski żart, szanowny panie. Kiedy mówiłem „dokładnie”, miałem na myśli dokładność rzędu jednej stutysięcznej. Nigdy nie ustawiałem jednej dziewięćsetmilionowej.

– Och. Sam pan widzi, doktorze, jak ważna jest dla mnie ta próba, skoro tak niewiele wiem. Powiedzmy, że wybieram trzydzieści jeden lat i trzy tygodnie. Czy to nadal zbyt dokładnie?

– Wcale nie. Maksymalny błąd nie powinien przekraczać dwóch godzin. – Nastawił urządzenie. – Może pan zająć miejsce na platformie.

– I to wszystko?

– Tak. Oprócz zasilania. Nie mógłbym dokonać takiego przemieszczenia przy podłączeniu do zwykłej sieci, jak przy próbie z monetami. Ponieważ jednak nie dokonamy prawdziwego przemieszczenia, nie ma to znaczenia.

Nie tylko wyglądałem na zawiedzionego, ale naprawdę byłem zawiedziony.

– Zatem nie ma pan wszystkiego, co jest potrzebne do wykonania takiego przemieszczenia? Mówił pan tylko teoretycznie?

– Wprost przeciwnie, szanowny panie, nie tylko teoretycznie.

– Przecież jeśli nie ma pan zasilania…?

– Skoro pan nalega, mogę podłączyć zasilanie. Chwileczkę.

Poszedł na koniec pomieszczenia i podniósł słuchawkę telefonu. Aparat najwidoczniej zainstalowano, kiedy zbudowano laboratorium, ponieważ nie widziałem takiego modelu od momentu przebudzenia. Zamienił kilka zdań z nocnym operatorem uniwersyteckiej elektrowni. Doktor Twitchell nie używał wulgarnych słów, a mimo to potrafił być bardziej uszczypliwy niż

większość prawdziwych artystów, którzy posługują się normalnym słownictwem.

– Nie interesuje mnie pańskie zdanie, mój panie. Proszę przeczytać instrukcje. Mam prawo korzystać ze wszystkich urządzeń, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota. Chyba umie pan czytać? Czy mamy spotkać się jutro u rektora, żeby zechciał je panu odczytać? Ach, tak? Zatem jednak umie pan czytać? A pisać też? Czy może przekracza to pańskie umiejętności? A więc niech pan zapisze: pełna awaryjna moc na terminal laboratorium Thorntona dokładnie za osiem minut. Proszę powtórzyć. – Odłożył słuchawkę. – Co za ludzie!

Podszedł do tablicy kontrolnej, zmienił kilka ustawień i czekał. Niebawem nawet z mojego miejsca w środku klatki zauważyłem, że długie wskazówki trzech mierników drgnęły, a nad tablicą zapaliło się czerwone światło.

– Mamy zasilanie – oznajmił.

– I co teraz?

– Nic.

– Tak właśnie przypuszczałem.

– Co pan ma na myśli?

– To, co powiedziałem. Nic się nie stanie.

– Obawiam się, że pana nie rozumiem. Mam nadzieję, że nie rozumiem. Otóż nic się nie stanie, jeśli nie wcisnę głównego przełącznika. Gdybym to zrobił, przemieściłbym pana w czasie dokładnie o trzydzieści jeden lat i trzy tygodnie.

– Nadal twierdzę, że nic by się nie stało.

Spochmurniał.

– Sądzę, szanowny panie, że rozmyślnie chce mnie pan obrazić.

– Może pan mówić, co pan chce. Panie doktorze, przyszedłem tutaj sprawdzić pewną intrygującą pogłoskę. No cóż, sprawdziłem. Widziałem tablicę kontrolną z ładnymi światełkami; wygląda jak maszyneria szalonego naukowca z superprodukcji w multikinie. Widziałem kuglarską sztuczkę z parą monet. Nawiasem mówiąc, niezbyt wyrafinowaną, skoro sam pan wybrał monety i powiedział mi, jak je oznaczyć; każdy cyrkowy magik poradziłby sobie lepiej. Usłyszałem wiele słów. Jednak słowa są tanie. To, co niby pan odkrył, jest niemożliwe. Nawiasem mówiąc, w departamencie o tym wiedzą. Pańskiego sprawozdania nie utajniono; po prostu umieszczono je w dziale idiotycznych teorii. Od czasu do czasu wyciągają je, przekazują sobie nawzajem i mają niezły ubaw.

Myślałem, że biedny staruszek dostanie na miejscu zawału. Musiałem jednak trafić w jego jedyny czuły punkt, zranić jego dumę.

– Niech pan się wynosi. Wynocha. Uduszę pana. Uduszę pana gołymi rękami.

Był tak rozwścieczony, że chyba mógłby to zrobić, pomimo podeszłego wieku, wątłej postury i kondycji fizycznej. Powiedziałem jednak:

– Nie boję się ciebie, papciu. Ani tego lipnego guzika. Dalej, naciśnij go.

Spojrzał na mnie, spojrzał na przycisk, ale nadal nic nie zrobił. Drwiąco prychnąłem.

– Oszustwo, tak jak chłopcy mówili. Twitch, jesteś pompatycznym starym kanciarzem, zwykłym blagierem. Pułkownik Thrushbotham miał rację.

To podziałało.

Rozdział X

Kiedy gwałtownie wdusił przycisk, chciałem wrzasnąć, żeby tego nie robił. Było jednak za późno; już spadałem. Przemknęła mi przez głowę rozpaczliwa myśl, że wcale nie chcę przez to przechodzić. Spaliłem za sobą wszystkie mosty i niemal doprowadziłem do zawału biednego staruszka, który nic złego mi nie zrobił – poza tym nawet nie wiedziałem, czy zmierzam w przeszłość czy w przyszłość. Co gorsza, nie miałem pojęcia, czy w ogóle dotrę do celu.

Upadłem. Sądzę, że runąłem z wysokości nie większej niż cztery stopy, ale nie byłem na to przygotowany. Padłem na ziemię jak worek grochu.

Potem usłyszałem głos:

– Skąd się pan tu wziął, do diabła?

Pytanie zadał mężczyzna po czterdziestce, łysy, ale dobrze zbudowany i żylasty. Stał przede mną z rękami na biodrach. Wyglądał na inteligentnego i dobrodusznego faceta, ale w tym momencie był na mnie wyraźnie rozgniewany.

Podniosłem się i odkryłem, że siedzę na granitowym żwirze i sosnowym igliwiu. Mężczyźnie towarzyszyła kobieta, sympatyczna i ładna, nieco młodsza od niego. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem, ale się nie odezwała.

– Co to za miejsce? – zapytałem głupio.

Mogłem wprawdzie zapytać: „Co to za rok?”, ale zabrzmiałoby to jeszcze głupiej, a ponadto nawet o tym nie pomyślałem. Natychmiast się zorientowałem, w jakie czasy nie trafiłem – byłem pewny, że to nie jest rok 1970. Ani nie pozostałem w roku 2001; wtedy w takich strojach

paradowano tylko na plażach. Tak więc najwyraźniej przemieściłem się w niewłaściwym kierunku.

Ponieważ ta para nie miała na sobie niczego prócz eleganckiej opalenizny. Nawet figowego listka. Pomimo to najwyraźniej im to wystarczało. Z pewnością nie czuli się ani trochę skrępowani.

– Po kolei – odparł mężczyzna. – Zapytałem, skąd się pan tu wziął. – Zerknął w górę. – Nie zostawił pan spadochronu na drzewie, co? Tak czy inaczej, co pan tu robi? To ogrodzony prywatny teren, a pan tutaj wtargnął. I czemu pan paraduje w stroju na Mardi Gras?

Nie widziałem niczego niewłaściwego w moim ubraniu – szczególnie w porównaniu z tym, jak oni w tej chwili wyglądali. Mimo to nie odpowiedziałem. Inne czasy, inne obyczaje – wiedziałem, że będę miał kłopoty.

Kobieta położyła dłoń na jego ramieniu.

– Zostaw go, John – powiedziała łagodnie. – Chyba coś sobie zrobił.

Spojrzał na nią, a potem przeszył mnie wzrokiem.

– Coś się panu stało?

Spróbowałem wstać i udało mi się to.

– Nie sądzę. Może nabiłem sobie kilka siniaków. Hm, jaki dziś mamy dzień?

– Proszę? No przecież to pierwsza niedziela maja. Chyba trzeci maja. Mam rację, Jenny?

– Tak, kochanie.

– Posłuchajcie – powiedziałem pospiesznie. – Bardzo mocno uderzyłem się w głowę. Jestem zdezorientowany. Jaki mamy dziś dzień? Jaki miesiąc i rok?

– Co?

Powinienem był trzymać język za zębami, aż sam to ustalę na podstawie jakiegoś kalendarza lub gazety. Jednak musiałem to wiedzieć natychmiast; nie zniósłbym czekania.

– Jaki mamy rok?

– Bracie, rzeczywiście uderzyłeś się w głowę. To rok 1970.

Zauważyłem, że znów ze zdziwieniem spogląda na moje ubranie.

Poczułem niewiarygodną ulgę. Udało się, udało! Jeszcze nie jest za późno.

– Dzięki – powiedziałem. – Jestem wam bardzo wdzięczny. Nie macie pojęcia, jak bardzo.

Mężczyzna nadal patrzył na mnie tak, jakby zamierzał wezwać policję, więc nerwowo dodałem:

– Często miewam nagłe ataki amnezji. Kiedyś zapomniałem, hmm… całe pięć lat.

– Rozumiem, że to może być niepokojące – rzekł powoli. – Czy czuje się pan na tyle dobrze, żeby odpowiedzieć na moje pytania?

– Nie męcz go, kochanie – powiedziała łagodnie kobieta. – Wygląda na miłego człowieka. Myślę, że się zgubił.

– Zobaczymy. A więc?

– Czuję się dobrze… teraz. Ale przed chwilą byłem oszołomiony.

– W porządku. Jak się pan tu dostał? I dlaczego jest pan tak ubrany?

– Prawdę mówiąc, nie wiem, jak tu trafiłem. I nie mam pojęcia, gdzie jestem. Te ataki są nagłe. A co do mojego ubioru… chyba można nazwać go ekscentrycznym. Hm, podobnie jak państwa strój. Czy jego brak.

Spojrzał na siebie i uśmiechnął się.

– Och, tak. Zdaję sobie sprawę, że sposób, w jaki moja żona i ja się ubieramy… lub nie… w pewnych okolicznościach wymagałby wyjaśnień. Jednak wolimy, żeby wyjaśnień udzielali intruzi. Ponieważ pan nim tu jest,

i to niezależnie od ubioru, a nie my. Jesteśmy na terenie Klubu Słońca w Kolorado.

John i Jenny Sutton byli parą inteligentnych, zrównoważonych i przyjaznych ludzi, którzy nawet zaakceptowaliby trzęsienie ziemi w porze obiadowej. John najwyraźniej nie był usatysfakcjonowany moimi mętnymi wyjaśnieniami i chciał wziąć mnie w krzyżowy ogień pytań, ale Jenny go powstrzymała. Trzymałem się bajeczki o „atakach amnezji" i twierdziłem, iż ostatnie, co pamiętam, to wczorajszy wieczór w New Brown Palace w Denver. W końcu John rzekł:

– No cóż, to interesujące, a nawet ekscytujące; przypuszczam, że ktoś jadący do Boulder może tam cię podwieźć, a stamtąd autobusem wrócisz do Denver. – Znów na mnie spojrzał. – Ale jeśli przyprowadzę cię do budynku klubu w takim stroju, ludzie będą bardzo, bardzo zdziwieni.

Spojrzałem na siebie. Czułem się trochę nieswojo z powodu tego, że ja byłem ubrany, a oni nie… tak jakby to brak ubrania był czymś naturalnym.

– John… czy ułatwiłoby sprawę, gdybym również się rozebrał?

Ta perspektywa wcale mnie nie niepokoiła. Nigdy nie byłem na obozie nudystów, bo nie miało to dla mnie sensu. Spędziłem jednak z Chuckiem parę weekendów w Santa Barbara i jeden w Laguna Beach, gdzie nagie ciało na plaży ma sens naturalny, w przeciwieństwie do ubrania.

Skinął głową.

– Z pewnością tak.

– Kochanie – powiedziała Jenny – mógłby być naszym gościem.

– Hmm… tak. Ukochana, bądź tak dobra i przejdź się po terenie. Porozmawiaj z ludźmi i napomknij, że oczekujemy gościa z… skąd właściwie pochodzisz, Danny?

– Eee, z Kalifornii. Z Los Angeles. Stamtąd jestem.

O mało co nie powiedziałem: „Wielkiego Los Angeles”. Uświadomiłem sobie, że będę musiał uważać, co mówię. „Kina” już nie były „multikinami”.

– Jesteś Danny z Los Angeles. To wystarczy; tu nie używamy nazwisk, chyba że ktoś chce, żeby tak się do niego zwracać. Tak więc przedstaw to jako coś, kochanie, o czym wszyscy już powinni wiedzieć. Powiedz, że za pół godziny mamy się spotkać przy bramie. Zamiast tam przyjdź tutaj. I przynieś moją torbę podróżną.

– Po co ta torba, kochanie?

– Schowamy w niej ten maskaradowy kostium. Strasznie rzuca się w oczy, nawet u takiego ekscentryka, za jakiego podaje się Danny.

Wstałem i natychmiast poszedłem za krzaki, żeby się rozebrać, ponieważ po odejściu Jenny Sutton nie mógłbym wytłumaczyć tego poczuciem przyzwoitości. Musiałem zrobić to w ukryciu; nie mogłem rozebrać się przy nich i ujawnić, że mam przy sobie dwadzieścia tysięcy dolarów w złocie, licząc po kursie z 1970 roku, czyli sześćdziesiąt dolarów za uncję. Nie trwało to długo, gdyż po kłopotach, jakie miałem z przygotowaniem się do kąpieli, splotłem z drutu pas, którym spiąłem się w talii, zrobiwszy pętle na obu końcach.

Teraz zdjąłem ubranie, zawinąłem w nie złoto i usiłowałem udawać, że całość waży tyle, ile same ciuchy. John Sutton zerknął na tobołek, ale nic nie powiedział. Zaproponował mi dymka – miał paczkę wetkniętą za opaskę na łydce. Tej marki papierosów nie spodziewałem się znów zobaczyć.

Pomachałem papierosem w powietrzu, ale się nie zapalił. Tak więc pozwoliłem, by John podał mi ogień.

– A teraz – rzekł cicho – kiedy jesteśmy sami, czy masz mi może coś do powiedzenia? Jeśli mam poręczyć za ciebie w klubie, muszę mieć pewność, że nie narobisz nam kłopotów.

Zaciągnąłem się. Dym podrażnił mi gardło.

– John, nie sprawię wam żadnych kłopotów. To ostatnia rzecz na świecie, której chcę.

– Hmm… zapewne. Zatem trzymamy się „ataków amnezji”?

Zastanowiłem się nad tym. Byłem w niezwykle trudnej sytuacji. Ten człowiek miał prawo znać prawdę. Tylko z pewnością by w nią nie uwierzył… przynajmniej ja na jego miejscu nie. Jednakże byłoby znacznie gorzej, gdyby mimo wszystko uwierzył; to wywołałoby zamieszanie, którego chciałem uniknąć. Zapewne gdybym był prawdziwym podróżnikiem w czasie, realizującym misję naukową, może szukałbym rozgłosu, zaprezentowałbym jakiś niezbity dowód na prawdziwość mych słów i zażądałbym przeprowadzenia badań.

Jednak nie byłem nikim takim; byłem zwyczajnym i niezbyt przykładnym obywatelem zajmującym się czymś, na co nie chciałem zwracać niczyjej uwagi. Szukałem po prostu swoich Drzwi do Lata, najdyskretniej jak to możliwe.

– John, gdybym ci powiedział, i tak byś mi nie uwierzył.

– Hmm… być może. Jednak widziałem, jak człowiek spada z pustego nieba… i po upadku na ziemię nie odnosi żadnych obrażeń. Ma na sobie dziwaczny strój. Nie wie, gdzie jest i jaki mamy dzień. Danny, tak jak większość ludzi czytałem książki Charlesa Forta. Nigdy nie przypuszczałem, że zetknę się z czymś takim. Skoro jednak się zetknąłem, nie sądzę, by można to wyjaśnić w tak prosty sposób jak karciane sztuczki. A więc?

– John, coś, co mówiłeś wcześniej – pewne twoje sformułowania – sugeruje, że jesteś prawnikiem.

– Tak, jestem. Czy to istotne?

– Czy naszą rozmowę możesz potraktować jako poufną?

– Hmm… prosisz mnie, żebym cię reprezentował?

– Jeśli tak chcesz to ująć. Prawdopodobnie będę potrzebował porady.

– Mów. Poufnie.

– W porządku. Jestem z przyszłości. Podróżowałem w czasie.

Przez długą chwilę się nie odzywał. Leżeliśmy wyciągnięci na słońcu. Ja usiłowałem się rozgrzać; maj w Kolorado jest słoneczny, lecz chłodny. John Sutton wydawał się przyzwyczajony do tego i po prostu odpoczywał, gryząc sosnową igłę.

– Masz rację – odparł. – Nie wierzę w to. Zostańmy przy tych „atakach amnezji”.

– Mówiłem, że nie uwierzysz.

Westchnął.

– Powiedzmy, że nie chcę. Nie chcę wierzyć w duchy, reinkarnację i całe to postrzeganie pozazmysłowe. Lubię proste fakty, które mogę zrozumieć. Chyba jak większość ludzi. Tak więc przede wszystkim radzę, żeby ta rozmowa pozostała poufna. Nie ujawniaj tego ludziom.

– To mi odpowiada.

Obrócił się na bok.

– Myślę jednak, że dobrze byłoby spalić ten strój. Znajdę ci jakieś ubranie. Czy te rzeczy da się spalić?

– Hmm, z trudem. Stopią się.

– Buty możesz włożyć. Przeważnie chodzimy w butach, a te ujdą. Gdyby ktoś o nie pytał, powiedz, że są robione na zamówienie. Obuwie zdrowotne.

– Jedno i drugie jest prawdą.

– W porządku. – I zanim zdążyłem go powstrzymać, zaczął rozwijać mój tobołek. – Co, do licha!

Było za późno, więc pozwoliłem, by odkrył prawdę.

– Danny – odezwał się dziwnym głosem – czy to jest to, na co wygląda?

– A na co wygląda?

– Na złoto.

– Tak.

– Skąd je wziąłeś?

– Kupiłem.

Pomacał drut, zbadał jego miękkość, jak się bada kit, a potem zważył go w ręce.

– O rany! Danny… posłuchaj mnie uważnie. Zadam ci jedno pytanie i musisz cholernie dobrze się zastanowić, zanim mi na nie odpowiesz. Ponieważ nie chcę klienta, który mnie okłamuje. Z takich natychmiast rezygnuję. I nie chcę brać udziału w jakimś przestępstwie. Czy to złoto uzyskałeś w legalny sposób?

– Tak.

– Nie znasz Ustawy o rezerwie złota z 1968 roku?

– Znam. Nabyłem je legalnie. I zamierzam je zamienić na dolary w mennicy w Denver.

– Masz może licencję jubilera?

– Nie. John, powiedziałem ci prawdę, możesz mi wierzyć lub nie. Tam, skąd przybyłem, można je kupić w sklepie i jest to równie legalne jak oddychanie. Teraz chcę jak najszybciej wymienić je na gotówkę. Wiem, że nie mogę go zatrzymać, bo tego zabrania prawo. Co mi mogą zrobić, jeśli położę je na ladzie w mennicy i każę zważyć?

– Nic, na dłuższą metę… jeżeli będziesz obstawał przy „atakach amnezji”. Wcześniej mogą ci jednak uprzykrzyć życie. – Spojrzał na złoto.

– Sądzę, że powinieneś umazać je ziemią.

– Zakopać je?

– Nie musisz posuwać się tak daleko. Jeżeli jednak powiedziałeś mi prawdę, to mów, że znalazłeś je w górach. To tam poszukiwacze złota zwykle znajdują złoto.

– Cóż… skoro tak uważasz. Nie mam nic przeciwko takiemu niewinnemu kłamstwu, ponieważ to złoto nabyłem najzupełniej legalnie.

– Ale czy to rzeczywiście kłamstwo? Kiedy po raz pierwszy zobaczyłeś to złoto? Którego dnia znalazło się w twoim posiadaniu? Podaj najwcześniejszą datę.

Spróbowałem sobie przypomnieć. Było to w tym dniu, w którym wyjechałem z Yumy, czyli w maju 2001 roku. Jakieś dwa tygodnie temu…

Hurra!

– Jeśli tak stawiać sprawę, John… najwcześniejsza data to… dzisiaj, trzeciego maja 1970 roku.

Skinął głową.

– Zatem znalazłeś je w górach.

Suttonowie zamierzali pozostać tam do poniedziałku rano, więc im towarzyszyłem. Inni członkowie klubu zachowywali się przyjaźnie i wykazywali znamiennie nikłe zainteresowanie moimi prywatnymi sprawami, o wiele mniejsze niż jakakolwiek grupa ludzi, którą dotychczas spotkałem. Później dowiedziałem się, że takie zachowanie jest niepisanym zwyczajem nudystów, ale wtedy wydali mi się najdyskretniejszymi i najuprzejmiejszymi ludźmi na świecie.

John i Jenny mieli własny domek, a ja spałem na pryczy w klubowej sypialni. Było cholernie zimno. Następnego ranka John dał mi koszulę

i dżinsy. Moje ubranie z zawiniętym w nie złotem spoczywało w torbie w bagażniku jego samochodu – ten jaguar imperator dobitnie potwierdził, że John nie jest jakimś marnym krętaczem. Tego dowiodło już jednak jego zachowanie.

Zatrzymałem się na noc w ich domu i we wtorek miałem już trochę pieniędzy. Już nigdy nie zobaczyłem mojego złota, lecz w ciągu kilku następnych tygodni otrzymałem partiami od Johna dokładną równowartość kruszcu w dolarach, z potrąceniem standardowej prowizji licencjonowanych handlarzy złotem. Wiem, że nie sprzedawał go bezpośrednio mennicy, ponieważ po każdej transakcji przekazywał mi kwity z punktów skupu. Sam nie pobierał opłaty za swoje usługi i nigdy nie podawał mi żadnych szczegółów.

Te mnie nie interesowały. Gdy znów miałem gotówkę, zabrałem się do pracy. Jeszcze we wtorek 5 maja 1970 roku Jenny obwiozła mnie po mieście i w starej dzielnicy handlowej wynająłem niewielkie mieszkanie na poddaszu. Wyposażyłem je w deskę kreślarską, stół warsztatowy, pryczę z demobilu i niewiele więcej; były tam prąd, gaz, bieżąca woda i łatwo się zapychająca toaleta. Niczego więcej nie potrzebowałem, a musiałem oszczędzać każdego centa.

Projektowanie starą metodą za pomocą cyrkla i przykładnicy było praco- i czasochłonne, a ja nie miałem ani minuty do stracenia, więc najpierw skonstruowałem Dokładnego Dana, a potem przerobiłem Fenomenalnego Franka. Tylko że ten ostatni zmienił się w Polifunkcyjnego Pete’a, wieloczynnościowy automat, który przy odpowiednim zaprogramowaniu modułów pamięci Thorsena mógł robić niemal wszystko to, co człowiek. Wiedziałem, że Polifunkcyjny Pete się zmieni; jego potomkowie rozwiną się w całą armię wyspecjalizowanych urządzeń, ale chciałem maksymalnie rozszerzyć zastrzeżenia patentowe.

Przy zgłoszeniu patentowym nie wymaga się przedstawienia działającego urządzenia, wystarczą rysunki i opis. Ja jednak potrzebowałem dobrych modeli, doskonale działających i gotowych do pokazów, ponieważ miały sprzedawać się same, dzięki swojej przydatności i bezsprzecznym korzyściom. Zostały zaprojektowane tak, by nie tylko działały, ale również stanowiły dobrą inwestycję – urząd patentowy jest zarzucony wynalazkami, które są bezwartościowe z komercyjnego punktu widzenia.

Praca szła szybko i wolno jednocześnie – szybko, ponieważ doskonale wiedziałem, co robię, a wolno, ponieważ nie miałem porządnego warsztatu ani fachowej pomocy. W końcu niechętnie sięgnąłem do oszczędności i wypożyczyłem kilka elektronarzędzi, a wtedy zaczęło mi iść lepiej. Pracowałem od rana do nocy, siedem dni w tygodniu, z wyłączeniem jednego weekendu w miesiącu, który spędzałem z Johnem i Jenny w ich klubie nagusów opodal Boulder. Pierwszego września oba modele działały już jak należy, więc mogłem zabrać się do rysunków i opisów. Zaprojektowałem i zleciłem sporządzenie ładnych lakierowanych powłok dla obu modeli, i kazałem pokryć chromem ruchome części; tylko te elementy zostały zrobione na zamówienie, bo choć z bólem wydałem te pieniądze, uznałem to za konieczne. Och, wykorzystałem bardzo wiele komponentów z katalogów; sam nie zdołałbym ich skonstruować, a ponadto gdybym je zrobił, nie byłyby łatwo dostępne. Jednak niechętnie płaciłem za te upiększenia.

Nie miałem wiele wolnego czasu, i dobrze. Pewnego dnia, kupując serwomotor, natknąłem się na faceta, którego znałem jeszcze z Kalifornii. Powitał mnie, a ja odruchowo mu odpowiedziałem.

– Hej, Dan! Danny Davis! To niesamowite, że na ciebie wpadłem. Myślałem, że jesteś w Mojave.

Uścisnąłem mu dłoń.

– To tylko krótka podróż służbowa. Za kilka dni wracam.

– Ja wracam dzisiaj po południu. Zadzwonię do Milesa i powiem mu, że cię spotkałem.

Zrobiłem zaniepokojoną minę – i wcale nie udawałem.

– Nie rób tego, proszę.

– Dlaczego? Czyżbyście nie byli już najlepszymi kumplami?

– No cóż… Słuchaj, Mort, Miles nie wie, że tu jestem. Miałem polecieć do Albuquerque w interesach. Przy okazji jednak skoczyłem tutaj, w najzupełniej osobistej, prywatnej sprawie. Kapujesz? To nie ma nic wspólnego z firmą. I wolałbym nie rozmawiać o tym z Milesem.

Spojrzał na mnie ze zrozumieniem.

– Problem z kobietą?

– No… tak.

– Mężatka?

– Można tak powiedzieć.

Szturchnął mnie w żebra i mrugnął.

– Łapię. Stary Miles jest piekielnie purytański, nie? W porządku, będę cię krył, a kiedyś mi się zrewanżujesz. Niezła jest?

Chętnie pokryłbym cię warstwą ziemi, ty łajzo, stwierdziłem w duchu. Mort był typem bezczelnego komiwojażera, który więcej czasu poświęca podrywaniu kelnerek niż klientom – zresztą wciskał im rzeczy równie kiepskie jak on sam.

Pomimo to postawiłem mu drinka, uraczyłem bajeczkami o „mężatce” i wysłuchałem jego przechwałek o wątpliwych miłosnych podbojach. Potem się zmyłem.

Innym razem próbowałem postawić drinka doktorowi Twitchellowi, lecz nie zdołałem.

Usiadłem niechcący obok niego przy części barowej sklepu na Champa Street, po czym zauważyłem jego odbicie w lustrze. W pierwszej chwili chciałem schować się pod stołem.

Potem wziąłem się w garść i pojąłem, że ze wszystkich ludzi żyjących w roku 1970 jego jedynego najmniej mogłem się obawiać. Nic nie mogło się stać, ponieważ nic się nie stało… to znaczy nic by się nie stało. Nie… Dałem sobie spokój z ujęciem tego w słowa, uświadamiając sobie, że jeśli podróże w czasie zyskają popularność, to angielska gramatyka będzie musiała wzbogacić się o cały szereg nowych czasów do opisywania zdarzeń – koniugacji, przy których francuskie i łacińskie czasy przeszłe będą wydawały się zupełnie proste.

W każdym razie w przeszłości, przyszłości czy kiedy indziej Twitchell nie był dla mnie zagrożeniem. Mogłem się odprężyć.

Przyglądałem się jego twarzy w lustrze, zastanawiając się, czy nie zwiodło mnie przypadkowe podobieństwo. Jednak nie. Twitchell nie miał tak pospolitej twarzy jak moja; takie wyraziste, emanujące pewnością siebie i lekką arogancją rysy mógłby mieć Zeus. Widziałem tę twarz zniszczoną balastem przeżyć, ale nie miałem cienia wątpliwości, że to on – skręciłem się na myśl o tym, jak paskudnie go potraktowałem. Zastanawiałem się, jak mógłbym mu to wynagrodzić.

Twitchell zauważył, że przyglądam mu się w lustrze, i obrócił się ku mnie.

– Coś nie tak?

– Nie. Hm… pan doktor Twitchell, prawda? Z uniwersytetu?

– Tak, uniwersytetu w Denver. Czy my się znamy?

O mało co popełniłbym błąd, zapomniawszy, że w tym roku wykładał na uniwersytecie w tym mieście. Trudno pamiętać jednocześnie fakty z przeszłości i przyszłości.

– Nie, panie doktorze, ale chodziłem na pańskie wykłady. Można rzec, że jestem jednym z pana wielbicieli.

Skrzywił usta w półuśmiechu, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Z tego i z innych drobiazgów wywnioskowałem, że jeszcze nie rozwinęła się u niego nieodparta potrzeba imponowania innym; teraz jeszcze wierzył w siebie i potrzebował tylko własnego uznania.

– Jest pan pewny, że nie pomylił mnie pan z jakąś gwiazdą filmową?

– Och, nie! Jest pan doktorem Hubertem Twitchellem… tym wielkim fizykiem.

Znowu się skrzywił.

– Powiedzmy, że jestem fizykiem. Czy raczej staram się nim być.

Rozmawialiśmy przez chwilę i usiłowałem podtrzymać rozmowę, kiedy skończył jeść kanapkę. Oznajmiłem, że byłby to dla mnie zaszczyt, gdybym mógł postawić mu drinka. Potrząsnął głową.

– Prawie wcale nie piję, a już nigdy przed zmrokiem. Pomimo to dziękuję. Miło mi było pana poznać. Proszę wpaść do mojego laboratorium, jeśli będzie pan kiedyś w kampusie.

Powiedziałem, że wpadnę.

Nie popełniłem jednak wielu błędów w roku 1970 (za tym drugim razem), ponieważ dobrze go rozumiałem, a większość osób, które mogły mnie rozpoznać, przebywała w Kalifornii. Postanowiłem, że jeśli znów zobaczę kogoś znajomego, obrzucę go zimnym spojrzeniem i szybko spławię – lepiej nie ryzykować.

Jednak drobiazgi również mogą sprawiać kłopoty. Tak jak wtedy, gdy przyciąłem się zamkiem błyskawicznym, ponieważ przywykłem już do wygodniejszych i znacznie bezpieczniejszych zamknięć przylepeksowych. Brakowało mi wielu takich drobiazgów, których istnienie w ciągu zaledwie sześciu miesięcy zacząłem uważać za coś oczywistego. Golenie – znów

musiałem się golić! A raz nawet się przeziębiłem. Ten okropny upiór przeszłości powrócił, ponieważ zapomniałem, że ubranie może przemoknąć na deszczu. Chciałbym, żeby ci wspaniali esteci, którzy szydzą z postępu i wychwalają niezrównane cuda przeszłości, znaleźli się tu razem ze mną – talerze, na których stygną potrawy, koszule, które trzeba prasować, lustra w łazience, które zachodzą parą, kiedy chcesz się w nich przejrzeć, cieknące nosy, brud pod nogami i w płucach. Przywykłem już do lepszego życia i rok 1970 był dla mnie pasmem drobnych niedogodności, dopóki znowu się nie przyzwyczaiłem.

Jednak pies przyzwyczaja się do swoich pcheł i ze mną było podobnie. Denver z roku 1970 było osobliwym miastem o delikatnym staroświeckim kolorycie; bardzo je polubiłem. W niczym nie przypominało uładzonego labiryntu Nowego Planu, jakim było (a raczej będzie), kiedy przyjechałem (a raczej przyjadę) tam z Yumy; wciąż liczyło niecałe dwa miliony mieszkańców, nadal kursowały w nim autobusy oraz inne pojazdy kołowe, gdyż nadal były tu ulice. Bez trudu odnalazłem Colfax Avenue.

Denver jeszcze oswajało się z tym, że jest siedzibą rządu, i niezbyt dobrze czuło się w tej nowej roli, jak chłopiec w swoim pierwszym garniturze. Jego duch wciąż tęsknił za butami na wysokich obcasach i westernowym slangiem, choć wiedział, że musi dorosnąć i zostać międzynarodową metropolią z ambasadami, szpiegami i słynnymi drogimi restauracjami. Miasto gwałtownie się rozbudowywało we wszystkich kierunkach, aby pomieścić biurokratów, lobbystów, pośredników, maszynistki i lokajów; budynki stawiano tak szybko, że zawsze istniało niebezpieczeństwo, iż we wnętrzu któregoś zamurują krowę. Mimo to miasto rozciągnęło się jedynie kilka mil za Aurorę na wschodzie, do Henderson na północy i Littleton na południu – wciąż było jeszcze dużo

niezabudowanych terenów aż do Air Academy. Oczywiście na zachodzie miasto dotarło do gór i federalne biura wgłębiały się w ich zbocza.

Podobało mi się Denver w latach jego federalnego rozwoju. Pomimo to rozpaczliwie chciałem wrócić do moich czasów.

Wszystko zawsze sprowadzało się do szczegółów. Wyleczyłem sobie wszystkie zęby zaraz po tym, jak zatrudniono mnie w Służce i było mnie na to stać. Nie spodziewałem się, że kiedykolwiek jeszcze będę miał do czynienia z technikiem dentystycznym. Jednak w 1970 roku nie miałem tabletek przeciwpróchniczych i zrobiła mi się w zębie dziura, bolesna, bo w przeciwnym razie bym ją zignorował. Tak więc poszedłem do dentysty. Naprawdę zapomniałem o tym, co zobaczy, kiedy zajrzy mi do jamy ustnej. Zamrugał, poruszał dookoła lusterkiem i powiedział:

– Na Jozafata! Kto był pańskim dentystą?

– Chto chył cho?

Wyjął ręce z moich ust.

– Kto to zrobił? I jak?

– Co? Chodzi panu o moje zęby? Och, to eksperymentalny zabieg wykonywany w… Indiach.

– Jak oni to zrobili?

– A skąd mam wiedzieć?

– Hmm… proszę chwilę poczekać. Muszę zrobić kilka zdjęć.

Zaczął manipulować przy swoim aparacie rentgenowskim.

– O nie – zaprotestowałem. – Proszę tylko oczyścić dziurę w tym trzonowcu, załatać ją czymś i wypuścić mnie stąd.

– Ale…

– Przepraszam, doktorze, ale bardzo mi się spieszy.

Zrobił więc to, co mu kazałem, przerywając niekiedy, aby podziwiać moje zęby. Zapłaciłem gotówką i nie zostawiłem nazwiska. Pewnie mogłem

mu pozwolić zrobić zdjęcia, ale ukrywanie prawdy weszło mi w krew. Nic by nie zaszkodziło, gdyby je sfotografował. Ani też nie pomogło, gdyż prześwietlenie nie wykazałoby, w jaki sposób przeprowadzono regenerację, a ja też nie mogłem mu tego powiedzieć.

Jeżeli chodzi o załatwianie spraw, to nie ma jak przeszłość. Pocąc się po szesnaście godzin na dobę nad Dokładnym Danem i Polifunkcyjnym Pete'em, jednocześnie robiłem lewą ręką coś jeszcze. Za pośrednictwem kancelarii prawniczej Johna anonimowo zleciłem agencji detektywistycznej o ogólnokrajowym zasięgu szperanie w przeszłości Belle. Podałem im jej adres, numer rejestracyjny i model samochodu (ponieważ z kierownicy łatwo zdjąć odciski palców) oraz zasugerowałem, że mogła być już zamężna i może notowana przez policję. Miałem mocno ograniczony budżet; nie stać mnie było na tak szeroko zakrojone poszukiwania, o jakich czyta się w książkach.

Kiedy przez dziesięć dni nie otrzymałem od nich żadnej wiadomości, pogodziłem się ze stratą tych pieniędzy. Jednak kilka dni później do kancelarii Johna dostarczono grubą kopertę.

Belle rzeczywiście sporo zrobiła w życiu. Urodziła się sześć lat wcześniej, niż to podawała, i dwukrotnie wyszła za mąż, zanim ukończyła osiemnaście lat. Jeden z tych związków się nie liczył, ponieważ ten mężczyzna już miał żonę; agencja nie zdołała odkryć, czy rozwiodła się z drugim.

Najwyraźniej od tamtej pory wychodziła za mąż czterokrotnie, aczkolwiek jedno z małżeństw wzbudzało wątpliwości; być może próbowała tylko naciągnąć ubezpieczalnię na wdowią rentę po żołnierzu, który zginął i nie mógł się temu sprzeciwić. Z innym wzięła rozwód (z jej winy), a kolejny zmarł. Być może nadal była „żoną" pozostałych.

Policyjna kartoteka Belle była spora i interesująca, ale prawdopodobnie tylko raz została skazana za przestępstwo, w Nebrasce, gdzie dostała wyrok w zawieszeniu. Ustalono to tylko dzięki odciskom palców, ponieważ natychmiast naruszyła warunki zwolnienia: znikła, zmieniła nazwisko i zdobyła nowy numer polisy ubezpieczeniowej. Agencja pytała, czy ma zawiadomić o tym władze w Nebrasce.

Powiedziałem im, żeby się nie trudzili; minęło już dziewięć lat, a skazano ją tylko za naciąganie naiwniaków. Co zrobiłbym, gdyby handlowała narkotykami? Impulsywne decyzje mają konsekwencje.

Sporządzanie rysunków trwało dłużej, niż przewidywałem, i nim się zorientowałem, nadszedł październik. Opisy miałem gotowe zaledwie w połowie, ponieważ wymagały gotowych rysunków, i nie opracowałem żadnych zastrzeżeń patentowych. Co gorsza, nawet nie zabrałem się do tego, gdyż nie mogłem nic zrobić, nie zakończywszy pracy. Nie miałem także czasu na nawiązanie kontaktów. Zaczynałem podejrzewać, że powinienem był poprosić doktora Twitchella o przemieszczenie mnie o co najmniej trzydzieści dwa lata zamiast o trzydzieści jeden lat i te głupie trzy tygodnie; źle wyliczyłem potrzebny mi czas i przeceniłem swoje możliwości.

Nie pokazałem Suttonom moich zabawek, nie z chęci ukrycia ich przed nimi, ale ponieważ chciałem uniknąć czczego gadania i bezużytecznych rad, dopóki nie skończę pracy. W ostatnią sobotę września miałem jechać z nimi do klubu. Ponieważ usiłowałem nadrobić opóźnienie, poprzedniego dnia harowałem do późnej nocy, po czym wcześnie rano zbudził mnie okropnie jazgoczący budzik, żebym się ogolił i przygotował do wyjazdu. Wyłączyłem tego małego sadystę i podziękowałem Bogu, że do roku 2001

ludzie pozbyli się tych okropnych urządzeń. Zwlokłem się z łóżka i zszedłem do sklepu na rogu, żeby zatelefonować i powiedzieć im, że nie mogę jechać, bo mam mnóstwo pracy.

Telefon odebrała Jenny.

– Zbyt ciężko pracujesz, Danny. Weekend na wsi dobrze ci zrobi.

– Nie mogę, Jenny. Muszę zostać. Przepraszam.

John podniósł słuchawkę drugiego aparatu i rzucił:

– Co to za bzdury?

– Muszę pracować, John. Po prostu muszę. Pozdrów ode mnie wszystkich.

Wróciłem na górę, przypaliłem kilka grzanek i zwulkanizowałem parę jajek, po czym znów zabrałem się do Dokładnego Dana.

Godzinę później zapukali do moich drzwi.

W ten weekend nikt z nas nie pojechał w góry. Zamiast tego zademonstrowałem im oba urządzenia. Dokładny Dan nie zrobił na Jenny wielkiego wrażenia (nie jest wynalazkiem dla kobiety, chyba że ta jest inżynierem), ale była urzeczona Polifunkcyjnym Pete’em. Sama miała w domu Służkę, Typ II, więc mogła ocenić, ile więcej potrafi zrobić moja maszyna.

John jednak docenił Dokładnego Dana. Kiedy pokazałem mu, jak po wciśnięciu kilku klawiszy – przyznaję, że to przećwiczyłem – automat umie złożyć mój podpis, niczym nieróżniący się od oryginalnego, uniósł brwi.

– Kolego, tysiące kreślarzy straci przez ciebie pracę.

– Nie, bynajmniej. W tym kraju z każdym rokiem coraz bardziej brakuje utalentowanych konstruktorów; ten gadżet wypełni lukę. Za dwadzieścia lat zobaczysz to narzędzie w każdym biurze projektowym czy pracowni architektonicznej. Bez niego będą tak bezradni, jak współczesny mechanik bez elektronarzędzi.

– Mówisz to tak, jakbyś to wiedział na pewno.

– Bo wiem.

Spojrzał na Polifunkcyjnego Pete’a – któremu kazałem uprzątnąć stół warsztatowy – a potem znów na Dokładnego Dana.

– Danny… czasami myślę, że może powiedziałeś mi prawdę, no wiesz, w dniu, w którym się poznaliśmy.

Wzruszyłem ramionami.

– Nazwij to przeczuciem… ale ja to wiem. Jestem tego pewny. Czy to ważne dlaczego?

– Chyba nie. Co zamierzasz zrobić z tymi urządzeniami?

Zmarszczyłem brwi.

– W tym rzecz, John. Jestem dobrym inżynierem i w razie potrzeby niezłym mechanikiem. Natomiast nie jestem biznesmenem, o czym sam się przekonałem. Nigdy nie zajmowałeś się prawem patentowym?

– Już ci to mówiłem. To zajęcie dla specjalisty.

– Czy znasz jakiegoś uczciwego? A na dodatek bystrego? Doszedłem do punktu, w którym muszę skorzystać z usług kogoś takiego. Ponadto muszę założyć własną firmę. I zadbać o finanse. Jednak mam na to niewiele czasu, a ten strasznie mnie nagli.

– Dlaczego?

– Wracam tam, skąd przybyłem.

Usiadł i przez długą chwilę nic nie mówił. W końcu spytał:

– Ile zostało ci czasu?

– Hm, około dziewięciu tygodni. Dokładnie dziewięć tygodni od nadchodzącego czwartku.

Spojrzał na obie maszyny, a potem znów na mnie.

– Lepiej zmień plany. Powiedziałbym, że masz przed sobą pracy raczej na dziewięć miesięcy. I nawet wtedy jeszcze nie zaczniesz produkcji – jeśli

dopisze ci szczęście, zaledwie przygotujesz wszystko do jej rozpoczęcia.

– Nie mogę, John!

– Jasne, że nie możesz.

– To znaczy, że nie mogę zmienić swoich planów. Nie mam na to wpływu… teraz.

Skryłem twarz w dłoniach. Byłem śmiertelnie zmęczony, już od dawna spałem mniej niż pięć godzin na dobę. W tym stanie byłem gotów uwierzyć w przeznaczenie, przeciwko któremu człowiek może się buntować, ale którego nie zdoła zmienić.

Spojrzałem na Johna.

– Zajmiesz się tym?

– Co? Czym konkretnie?

– Wszystkim. Ja zrobiłem, co mogłem.

– To poważna sprawa, Dan. Mógłbym cię wykiwać. Wiesz o tym, prawda? A to może być kopalnia złota.

– Będzie nią. Ja to wiem.

– Zatem dlaczego miałbyś mi zaufać? Byłoby lepiej, gdybyś mnie zatrudnił jako prawnika, któremu płaciłbyś za porady.

Próbowałem się nad tym zastanowić, ale bolała mnie głowa. Już raz wybrałem sobie wspólnika… ale, niech to diabli, obojętnie, ile razy poparzysz sobie palce, musisz ufać ludziom. Inaczej stajesz się pustelnikiem żyjącym w jaskini i zawsze sypiającym z jednym otwartym okiem. Nigdy nie jest się stuprocentowo bezpiecznym; samo życie jest straszliwie niebezpieczne… i kończy się śmiercią.

– Do licha, John, przecież znasz odpowiedź na to pytanie. Ty mi zaufałeś. Teraz znów potrzebuję twojej pomocy. Pomożesz mi?

– Oczywiście, że ci pomoże – wtrąciła łagodnie Jenny – chociaż nie słyszałam, o czym rozmawialiście. Danny, czy on umie zmywać naczynia?

Wszystkie naczynia w twoim zlewie są brudne.

– Co takiego, Jenny? Cóż, zapewne umie. Tak, oczywiście, że umie.

– Więc każ mu pozmywać, proszę. Chcę to zobaczyć.

– Och. Nie zaprogramowałem go na to. Zajmę się tym, jeśli chcesz. Tylko że trzeba kilku godzin, żeby zrobić to jak należy. Oczywiście później już zawsze będzie to umiał. Jednak za pierwszym razem… widzisz, zmywanie wiąże się z dokonywaniem wielu wyborów. Wymaga „oceny sytuacji”, nie jest stosunkowo prostym i rutynowym zajęciem jak murarka czy prowadzenie ciężarówki.

– Wielkie nieba! Naprawdę się cieszę, że choć jeden mężczyzna rozumie, czym jest praca w domu. Słyszałeś, co powiedział, kochanie? Danny, nie trać czasu na to programowanie go teraz. Pozmywam sama. – Rozejrzała się. – Masz tu straszny chlew, delikatnie mówiąc.

Prawdę powiedziawszy, nie wpadłem na to, że Polifunkcyjny Pete mógłby pracować dla mnie. Byłem całkowicie zaprzątnięty planowaniem tego, jak mógłby wyręczać innych ludzi, i uczeniem go tych czynności, a sam zmiatałem kurz do kąta albo go po prostu ignorowałem. Teraz zacząłem uczyć go wykonywania tych prac domowych, które opanował Fenomenalny Frank; Pete miał wystarczająco pojemną pamięć, ponieważ zainstalowałem mu trzykrotnie więcej modułów Thorsena niż jego poprzednikowi.

Miałem czas to zrobić, bo John zajął się wszystkim innym.

Jenny napisała na maszynie opisy; John wynajął specjalistę od prawa patentowego, który pomagał nam opracować zastrzeżenia. Nie wiem, czy John płacił mu gotówką czy udziałem w przyszłych zyskach; nigdy go o to nie spytałem. Zostawiłem mu wolną rękę we wszystkim, włącznie z ustaleniem wysokości naszych udziałów; w ten sposób nie tylko miałem czas na pracę, ale także liczyłem na to, że skoro może osobiście decydować

o takich sprawach, nie ulegnie pokusie tak jak Miles. I tak naprawdę nic mnie to nie obchodziło; pieniądze jako takie nie są ważne. Albo John i Jenny byli ludźmi, za jakich ich uważam, albo równie dobrze mogłem znaleźć sobie jaskinię i zostać pustelnikiem.

Upierałem się tylko w dwóch sprawach.

– John, uważam, że powinniśmy nazwać naszą firmę „Zakład Projektowania Automatów Aladyn”.

– Brzmi trochę zbyt wymyślnie. Nie lepiej „Davis i Sutton”?

– Musi być tak, jak mówię, John.

– Naprawdę? Czy i to mówi ci twój szósty zmysł?

– Może, może. Naszym znakiem firmowym będzie rysunek Aladyna pocierającego lampę, z której wychodzi dżin. Naszkicuję ci go. I jeszcze jedno. Główne biuro powinno się znajdować w Los Angeles.

– Co? Posuwasz się za daleko, jeśli oczekujesz, że to ja nim pokieruję. Co jest złego w Denver?

– Nic złego, Denver to miłe miasto. Nie jest to jednak odpowiednia miejscowość dla naszej fabryki. Wybierz jakikolwiek dobry teren, a pewnego ranka zbudzisz się i odkryjesz, że został zajęty przez władze federalne, a ty wyleciałeś z interesu i musisz zaczynać od nowa. Ponadto brakuje tu pracowników, surowce dowozi się z daleka, a materiały budowlane dostaniesz tylko w szarej strefie. Natomiast Los Angeles ma nieograniczone zasoby, wykwalifikowanych pracowników i wciąż napływają nowi, jest portowym miastem i…

– A co ze smogiem? Lepiej o nim nie mówić.

– Uporają się z nim wkrótce. Wierz mi. I czy nie zauważyłeś, że Denver zaczyna dorabiać się własnego smogu?

– Zaczekaj chwilę, Dan. Dałeś mi jasno do zrozumienia, że to ja będę musiał kierować firmą, gdy ty znikniesz, żeby załatwiać jakieś swoje

sprawy. W porządku, zgodziłem się na to. Jednak powinienem mieć chociaż możliwość wyboru miejsca pracy.

– To jest konieczne, John.

– Dan, nikt, kto ma dobrze w głowie i mieszka w Kolorado, nie przeprowadzi się do Kalifornii. Stacjonowałem tam podczas wojny, więc wiem. Spójrz na Jenny; urodziła się w Kalifornii i wstydliwie to ukrywa. Za żadne skarby nie zmusiłbyś jej do powrotu. Tutaj mamy zimy, pory roku, zdrowe górskie powietrze, wspaniałe…

Jenny podniosła głowę.

– Och, bez przesady, nie powiedziałabym, że nigdy bym tam nie wróciła.

– Co takiego, kochanie?

Jenny spokojnie robiła na drutach; nigdy się nie odzywała, jeśli nie miała nic do powiedzenia. Teraz odłożyła druty, co było wyraźnym sygnałem.

– Gdybyśmy się tam przeprowadzili, kochanie, moglibyśmy wstąpić do Klubu Oakdale; oni tam się kąpią pod gołym niebem przez cały rok. Właśnie myślałam o tym w ostatni weekend, gdy zobaczyłam zamarznięty basen w Boulder.

Zostałem z nimi najdłużej, jak mogłem, czyli do wieczora 2 grudnia 1970 roku. Byłem zmuszony pożyczyć od Johna trzy tysiące dolarów – ponieważ zapłaciłem skandalicznie wygórowaną cenę za części składowe – więc jako zabezpieczenie zaproponowałem mu zapis hipoteczny na moje akcje. Pozwolił mi złożyć podpis, a potem podarł dokument i wrzucił do kosza.

– Oddasz mi, kiedy będziesz mógł.

– To będzie za trzydzieści lat, John.

– Aż tak długo?

Zastanowiłem się nad tym. Nie zachęcał mnie, żebym opowiedział mu całą moją historię. Od tamtego popołudnia przed sześcioma miesiącami,

kiedy szczerze przyznał, że nie wierzy w najważniejszą jej część – mimo to wprowadził mnie do ich klubu.

Powiedziałem mu, że nadeszła pora, żeby mu wszystko wyjaśnić.

– Obudzimy Jenny? Ona też ma prawo to usłyszeć.

– Hmm… nie. Dajmy jej spać, dopóki nie będziesz musiał się pożegnać. Jenny jest bardzo nieskomplikowaną osobą, Dan. Jeśli cię lubi, nie obchodzi jej, kim jesteś lub skąd przyszedłeś. Jeśli uznasz, że to dobry pomysł, opowiem jej wszystko później.

– Jak chcesz.

Pozwolił mi wszystko opowiedzieć, od czasu do czasu napełniając nasze szklaneczki – moją piwem imbirowym, gdyż miałem powód, by unikać alkoholu. Kiedy doszedłem do tego, jak wylądowałem na zboczu góry nieopodal Boulder, przerwałem.

– To wszystko – powiedziałem. – Jednego tylko nie mogę pojąć. Oglądałem potem to miejsce i nie sądzę, żebym spadł z wysokości większej niż dwie stopy. Gdyby pogłębili wykop pod budynek laboratorium – czy raczej gdyby zamierzali to zrobić – zostałbym pogrzebany żywcem. I zapewne zabiłbym i was – jeżeli nie wysadziłbym w powietrze całego okręgu. Nie wiem, co się właściwie dzieje, kiedy fala zamienia się w masę tam, gdzie jest już inna masa.

John palił papierosa.

– No i? – zapytałem. – Co o tym sądzisz?

– Danny, opowiedziałeś mi wiele o tym, jak będzie wyglądało Los Angeles, to znaczy Wielkie Los Angeles. Powiem ci, co o tym sądzę, kiedy przekonam się, na ile dokładna była twoja relacja.

– Była dokładna. Może zapomniałem o kilku nieistotnych szczegółach.

– Hmm… rzeczywiście brzmi to logicznie. Na razie uważam, że jesteś najsympatyczniejszym szaleńcem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Nie

żebyś był przez to złym konstruktorem… albo złym przyjacielem. Lubię cię, chłopie. Kupię ci na gwiazdkę nowy kaftan bezpieczeństwa.

– Jeśli tak chcesz to traktować.

– Nie mam innego wyjścia. Alternatywą jest tylko moje szaleństwo… co byłoby niezłym problemem dla Jenny. – Spojrzał na zegar. – Lepiej ją obudźmy. Obdarłaby mnie ze skóry, gdybym pozwolił ci odejść bez pożegnania.

– Ani mi to w głowie.

Odwieźli mnie na Międzynarodowy Port Lotniczy w Denver i Jenny pocałowała mnie na pożegnanie. Złapałem samolot odlatujący o jedenastej do Los Angeles.

Rozdział XI

Wieczorem następnego dnia, 3 grudnia 1970 roku, wysiadłem z taksówki o przecznicę od domu Milesa, dość wcześnie, ponieważ nie pamiętałem dokładnie, o której dotarłem tam za pierwszym razem. Kiedy zbliżyłem się do jego domu, było już ciemno, lecz przy chodniku zauważyłem tylko jego samochód, więc cofnąłem się o sto jardów do miejsca, z którego mogłem obserwować ten odcinek, i czekałem.

Dwa papierosy później spostrzegłem, że nadjeżdża drugi samochód, zatrzymuje się przy aucie Milesa i gasi światła. Odczekałem parę minut, po czym tam pospieszyłem. To był mój samochód.

Nie miałem do niego kluczyków, ale to nie była przeszkoda; pogrążony w rozmyślaniach o problemach konstrukcyjnych wiecznie ich zapominałem, więc już od dawna miałem zwyczaj trzymać zapasowy komplet w bagażniku. Teraz wyjąłem je stamtąd i wsiadłem. Zaparkowałem na niewielkim wzniesieniu, więc nie zapalając reflektorów i nie uruchamiając silnika, zjechałem za róg, po czym włączyłem silnik, ale nie światła, i ponownie zaparkowałem w wąskiej uliczce na tyłach domu Milesa, przed jego garażem.

Ten był zamknięty. Zajrzałem przez brudne okienko i zauważyłem coś nakrytego brezentową płachtą. Po konturach poznałem, że to mój stary przyjaciel Fenomenalny Frank.

Drzwi garażowe nie są zaprojektowane na odparcie ataku zdeterminowanego człowieka uzbrojonego w łom – przynajmniej nie w południowej Kalifornii w roku 1970. Ich sforsowanie zajęło mi kilka

sekund. Rozebranie Franka na części, które mogłem unieść i upchnąć w samochodzie, trwało znacznie dłużej. Najpierw jednak sprawdziłem, czy moje notatki i rysunki są tam, gdzie podejrzewałem. Istotnie były, więc wyciągnąłem je i rzuciłem na podłogę, a potem zabrałem się do Franka. Nikt nie znał tej maszyny tak dobrze jak ja, a ponadto sprawę ułatwiało to, że nie przejmowałem się, czy ją uszkodzę; pomimo to przez prawie godzinę trudziłem się jak człowiek orkiestra.

Wepchnąłem do bagażnika ostatnią część, podstawę fotela na kółkach, i opuściłem klapę, gdy usłyszałem, że Pete zaczął lamentować. Przeklinając się w duchu za to, że tak długo rozbierałem Franka na części, pospieszyłem na tyły domu. Wtedy rozpętało się pandemonium.

Obiecałem sobie, że będę się napawał każdą sekundą triumfu Pete’a. Jednak nic nie zobaczyłem. Tylne drzwi były otwarte i przez siatkowe drzwi sączyło się światło, lecz choć słyszałem odgłosy bieganiny i upadków, mrożące krew w żyłach bojowe okrzyki Pete’a i wrzaski Belle, to ani razu nie zrobili mi tej przyjemności, by pojawić się w moim polu widzenia. Tak więc podkradłem się do siatkowych drzwi w nadziei, że zobaczę chociaż fragment tej rzezi.

Te cholerne drzwi były zamknięte na haczyk! Jedyny szczegół niezgodny z moimi przewidywaniami. Gorączkowo sięgnąłem do kieszeni, złamałem sobie paznokieć, otwierając scyzoryk, po czym wepchnąłem ostrze w szparę i podważyłem haczyk, w ostatniej chwili, bo ledwie zdołałem uskoczyć, gdy Pete rąbnął w siatkowe drzwi jak kaskader na motocyklu.

Przewróciłem się, wpadłszy na różany krzew. Nie wiem, czy Miles i Belle próbowali wybiec za Pete’em. Wątpię; na ich miejscu bym nie ryzykował. Jednak byłem zbyt zajęty wyplątywaniem się z kolczastych pędów, żeby to zauważyć.

Gdy wreszcie wstałem, przeszedłem za krzakami do bocznej ściany domu; chciałem jak najszybciej oddalić się od otwartych drzwi i padającego przez nie światła. Teraz musiałem zaczekać, aż Pete się uspokoi. Na razie nie śmiałbym go dotknąć, a na pewno nie próbowałbym go wziąć na ręce. Znam koty.

Jednak ilekroć przechodził obok mnie, szukając wejścia do domu i wydając bojowe okrzyki, łagodnie do niego szeptałem:

– Pete. Chodź tu, Pete. Spokojnie, chłopie, już wszystko w porządku.

Wiedział, że tam jestem, i nawet dwukrotnie na mnie spojrzał, ale mnie ignorował. Koty nie mają w zwyczaju robić kilku rzeczy jednocześnie; teraz miał pilną sprawę do załatwienia i nie mógł tracić czasu na mizianie się z Tatkiem. Wiedziałem jednak, że przyjdzie do mnie, gdy opadnie burza emocji.

Gdy tam siedziałem w kucki, usłyszałem odgłos puszczonej w łazience wody i odgadłem, że poszli doprowadzić się do porządku, zostawiając mnie w salonie. Przyszła mi do głowy okropna myśl: co by było, gdybym teraz wśliznął się do środka i poderżnął gardło mojemu bezsilnemu ciału? Natychmiast się opanowałem; nie byłem aż tak ciekawski, a samobójstwo jest dość ekstremalnym rodzajem eksperymentu, nawet w tak intrygujących pod względem matematycznym okolicznościach.

Nie zamierzałem go przeprowadzać.

Ponadto w żadnym wypadku nie chciałem wchodzić do środka. Mógłbym spotkać się z Milesem – a nie miałem ochoty walczyć ze zmarłym.

W końcu Pete zatrzymał się jakiś metr przede mną.

– Mrrauu? – powiedział, co oznaczało: „Wejdźmy do środka i zróbmy tam porządek. Ty zaatakujesz górą, a ja dołem”.

– Nie, chłopie. Koniec zabawy.

– O nieee!

– Czas do domu, Pete. Chodź do Danny’ego.

Usiadł i zaczął się myć. Gdy na mnie spojrzał, wyciągnąłem ręce, a on wskoczył mi w objęcia.

– Grrrauu? – miauknął, czyli: „Gdzie, do diabła, byłeś, kiedy zaczęła się bitwa?”.

Zaniosłem go do samochodu i umieściłem na siedzeniu kierowcy, ponieważ tylko tam było wolne miejsce. Obwąchał stertę żelastwa leżącą tam, gdzie zwykle zalegał, i rozejrzał się z niezadowoleniem.

– Będziesz musiał siedzieć mi na kolanach – powiedziałem. – Nie marudź.

Kiedy wyjechaliśmy na ulicę, zapaliłem światła. Potem skręciłem na wschód, kierując się do obozu skautek nad Wielkim Jeziorem Niedźwiedzim. Przez pierwsze dziesięć minut wyrzuciłem dość części Franka, żeby Pete mógł zająć swoje prawowite miejsce, co bardziej nam odpowiadało. Po przejechaniu kilkunastu mil i oczyszczeniu podłogi zatrzymałem samochód i wepchnąłem do studzienki kanalizacyjnej notatki i rysunki techniczne. Podstawy fotela na kółkach pozbyłem się dopiero wtedy, kiedy byliśmy wysoko w górach. Spadła do głębokiego wąwozu z miłym dla ucha łoskotem.

Około trzeciej nad ranem dojechałem do motelu znajdującego się niedaleko zjazdu do obozu i przepłacając, wynająłem domek kempingowy – Pete o mało nie uniemożliwił mi tego, wystawiając łeb i komentując sytuację, gdy zjawił się właściciel.

– O której – zwróciłem się do niego – przychodzi tu poranna poczta z Los Angeles?

– Helikopter przylatuje dokładnie o siódmej trzynaście.

– Świetnie. Proszę więc obudzić mnie o siódmej, dobrze?

– Szanowny panie, jeżeli nie zbudzi się pan tutaj do siódmej, to jest pan lepszy ode mnie. Mimo wszystko to zanotuję.

Do ósmej Pete i ja już zjedliśmy śniadanie, ogoliłem się i wykąpałem. Obejrzałem Pete’a przy dziennym świetle i stwierdziłem, że wyszedł z potyczki nietknięty, poza paroma draśnięciami. Opuściliśmy motel i pojechaliśmy prywatną drogą do obozu. Tuż przed nami skręciła w nią furgonetka Wuja Sama; doszedłem do wniosku, że to będzie mój dobry dzień.

Nigdy w życiu nie widziałem tylu małych dziewczynek. Kręciły się jak kocięta i wszystkie wyglądały jednakowo w tych swoich zielonych mundurkach. Te, które mijaliśmy, chciały popatrzeć na Pete’a, ale większość tylko nieśmiało zerkała z daleka i nie podchodziła. Poszedłem do chaty z napisem „Główna kwatera”, gdzie porozmawiałem z umundurowaną skautką, która zdecydowanie nie była już dziewczynką.

Potraktowała mnie należycie podejrzliwie; obcy mężczyźni pragnący odwiedzić dziewczynki, które niebawem staną się dużymi dziewczynami, zawsze powinni być podejrzani.

Wyjaśniłem, że jestem wujkiem jednej z dziewcząt, nazywam się Daniel B. Davis i mam dla niej wiadomość dotyczącą jej rodziny. Odparowała stwierdzeniem, że goście mają prawo wstępu na teren obozu jedynie w obecności któregoś z rodziców, a ponadto pora odwiedzin zaczyna się dopiero o szesnastej.

– Nie chcę odwiedzać Frederiki, ale muszę przekazać jej tę wiadomość. To pilna sprawa.

– W takim razie proszę to napisać, a ja postaram się przekazać jej to już po rytmice.

Byłem zirytowany i nie ukrywałem tego.

– Nie chcę robić tego w ten sposób – oznajmiłem. – Byłoby znacznie uprzejmiej powiedzieć to dziecku osobiście.

– Śmierć w rodzinie?

– Nie całkiem. Kłopoty rodzinne, owszem. Bardzo mi przykro, proszę pani, ale nie wolno mi powiedzieć tego komuś innemu. To dotyczy matki mojej siostrzenicy.

Jej opór słabł, ale wciąż się nie poddawała. Wtedy do dyskusji włączył się Pete. Trzymałem go w zagięciu lewej ręki, prawą podtrzymując jego pierś; nie chciałem zostawić go w samochodzie i wiedziałem, że Ricky będzie chciała go zobaczyć. Przez jakiś czas znosił takie traktowanie, ale teraz zaczął się nudzić.

– Grrrarrr?

Spojrzała na niego i powiedziała:

– Jaki ładny. Mam w domu buraska, który mógłby być jego rodzonym bratem.

– To jest kot Frederiki – powiedziałem z powagą. – Musiałem wziąć go ze sobą, ponieważ… no cóż, to było konieczne. Nie ma się nim kto zająć.

– Och, biedaczek!

Podrapała go pod brodą, robiąc to prawidłowo, dzięki Bogu, i Pete ją zaakceptował, ponownie Bogu dzięki. Wyciągnął szyję, zamknął oczy i wyglądał na nieprzyzwoicie zadowolonego. A potrafi bardzo obcesowo traktować obcych, jeśli nie podobają mu się ich karesy.

Strażniczka dziewcząt kazała mi usiąść przy stoliku pod drzewami przed główną kwaterą. To zapewniało odrobinę prywatności pod jej czujnym okiem. Podziękowałem i usiadłem.

Nie zauważyłem podchodzącej Ricky. Nagle rozległ się krzyk:

– Wujek Danny! – I kolejny, gdy się obróciłem: – Przywiozłeś Pete’a! Och, cudownie!

Pete przeciągle zamruczał i błyskawicznie przeskoczył z moich rąk w jej objęcia. Zgrabnie go złapała, ułożyła w pozycji, którą najbardziej lubił, po czym ignorowali mnie przez kilka sekund, wypełniając nakazy kociej etykiety. Potem podniosła głowę i poważnie powiedziała:

– Wujku Danny, strasznie się cieszę, że tu jesteś.

Nie pocałowałem jej; nawet nie dotknąłem. Nigdy nie obściskiwałem dzieci, a Ricky była dziewczynką, która tolerowała coś takiego tylko wtedy, jeśli nie mogła tego uniknąć. Od kiedy ukończyła sześć lat, nasze relacje opierały się na wzajemnym szacunku dla indywidualności i godności osobistej.

Jednak przyjrzałem się jej. Z kościstymi kolanami, patykowatymi rękami i nogami nie była tak ładna jak kilka lat temu. Krótkie spodenki i T-shirt wraz ze schodzącą opalenizną, zadrapaniami, siniakami i całkiem zrozumiałą warstewką brudu nie dodawały jej kobiecego uroku. Była dopiero zapowiedzią kobiety, którą miała się stać; tylko wielkie poważne oczy i chochlikowate rysy twarzy łagodziły jej niezgrabność.

Wyglądała cudownie.

– Ja też strasznie się cieszę, że tu jestem, Ricky – powiedziałem.

Trzymając Pete’a jedną ręką, drugą spróbowała sięgnąć do wypchanej kieszeni spodenek.

– I jestem zaskoczona. Parę minut temu dostałam od ciebie list, a potem zawołali mnie tutaj, tak że nawet nie miałam czasu go otworzyć. Czy napisałeś w nim, że dzisiaj przyjedziesz?

Wyjęła list, zgięty i pognieciony po upchnięciu w za małej kieszeni.

– Nie, Ricky. Napisałem w nim, że wyjeżdżam. Jednak po tym, jak go wysłałem, postanowiłem pożegnać się z tobą osobiście.

Zrobiła smutną minę i spuściła oczy.

– Wyjeżdżasz?

– Tak. Wyjaśnię ci to, Ricky, ale to długa historia. Usiądźmy i wszystko ci opowiem.

Tak więc usiedliśmy po dwóch stronach piknikowego stolika pod sosnami i zacząłem mówić. Pete leżał na stole pomiędzy nami niczym mały lew z przednimi łapkami opartymi na pomiętym liście i mruczał cichutko swoją piosnkę jak rój pszczół w gąszczu koniczyny, mrużąc oczy z zadowolenia.

Z ulgą odkryłem, że Ricky już wiedziała o małżeństwie Milesa z Belle – nie cieszyła mnie perspektywa zawiadamiania jej o tym. Spojrzała na mnie, od razu spuściła oczy i powiedziała obojętnie:

– Tak, wiem. Tato napisał mi o tym.

– Och. Rozumiem.

Nagle sposępniała, bynajmniej nie jak dziecko.

– Ja tam nie wrócę, Danny. Nie chcę tam wracać.

– Ale… posłuchaj, Rikki-tikki-tavi, wiem, co czujesz. Ja też nie chcę, żebyś tam wracała – zabrałbym cię ze sobą, gdybym mógł. Jak jednak możesz tego uniknąć? To twój tata, a ty masz dopiero jedenaście lat.

– Nie muszę tam wracać. On nie jest moim prawdziwym tatą. Babcia po mnie przyjedzie.

– Co? Kiedy ma przyjechać?

– Jutro. Przyjedzie z Brawley. Napisałam do niej i zapytałam, czy nie mogłabym u niej zamieszkać, bo już nie chcę mieszkać z tatą i tą kobietą. – W tym jednym słowie zawarła więcej pogardy niż niejeden dorosły w wyzwisku. – Babcia odpisała, że nie muszę z nimi mieszkać, jeżeli nie chcę, ponieważ nigdy mnie nie adoptował i to ona jest moją „prawną opiekunką”. – Spojrzała na mnie z niepokojem. – Tak jest, prawda? Nie mogą mnie zmusić?

Poczułem bezgraniczną ulgę. Jedynym problemem, którego nie mogłem rozwiązać i którym martwiłem się miesiącami, było to, jak uchronić Ricky przed toksycznym wpływem Belle przez… no, dwa lata; niemal na pewno będą to jakieś dwa lata.

– Skoro cię nie adoptował, Ricky, to jestem pewny, że babcia może cię wziąć do siebie, jeśli obie stanowczo wyrazicie taką chęć. – Zaraz jednak zmarszczyłem brwi i przygryzłem wargę. – Możecie jednak mieć jutro kłopoty. Mogą się sprzeciwiać twojemu wyjazdowi z babcią.

– Jak mogą mnie powstrzymać? Po prostu wsiądę do samochodu i pojadę.

– To nie takie proste, Ricky. Ludzie, którzy prowadzą ten obóz, muszą przestrzegać prawa. Ponieważ powierzył im ciebie twój tato – to znaczy Miles – nie mogą oddać cię nikomu innemu.

Wysunęła dolną wargę.

– Nie pojadę z nim. Pojadę z babcią.

– Owszem. Chyba wiem, co powinnaś zrobić. Na twoim miejscu nie mówiłbym im, że wyjeżdżam z obozu; powiedziałbym tylko, że babcia chce mnie zabrać na przejażdżkę. A potem bym tu nie wrócił.

Trochę się odprężyła.

– W porządku.

– Hm… Nie pakuj się, bo mogą się domyślić, co chcesz zrobić. Nie bierz żadnych ubrań poza tym, co masz na sobie. Pieniądze i wszystkie inne drobiazgi, które chcesz zabrać, włóż do kieszeni. Zapewne nie masz tu zbyt wielu rzeczy, które byłoby ci żal zostawić?

– Chyba nie. – Jednak zrobiła smętną minę. – Mam zupełnie nowy kostium kąpielowy.

Jak wytłumaczyć dziecku, że czasem trzeba po prostu zostawić cały bagaż? Nie zdołasz – wróci do płonącego budynku, żeby ratować lalkę lub

pluszowego słonika.

– Hmm… Ricky, niech twoja babcia im powie, że zabiera cię do Arrowhead, gdzie popływacie razem… a wieczorem może pójdziecie na kolację do hotelu, ale odwiezie cię przed ciszą nocną. Wtedy będziesz mogła wziąć ze sobą kostium i ręcznik. Ale nic więcej. Eee, czy babcia zechce trochę nakłamać dla twego dobra?

– Chyba. Tak, na pewno. Ona twierdzi, że ludzie muszą czasami kłamać, bo inaczej nie mogliby ze sobą wytrzymać. Jednak mówi, że trzeba to robić z umiarem.

– Wydaje się, że jest rozsądną osobą. Zrobisz tak, jak mówię?

– Zrobię dokładnie tak, jak powiedziałeś, Danny.

– Dobrze. – Podniosłem wymiętą kopertę. – Ricky, mówiłem ci, że muszę wyjechać. Muszę wyjechać na bardzo długo.

– Jak długo?

– Trzydzieści lat.

Jej oczy zrobiły się jeszcze większe, jeśli to możliwe. Dla jedenastolatki trzydzieści lat to nie jest długo; to wieczność.

– Przykro mi, Ricky – dodałem. – Muszę.

– Dlaczego?

Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Prawda była niewiarygodna, a nie chciałem kłamać.

– Ricky, zbyt trudno byłoby to wyjaśnić. Po prostu muszę wyjechać. Nic na to nie poradzę. – Zawahałem się, a potem wyjaśniłem: – Zamierzam zapaść w Długi Sen. Zimny sen – wiesz, co to jest.

Wiedziała. Dzieci oswajają się z nowymi pomysłami szybciej niż dorośli; zimny sen był ulubionym tematem komiksów. Była przerażona.

– Ale, Danny, już nigdy cię nie zobaczę! – zaprotestowała.

– Owszem, zobaczysz. To bardzo długi czas, ale jeszcze się z tobą zobaczę. I Pete także. Ponieważ będzie ze mną; on też zapadnie w zimny sen.

Spojrzała na Pete’a i posmutniała jeszcze bardziej.

– Ale… Danny, dlaczego nie możesz przyjechać z Pete’em do Brawley i zamieszkać z nami? Tak byłoby o wiele lepiej. Babcia polubiłaby Pete’a. Ciebie również – bo zawsze mówi, że w każdym domu potrzebna jest męska dłoń.

– Ricky… droga Ricky… muszę to zrobić. Proszę, nie kuś mnie.

Zacząłem otwierać kopertę.

Ricky wyglądała na rozgniewaną i broda zaczęła się jej trząść.

– Myślę, że ona ma z tym coś wspólnego!

– Co? Jeśli masz na myśli Belle, to nie. Nie całkiem.

– Nie zapadnie w zimny sen z tobą?

Chyba się wzdrygnąłem.

– Wielkie nieba, nie! Uciekłbym przed nią na koniec świata.

Ricky nieco się uspokoiła.

– Wiesz, byłam na ciebie wściekła z jej powodu. Strasznie mnie to złościło.

– Przykro mi, Ricky. Naprawdę mi przykro. Miałaś rację, a ja się myliłem. Jednak Belle nie ma z tym nic wspólnego. Skończyłem z nią raz na zawsze, daję słowo. A teraz co do tego. – Pokazałem jej mój certyfikat własności akcji Służki SA. – Wiesz, co to jest?

– Nie.

Wyjaśniłem jej.

– Daję ci je, Ricky. Ponieważ nie będzie mnie tak długo, chcę, żebyś je dostała.

Wyjąłem z koperty list, w którym przekazałem akcje Ricky, podarłem go i wepchnąłem strzępy do kieszeni; nie mogłem ryzykować takiej formy darowizny – był na oddzielnej kartce i Belle zbyt łatwo mogłaby go zniszczyć. Odwróciłem certyfikat na drugą stronę i przyjrzałem się rubrykom, zastanawiając się, jak zmieścić w nich odpowiednie słowa. W końcu umieściłem w nich zlecenie utworzenia funduszu powierniczego w Bank of America dla…

– Ricky, podaj mi twoje imiona i nazwisko.

– Frederica Virginia. Frederica Virginia Gentry. Przecież wiesz.

– Naprawdę „Gentry”? Mówiłaś, że Miles cię nie adoptował.

– Ach! Odkąd pamiętam, zawsze byłam Ricky Gentry. Ale chodzi ci o moje prawdziwe nazwisko. Jest takie samo jak babci… jak mojego prawdziwego taty. Heinicke. Nikt mnie tak jednak nie nazywa.

– Teraz zaczną.

Napisałem „Frederiki Virginii Heinicke”, po czym dodałem: „i przekazania jej akcji w dniu dwudziestych pierwszych urodzin”. Dreszcz przebiegł mi przy tym po krzyżu – zapewne moja pierwotna cesja nie miała mocy prawnej.

Zacząłem składać podpisy, kiedy zauważyłem, że nasza strażniczka wystawia głowę z drzwi biura. Zerknąłem na zegarek i zobaczyłem, że rozmawiamy już od godziny. Kończył mi się czas.

Chciałem jednak wszystko załatwić.

– Proszę pani!

– Tak?

– Czy przypadkiem jest tu gdzieś w pobliżu notariusz? Czy mam go szukać w miasteczku?

– Ja jestem notariuszem. Czego pan sobie życzy?

– Och, to dobrze! Cudownie! Ma pani przy sobie pieczątkę?

– Nigdzie się bez niej nie ruszam.

Tak więc podpisałem tekst w jej obecności, a ona nawet go rozwinęła (po zapewnieniu Ricky, że mnie zna, i przy milczącym świadectwie Pete’a, że jestem godny zaufania jako członek bractwa kociarzy) i dodała dłuższą formę: „znanego mi osobiście jako rzeczony Daniel B. Davis”. Kiedy przybiła pieczątkę na moim i swoim podpisie, odetchnąłem z ulgą. Niech teraz Belle spróbuje coś z tym kombinować!

Kobieta zerknęła na mnie z zaciekawieniem, ale nic nie powiedziała. Wyjaśniłem poważnie:

– Tragedii nie da się cofnąć, ale to pomoże. W edukacji Ricky, wie pani.

Nie przyjęła opłaty i wróciła do biura. Odwróciłem się do Ricky i powiedziałem:

– Daj to babci. Powiedz, żeby zaniosła go do filii Bank of America w Brawley. Oni wszystkim się zajmą.

Nie dotknęła certyfikatu.

– To jest warte mnóstwo pieniędzy, prawda?

– Sporo. A będzie warte więcej.

– Nie chcę tego.

– Ale, Ricky, ja chcę, żebyś to wzięła.

– Nie chcę. Nie wezmę tego. – Jej oczy napełniły się łzami, a głos zaczął drżeć. – Odchodzisz na zawsze i… i już ci na mnie nie zależy. – Pociągnęła nosem. – Tak samo jak wtedy, kiedy się z nią zaręczyłeś. Przecież równie dobrze mógłbyś wziąć Pete’a i zamieszkać razem z babcią i ze mną. Nie chcę twoich pieniędzy!

– Ricky. Posłuchaj mnie. Jest już za późno. Nie mógłbym ich wziąć z powrotem, nawet gdybym chciał. Są już twoje.

– Nic mnie to nie obchodzi. Nigdy ich nie tknę. – Wyciągnęła rękę i pogłaskała kota. – Pete nigdy by nie odszedł i nie zostawił mnie… gdybyś

go do tego nie zmusił. Teraz nie będę miała nawet Pete’a.

– Ricky? – powiedziałem łamiącym się głosem. – Rikki-tikki-tavi? Chcesz znów zobaczyć Pete’a… i mnie?

Ledwie usłyszałem jej odpowiedź:

– Oczywiście, że chcę. Ale nie zobaczę.

– Przecież możesz.

– Co? Jak? Powiedziałeś, że zapadniesz w Długi Sen… na trzydzieści lat.

– I zrobię to. Muszę. Powiem ci, Ricky, co ty możesz zrobić. Bądź grzeczną dziewczynką, mieszkaj z babcią, chodź do szkoły – i pozwól, by wartość tych akcji rosła. Kiedy ukończysz dwadzieścia jeden lat – i nadal będziesz chciała nas zobaczyć – będziesz miała dość pieniędzy, żeby sama zapaść w Długi Sen. Kiedy się obudzisz, będę na ciebie czekał. Będziemy czekać obaj, Pete i ja. Uroczyście ci to przyrzekam.

Nieco się rozpogodziła, ale się nie uśmiechnęła. Zastanawiała się przez długą chwilę, po czym zapytała:

– Naprawdę tam będziesz?

– Tak. Musimy tylko ustalić datę. Jeśli to zrobisz, Ricky, to tylko tak, jak ci mówię. Załatw wszystko z Międzynarodową Grupą Ubezpieczeniową, koniecznie wybierz Azyl Riverside w Riverside… i koniecznie im powiedz, że mają cię obudzić dokładnie 1 maja 2001 roku. Tego dnia będę na ciebie czekał. Jeżeli zechcesz, żebym tam był, kiedy otworzysz oczy, to również będziesz musiała im to powiedzieć, bo inaczej nie pozwolą mi wejść dalej niż do poczekalni – znam ten azyl, są strasznie drobiazgowi. – Wyjąłem kopertę, którą przygotowałem przed wyjazdem z Denver. – Nie musisz tego pamiętać; wszystko ci tu napisałem. Po prostu schowaj ten list i podejmij decyzję, kiedy skończysz dwadzieścia jeden lat. Możesz jednak być pewna, że Pete i ja będziemy tam na ciebie czekać, bez względu na to, czy się pojawisz, czy nie.

Położyłem przygotowane instrukcje na akcie własności akcji.

Myślałem, że już ją przekonałem, ale nie dotknęła ani jednego, ani drugiego. Patrzyła na nie, a w końcu zapytała:

– Danny?

– Tak, Ricky?

Nie podniosła głowy, a jej głos był tak cichy, że ledwie słyszalny. Jednak usłyszałem ją.

– Jeżeli to zrobię… ożenisz się ze mną?

Zaszumiało mi w uszach i pociemniało w oczach. Powiedziałem jednak spokojnie i o wiele głośniej niż ona:

– Tak, Ricky. Tego właśnie chcę. Dlatego to wszystko robię.

Zostawiłem jej jeszcze jedno: wcześniej przygotowaną kopertę z napisem „Otworzyć w razie śmierci Milesa Gentry’ego”. Niczego nie wyjaśniłem, tylko powiedziałem, żeby ją schowała. Zawierała dowody barwnej kariery Belle, bigamii i innych sprawek. Prawnik, który to dostanie, powinien bez trudu wygrać sądowy spór o spadek po Milesie.

Potem dałem jej swój uczelniany sygnet (tylko taki miałem) i powiedziałem, że teraz należy do niej; jesteśmy zaręczeni.

– Jest za duży dla ciebie, ale weź go. Gdy się obudzisz, będę miał dla ciebie inny.

Mocno zacisnęła na nim dłoń.

– Nie chcę innego.

– W porządku. A teraz pożegnaj się z Pete’em. Muszę ruszać. Nie mogę tu zostać ani chwili dłużej.

Przytuliła Pete’a, a potem oddała go i spojrzała mi spokojnie w oczy, choć łzy płynęły po jej brudnych policzkach, zostawiając za sobą czyste

smugi.

– Żegnaj, Danny.

– Nie „żegnaj”, Ricky, tylko „do widzenia”. Będziemy na ciebie czekać.

Kiedy wróciłem do miasteczka, była za kwadrans dziesiąta. Dowiedziałem się, że helikopter publiczny do centrum miasta odlatuje za dwadzieścia pięć minut, więc odszukałem jedyny salon z używanymi samochodami i zawarłem jedną z najszybciej wynegocjowanych umów w historii, sprzedając auto za połowę ceny, ale w gotówce. Zostało mi akurat dość czasu, aby przemycić Pete’a na pokład helikoptera (narzekają na koty wymiotujące podczas lotów), i dotarłem do biura Powella tuż po jedenastej.

Powell bardzo się zdenerwował tym, że zrezygnowałem z powierzenia Towarzystwu Wzajemnego Ubezpieczenia opieki nad moim majątkiem, i aż się palił do wygłoszenia wykładu na temat zgubionych przeze mnie dokumentów.

– Nie wypada, żebym dwukrotnie w ciągu dwudziestu czterech godzin prosił tego samego sędziego o wyrażenie zgody. To niedopuszczalne.

Zamachałem mu banknotami o bardzo przekonujących nominałach.

– Niech pan mnie nie strofuje, sierżancie. Chce pan zrobić ze mną interes czy nie? Jeżeli nie, to proszę powiedzieć, a pójdę do Doliny Środkowej. Ponieważ dzisiaj zasypiam.

Jeszcze chwilę burczał, ale ustąpił. Potem narzekał na przedłużenie okresu zimnego snu o sześć miesięcy i nie chciał zagwarantować dokładnej daty przebudzenia.

– Umowy zwykle przewidują „plus minus jeden miesiąc” ze względu na ewentualne problemy administracyjne.

– W mojej tego nie będzie. Musi to być 27 kwietnia 2001 roku. Nie dbam o to, czy w nagłówku będzie „Wzajemne Ubezpieczenie” czy „Dolina Środkowa”. Ja kupuję, a pan sprzedaje, panie Powell. Jeśli nie sprzeda mi pan tego, co chcę kupić, pójdę tam, gdzie mi to sprzedadzą.

Sporządził nową umowę i obaj ją podpisaliśmy.

Punktualnie o dwunastej przyszedłem na ostatnie badanie lekarskie. Doktor spojrzał na mnie.

– Jest pan trzeźwy?

– Trzeźwy jak sędzia.

– To kiepskie porównanie. Zobaczymy. – Zbadał mnie prawie tak starannie jak „poprzedniego dnia”. W końcu odłożył gumowy młoteczek i oznajmił: – Jestem zaskoczony. Jest pan w znacznie lepszej formie niż wczoraj. W zdumiewająco lepszej.

– Doktorze, nie ma pan pojęcia, jak dobrze się czuję.

Trzymałem Pete’a i uspokajałem go, gdy wstrzykiwali mu środek nasenny. Potem się położyłem i pozwoliłem, by zajęli się mną. Zapewne mogłem zaczekać dzień lub dłużej, ale to niczego by nie zmieniło – a prawdę mówiąc, chciałem jak najprędzej wrócić do 2001 roku.

Około czwartej po południu znów spokojnie zasnąłem, z głową Pete’a na piersi.

Rozdział XII

Tym razem miałem przyjemniejsze sny. Jedyny nieprzyjemny był nie tyle zły, ile irytujący. Śniło mi się, że zziębnięty wałęsam się po labiryncie korytarzy, próbując otworzyć każde napotkane drzwi i spodziewając się, że następne na pewno okażą się Drzwiami do Lata, za którymi będzie czekała Ricky. Pete utrudniał mi marsz, „podążając przede mną" i plącząc mi się pod nogami zwyczajem wszystkich kotów, pewien, że go nie nadepnę i nie kopnę.

Przy każdych kolejnych drzwiach wypadał spomiędzy moich nóg i sprawdzał, czy na zewnątrz nadal jest zima, po czym zawracał, o mało mnie nie przewracając.

Żaden z nas jednak nie tracił nadziei, że następne drzwi będą właściwe.

Tym razem obudziłem się z łatwością, wcale nie zdezorientowany – w istocie lekarz był lekko zirytowany tym, że chciałem tylko dostać śniadanie oraz „Timesa" z Wielkiego Los Angeles, a nie miałem ochoty na pogaduszki. Nie zamierzałem wyjaśniać mu, że już po raz drugi jestem w takiej sytuacji; nie uwierzyłby.

Czekał na mnie list od Johna z datą z zeszłego tygodnia.

Drogi Danie,

w porządku, poddaję się. Jak to zrobiłeś?

Spełniam Twoje życzenie i nie odwiedzam Cię pomimo namów Jenny. Pozdrawia Cię i ma nadzieję, że niedługo się z nami zobaczysz – próbowałem jej wytłumaczyć, że przez jakiś czas będziesz bardzo zajęty. U nas obojga wszystko w porządku, chociaż musiałem zwolnić tempo. Jenny jest jeszcze piękniejsza, niż była.

Hasta la vista, Amigo

John

PS Gdyby załączona kwota nie wystarczyła, tylko zadzwoń – mamy więcej pieniędzy niż dawniej. Myślę, że powodzi nam się całkiem nieźle.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Johna, żeby przywitać się i opowiedzieć mu o wspaniałym nowym pomyśle, który przyszedł mi do głowy podczas snu – urządzeniu zmieniającym trud kąpieli w niebiańską rozkosz. Jednak postanowiłem tego nie robić; miałem teraz inne sprawy na głowie. Zrobiłem tylko kilka notatek, dopóki miałem pomysł świeżo w pamięci, po czym zasnąłem z głową Pete'a pod pachą. Powinienem go tego oduczyć. To miłe, ale kłopotliwe.

W poniedziałek 30 kwietnia wypisałem się i pojechałem do Riverside, gdzie wynająłem pokój w starym Mission Inn. Zgodnie z przewidywaniami zrobili awanturę o kota, a automatyczny boy hotelowy nie bierze łapówek, co trudno uznać za ulepszenie. Zastępca kierownika miał sprawniejsze synapsy i słuchał rozsądnych argumentów, jeśli tylko były zielone i szeleszczące. Kiepsko spałem; byłem zbyt podekscytowany.

Następnego ranka o dziesiątej zjawiłem się u kierownika Azylu Riverside.

– Doktorze Rumsey, nazywam się Daniel B. Davis. Czy ma pan tu klientkę o nazwisku Frederica Heinicke?

– Zakładam, że może pan udowodnić swoją tożsamość.

Pokazałem mu wydane w Denver prawo jazdy z 1970 roku oraz wypis z Azylu Leśna Polana. Obejrzał je dokładnie i zwrócił.

– Zdaje się, że dziś macie ją obudzić – powiedziałem niecierpliwie. – Czy przypadkiem zostawiła instrukcje pozwalające mi przy tym być? Nie mówię o samej procedurze, ale o końcowej fazie, kiedy jest już gotowa do przyjęcia ostatniej dawki stymulantów i do odzyskania przytomności.

Wydął wargi i zrobił poważną minę.

– W przypadku tej klientki nasze instrukcje nie przewidują budzenia jej dzisiaj.

– Nie? – Byłem rozczarowany i dotknięty.

– Nie. Kazała nie budzić się wcale, dopóki się pan nie zjawi. – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się. – Musi mieć pan złote serce, bo nie przypisuję tego pańskiej urodzie.

Odetchnąłem.

– Dziękuję, doktorze.

– Może pan poczekać w holu albo przyjść później. Przez kilka godzin nie będzie nam pan potrzebny.

Wróciłem do holu, wziąłem Pete’a i zabrałem go na spacer. Wpakowałem go do nowej torby podróżnej, z czego nie był zbyt zadowolony, chociaż kupiłem możliwie podobną do starej i wieczorem zrobiłem w niej okienko z przyciemnioną szybką. Pewnie jeszcze nie pachniała tak, jak powinna.

Przechodziliśmy obok „naprawdę przyjemnego lokalu”, ale nie byłem głodny, chociaż niewiele zjadłem ze śniadania – Pete pochłonął moją jajecznicę, ale kręcił nosem na paski drożdżowe. O jedenastej trzydzieści znów byłem w azylu. W końcu pozwolili mi ją zobaczyć.

Widziałem tylko jej twarz; resztę ciała miała zakrytą. Jednak to była moja Ricky, dorosła kobieta, która wyglądała jak śpiący anioł.

– Jest pod wpływem posthipnozy – rzekł cicho doktor Rumsey. – Jeśli stanie pan tutaj, to ją obudzę. Hm, chyba powinien pan wystawić tego kota za drzwi.

– Nie, doktorze.

Chciał coś powiedzieć, ale wzruszył ramionami i odwrócił się z powrotem do pacjentki.

– Zbudź się, Frederico. Zbudź się. Musisz się teraz obudzić.

Poruszyła powiekami i otworzyła oczy. Przez chwilę błądziła wzrokiem, a potem zauważyła nas i uśmiechnęła się sennie.

– Danny… i Pete.

Wyciągnęła ręce – zobaczyłem na jej lewym palcu mój uczelniany sygnet.

Pete głośno zamruczał, wskoczył na łóżko i na powitanie z radością przylgnął do jej ramienia.

Doktor Rumsey zamierzał zatrzymać ją na noc, lecz Ricky nie chciała o tym słyszeć. Zamówiłem więc taksówkę i polecieliśmy do Brawley. Jej babcia zmarła w 1980 roku i Ricky nie miała tam już żadnych znajomych, ale zostawiła tam trochę rzeczy – głównie książki. Kazałem je wysłać do Aladyna, Johnowi Suttonowi. Ricky była trochę oszołomiona zmianami, które nastąpiły w jej rodzinnym mieście, i cały czas trzymała mnie za rękę, ale nie wpadła w tę okropną tęsknotę za przeszłością, która jest największym zagrożeniem związanym ze Snem. Chciała tylko jak najszybciej opuścić Brawley.

Tak więc wynająłem następną taksówkę i polecieliśmy do Yumy. Tam elegancko wpisałem do rejestru urzędu stanu cywilnego moje pełne nazwisko „Daniel Boone Davis”, żeby nie było żadnych wątpliwości, który D.B. Davis złożył ten piękny podpis. Kilka minut później trzymałem jej małą dłoń w mojej i mówiłem zduszonym głosem: „Ja, Daniel, biorę ciebie, Frederico… dopóki śmierć nas nie rozłączy”.

Moim drużbą był Pete. Świadków znaleźliśmy w urzędzie.

Natychmiast opuściliśmy Yumę i polecieliśmy na małe ranczo agroturystyczne w pobliżu Tucson, gdzie wynajęliśmy domek oddalony od

głównego budynku i wyposażony w Gorliwca, który przynosił i odnosił talerze, tak więc nie musieliśmy z nikim się spotykać. Pete stoczył spektakularną bitwę z kocurem, który do tej pory rządził na ranczu, a potem musieliśmy trzymać naszego ulubieńca w domu albo mieć go na oku. Była to jedyna niedogodność, jaką pamiętam. Ricky traktowała małżeński stan tak, jakby sama go wymyśliła, a ja – no cóż, ja miałem Ricky.

Niewiele już zostało do opowiedzenia. Dzięki posiadanym przez Ricky akcjom Służki – w dalszym ciągu będącym większościowym pakietem kontrolnym – dałem McBee kopniaka w górę, mianując go „emerytowanym pracownikiem badawczym", a głównym inżynierem zrobiłem Chucka. John jest szefem Aladyna, ale nieustannie grozi, że pójdzie na emeryturę – czcze pogróżki. Suttonowie i ja zarządzamy firmą, ponieważ w razie potrzeby przezornie wypuszczał tylko obligacje, nie tracąc kontroli. Nie jestem w radzie nadzorczej żadnej z tych dwóch firm; nie kieruję nimi i pozwalam im rywalizować. Konkurencja to dobra rzecz – Darwin dobrze to wiedział.

Co do mnie, to jestem po prostu „Biurem Konstrukcyjnym Davisa" – pracownia, mały warsztat i stary mechanik, który uważa mnie za wariata, ale względnie dobrze realizuje moje projekty. Kiedy skończymy jakieś urządzenie, sprzedaję na nie licencję.

Odzyskałem notatki z rozmów z Twitchellem. Potem napisałem do niego, że przeżyłem i wróciłem po zimnym śnie. Gorąco przeprosiłem za to, że miałem co do niego „wątpliwości". Zapytałem również, czy chciałby rzucić okiem na rękopis, gdy już będzie skończony. Nie odpowiedział, więc domyślam się, że nadal jest na mnie zły.

Jednak naprawdę piszę tę książkę i zamierzam umieścić ją we wszystkich ważniejszych bibliotekach, nawet gdybym musiał wydać ją własnym

sumptem. Przynajmniej tyle jestem mu winien. Zawdzięczam mu znacznie więcej: dzięki niemu mam Ricky. I Pete’a. Zatytułuję tę książkę *Niedoceniony geniusz*.

Jenny i John wyglądają tak, jakby mieli żyć wiecznie. Dzięki geriatrii, świeżemu powietrzu, słońcu, ruchowi i nieprzejmowaniu się niczym Jenny jest ładniejsza niż kiedykolwiek w wieku… no cóż, chyba sześćdziesięciu trzech lat. John uważa, że jestem „tylko” jasnowidzem, i woli nie zastanawiać się nad całą tą sprawą. Jak tego dokonałem? Próbowałem wyjaśnić to Ricky, ale zdenerwowała się, gdy powiedziałem, że podczas naszego miodowego miesiąca jednocześnie byłem w Boulder, a w tym samym czasie, gdy odwiedziłem ją na obozie skautek, leżałem w narkotycznym śnie w dolinie San Fernando.

Zbladła.

– Rozważmy to hipotetycznie – pospiesznie powiedziałem. – Wszystko jest jak najbardziej logiczne pod względem matematycznym. Załóżmy, że weźmiemy świnkę morską – białą w brązowe łatki. Umieścimy ją w wehikule czasu i przeniesiemy o tydzień w przeszłość. Jednak tydzień temu już ją tam znaleźliśmy, więc tym razem umieściliśmy ją w maszynie z nią samą. Teraz mamy dwie świnki morskie… chociaż właściwie jest tylko jedna, ta druga jest tylko o tydzień starsza. Tak więc gdy weźmiemy jedną i odeślemy ją o tydzień…

– Poczekaj! Którą?

– Którą? Przecież zawsze była tylko jedna. Oczywiście bierzesz tę o tydzień młodszą, ponieważ…

– Powiedziałeś, że była tylko jedna. A potem, że dwie. Następnie, że te dwie to w zasadzie tylko jedna. Jednak zamierzałeś wziąć jedną z dwóch… chociaż była tylko jedna…

– Próbuję ci wyjaśnić, jak dwie mogą być tylko jedną. Jeśli weźmiesz młodszą…

– Skąd możesz wiedzieć, która ze świnek morskich jest młodsza, jeśli wyglądają dokładnie tak samo?

– No cóż, możesz obciąć ogon tej, którą odsyłasz w przeszłość. A kiedy wróci…

– Ależ Danny, to okrutne! Ponadto świnki morskie nie mają ogonów.

Najwyraźniej uważała, że to czegoś dowodzi. Nigdy nie powinienem był próbować jej tego wyjaśniać.

Lecz Ricky nie należy do osób, które przejmują się takimi nieistotnymi sprawami. Ujrzawszy, że jestem zirytowany, powiedziała łagodnie:

– Chodź do mnie, kochanie! – Rozczochrała resztkę włosów, jaka mi została, i pocałowała mnie. – Jeden ty to wszystko, czego pragnę, najdroższy. Z dwoma mogłabym sobie nie poradzić. Powiedz mi tylko: czy cieszysz się, że poczekałeś, aż dorosnę?

Zrobiłem, co mogłem, by jej dowieść, jak się cieszę.

Jednak mimo prób nie zdołałem wszystkiego wyjaśnić. Coś mi umknęło, chociaż sam jeździłem na tej karuzeli i liczyłem jej obroty. Dlaczego nie znalazłem wiadomości o moim własnym przebudzeniu? Mam na myśli to drugie, w kwietniu 2001 roku, a nie w grudniu 2000. Powinienem był je zobaczyć; przecież byłem tam i dokładnie sprawdzałem te wzmianki. Obudzono mnie (za drugim razem) w piątek 27 kwietnia 2001 roku; powinno się to znaleźć następnego dnia w „Timesie”. A jednak nie zauważyłem tej informacji. Sprawdziłem to teraz i znalazłem: „D.B. Davis” w „Timesie” z soboty 28 kwietnia 2001 roku.

Filozoficznie rzecz biorąc, jeden wiersz farby drukarskiej może równie dobrze stworzyć inny wszechświat, jak sprawić, że zniknie Europa. Czyżby koncepcja „wielu prądów czasu” i „światów równoległych” była słuszna?

Czyżbym dostał się do innego wszechświata, innego, ponieważ zmieniłem jego porządek? Chociaż odnalazłem tam Ricky i Pete'a? Czy istniał gdzieś (lub kiedyś) inny wszechświat, w którym Pete lamentował, aż stracił nadzieję, a potem odszedł, żeby samotnie walczyć o przetrwanie? I w którym Ricky nie zdołała uciec z babcią i musiała znosić przykrości ze strony mściwej Belle?

Jeden wiersz drobnego druku nie wystarczy. Zapewne zasnąłem tamtego wieczoru i nie przeczytałem swojego nazwiska, a następnego ranka wrzuciłem gazetę do zsypu, myśląc, że już ją przejrzałem. Naprawdę jestem roztargniony, szczególnie gdy myślę o pracy.

Tylko co zrobiłbym, gdybym zobaczył swe nazwisko? Poszedłbym tam, spotkał samego siebie – i oszalał? Nie, ponieważ gdybym to zobaczył, nie zrobiłbym później – „później" z mojego punktu widzenia – tego wszystkiego, co do tego doprowadziło. Tak więc nigdy nie wydarzyłoby się to w taki sposób. Bieg wydarzeń jest kontrolowany przez ujemne sprzężenie zwrotne z wbudowanym bezpiecznikiem, ponieważ warunkiem istnienia tego jednego wiersza tekstu było to, że go nie zobaczę; najwyraźniej przeczytanie go było jedną z podstawowych i fundamentalnych sprzeczności.

„Jakieś dobre bóstwo kształt nadaje naszym działaniom z gruba obciosanym"*. Wolna wola i przeznaczenie w jednym zdaniu i obie koncepcje słuszne. Tak więc jest tylko jeden realny świat, z jedną przeszłością i przyszłością. „Jak było na początku, teraz i zawsze, i na wieki wieków, amen". Tylko jeden… ale wystarczająco duży i skomplikowany, aby zawierać wolną wolę, podróże w czasie oraz wszystko inne w swoich połączeniach, sprzężeniach zwrotnych i obwodach zabezpieczających. W ramach tych reguł możecie robić wszystko… ale i tak wrócicie pod własne drzwi.

Nie jestem jedyną osobą, która podróżowała w czasie. Fort podał zbyt wiele przypadków, których nie można wytłumaczyć w inny sposób, i Ambrose Bierce również. Pamiętajmy też o relacji dwóch dam z Trianon. Podejrzewam także, że stary doktor Twitchell naciskał ten przełącznik częściej, niż się do tego przyznał… nie mówiąc o innych ludziach, którzy mogli to odkryć w przeszłości lub w przyszłości. Wątpię jednak, czy kiedykolwiek będzie to miało jakieś znaczenie. O moich podróżach wiedzą tylko trzy osoby, a dwie z nich mi nie wierzą. Podróżując w czasie, niewiele można zdziałać. Jak powiedział Fort, budujesz kolej żelazną dopiero wtedy, kiedy nadejdzie pora na jej zbudowanie.

Nadal jednak nie mogę przestać myśleć o Leonardzie Vincencie. Czy to on był Leonardem da Vinci? Czy przemierzył cały kontynent i wrócił z Kolumbem? Encyklopedia podaje jego życiorys – ale przecież mógł go zmienić. Wiem, jak to się robi; ja też trochę zmieniłem swój. W piętnastowiecznej Italii nie było polis ubezpieczeniowych, dowodów tożsamości ani odcisków palców, więc mógł tego dokonać.

Wyobraźcie go sobie, oderwanego od wszystkiego, do czego był przyzwyczajony, wiedzącego o latających maszynach, energetyce, milionach innych rzeczy i rozpaczliwie usiłującego je narysować, żeby mogły powstać – ale skazanego na porażkę, gdyż po prostu nie można zrobić rzeczy, które robimy dzisiaj, bez wcześniejszego wielowiekowego rozwoju techniki.

Syzyf mniej się męczył.

Myślałem również o tym, jak można byłoby wykorzystać podróże w czasie, gdyby je odtajniono – wykonywać krótkie skoki, ustawiać maszynerię tak, by wrócić, zabierać ze sobą części składowe. Jednak pewnego dnia zrobiłbyś o jeden skok za dużo i nie zdołałbyś wrócić, bo nie nadeszłaby jeszcze pora na zbudowanie kolei żelaznej. Mogłaby cię

załatwić jakaś prosta rzecz, na przykład brak odpowiedniego stopu. Nie zapominajmy również o naprawdę wielkim ryzyku związanym z kierunkiem podróży. Wyobraźcie sobie, że trafiacie na dwór Henryka VIII z zapasem podzespołów do urządzeń z dwudziestego piątego wieku. Lepiej już napotkać podczas żeglugi wielodniową ciszę morską na równiku.

Nie, nigdy nie powinno się produkować urządzenia, dopóki nie usunie się usterek.

Natomiast nie niepokoją mnie „paradoksy” czy ewentualne „anachronizmy” – jeśli jakiś konstruktor z trzydziestego wieku zdoła pokonać wszystkie przeszkody i zbuduje komercyjną stację przesyłową do podróży w czasie, stanie się to, ponieważ tak zaprojektował wszechświat Wielki Budowniczy. Dał nam oczy, dwie ręce i rozum; cokolwiek nimi zdziałamy, nie może być paradoksem. Niepotrzebni są nadgorliwcy siłą wprowadzający Jego prawa; one realizują się same. Nie ma cudów, a słowo „anachronizm” jest semantyczną bzdurą.

Jednak nie zaprzątam sobie głowy filozofią, tak samo jak Pete. Jakakolwiek jest prawda o tym świecie, mnie on się podoba. Znalazłem swoje Drzwi do Lata i już nigdy nie będę podróżował w czasie, gdyż obawiam się, że mógłbym wysiąść na niewłaściwej stacji. Może kiedyś zrobi to mój syn, ale wtedy poradzę mu, aby zawsze podążał naprzód, nie wstecz. Cofać się można tylko w ostateczności; przyszłość jest lepsza od przeszłości. Na przekór malkontentom, romantykom i antyintelektualistom świat cały czas staje się lepszy, ponieważ człowiek, przystosowując się do środowiska, czyni go lepszym. Za pomocą rąk… narzędzi… zdrowego rozsądku oraz nauki i techniki.

Większość tych długowłosych malkontentów nie potrafi wbić gwoździa ani posługiwać się suwakiem logarytmicznym. Czasem mam ochotę

zaprosić ich do klatki doktora Twitchella i posłać w dwunasty wiek – niech tam cieszą się życiem.

Niemniej na nikogo się nie złoszczę i podoba mi się teraźniejszość. Prócz tego, że Pete się starzeje, przytył i nie jest już tak chętny do potyczek z młodszymi przeciwnikami; o wiele za szybko będzie musiał zapaść w naprawdę Długi Sen. Mam głęboką nadzieję, że jego dzielna duszyczka znajdzie swoje Drzwi do Lata, a za nimi pola kocimiętki, chętne kotki, mechanicznych przeciwników zaprogramowanych tak, by zażarcie walczyć – ale zawsze przegrywać – i ludzi mających ciepłe podołki i nogi, o które kot może się ocierać bez obawy, że zostanie kopnięty.

Ricky również przybiera na wadze, ale akurat ze znacznie weselszego powodu. To tylko dodaje jej urody i nie zmniejsza jej radości życia, ale jest dla niej uciążliwe. Pracuję nad urządzeniami, które by jej pomogły. Niełatwo jest być kobietą; coś powinno się z tym zrobić, a ja jestem przekonany, że można. Na przykład kłopoty ze schylaniem się i bóle krzyża – pracuję nad tym i skonstruowałem jej hydrauliczne łóżko, które chcę opatentować. Wchodzenie i wychodzenie z wanny też powinno być łatwiejsze. Tego problemu jeszcze nie rozwiązałem.

Dla starego Pete’a zbudowałem „kocią toaletę”, której może używać, gdy jest bardzo zła pogoda – zautomatyzowaną, samoczynną, higieniczną i bezzapachową. Jednakże Pete, jak każdy kot woli wychodzić na dwór i nadal jest przekonany, że jeśli się sprawdzi wszystkie drzwi, jedne z nich na pewno okażą się Drzwiami do Lata.

Wiecie co? Myślę, że ma rację.

* William Szekspir, *Hamlet*, akt 5, scena 2, przeł. Józef Paszkowski (przyp. wyd.).

Nowa seria klasycznych powieści science fiction

WEHIKUŁ CZASU

Jednym z niezrealizowanych marzeń ludzkości są podróże w czasie. Nasza nowa seria w pewnym stopniu spełnia to marzenie: publikowane w niej powieści umożliwiają czytelnikom wyprawy w przyszłość – do opisanych przez autorów futurystycznych światów, w przeszłość – w historię literatury fantastycznej, a także – części z nich – sentymentalne podróże do czasów młodości, gdy po raz pierwszy sięgali po te książki.

Seria obejmuje tylko najbardziej znaczące, nagradzane, uznane i lubiane tytuły szeroko rozumianej literatury fantastycznonaukowej. Mamy nadzieję, że stanie się drogowskazem dla tych wszystkich, którzy kochają dobrą, ważną i znaczącą literaturę SF.

To seria, którą po prostu trzeba mieć!

W serii „Wehikuł czasu” ukazały się:

Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA

Roger Zelazny

ALEJA POTĘPIENIA

Robert A. Heinlein

HIOB. KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Brian Aldiss

NON STOP

Harry Harrison

PRZESTRZENI! PRZESTRZENI!

Brian Aldiss

CIEPLARNIA

Joe Haldeman

WIECZNA WOJNA

Robert A. Heinlein

DRZWI DO LATA

W przygotowaniu:

Alfred Bester

CZŁOWIEK DO PRZERÓBKI

Nevil Shute

OSTATNI BRZEG

Alfred Bester

GWIAZDY MOIM PRZEZNACZENIEM

Kate Wilhelm

GDZIE DAWNIEJ ŚPIEWAŁ PTAK

Spis treści

Drzwi do lata

Wstęp

Dedykacja

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII

Seria „Wehikuł czasu”

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Door into Summer*

THE DOOR INTO SUMMER © 1957, 1985 by Robert A. Heinlein,
© 1998 by Virginia Heinlein, © by the Robert A. & Virginia Heinlein Prize Trust.
INTRODUCTIONS © 2006 by William H. Patterson, Jr.
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2019

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor serii: Sławomir Folkman

Redaktor: Krzysztof Tropiło

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Drzwi do lata, wyd. I w nowym tłumaczeniu, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8188-719-9

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl